

JACEK DUKAJ
Wielki Brat zna cię
lepiej niż ty sam

MARCIN MATCZAK
Dlaczego bunt sędziów
to nie anarchia

SZYMON HOŁOWNIA
Mój przyjaciel
kardynał Krajewski

WOJCIECH BONOWICZ
Niech niepełnosprawni
nas zjednoczą

Kraków 3 czerwca 2018 nr 23 (3595)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Biegnij Olga, biegnij!

KLUCZ DO ŚWIATA OLGY TOKARCZUK



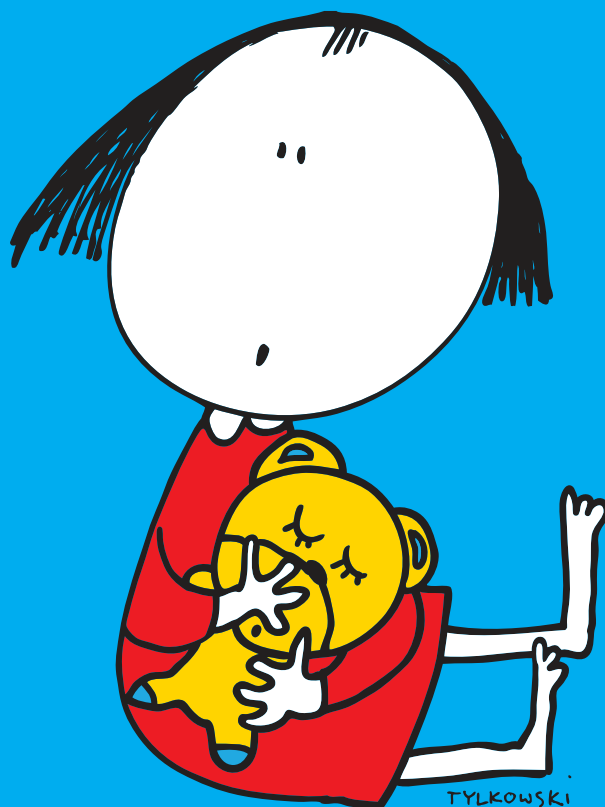
ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

Może to na ciebie czekam?



www.rodzicesos.org

Tysiące opuszczonych i osieroconych dzieci czekają na nowy dom i rodzinę.

Pomóż i zostań zastępczym rodzicem SOS w Wiosce Dziecięcej.

Dowiedz się więcej na www.rodzicesos.org lub zadzwoń **22 460 92 51**

Patronat medialny:



Partner strategiczny:



KS. ADAM

Boniecki: Nie rzeźbijcie mojej psyche, proszę

ZAMIESZCZONA W TYM NUMERZE OPowieść JACZKA Dukaja – wybitnego pisarza porównywanego do Lema, twórcy wizji przyszłości – o tym, co nas czeka, budzi grozę i wściekłość. O algorytmach sztucznej inteligencji obrabiających dane na nasz temat powiada on, że to narzędzie, „które pozwala rzeźbić nie tylko relacje społeczne, ale też głęboką psyche człowieka”. I opisuje, jak dziś rzeźbi i niebawem jeszcze bardziej będzie rzeźbić.



Bo niby wiadomo, że już dziś zbieranie danych pozwala poznać preferencje klienta i skusić go do nabycia czegoś, o czym może nawet sam nie wiedział, że tego pragnął. Wiadomo też, że można tak wpływać na wyborców, by zagłosowali na kogoś, na kogo bez tych zabiegów by nie głosowali. Od dziesięcioleci na podstawie wnikliwych analiz ludzkiej psyche przygotowuje się reklamy, promuje kandydatów w wyborach itd. Z tym jednak można żyć, zachowując poczucie wolności, bo z własnego doświadczenia wiem, że mimo wyrafinowanych propozycji reklamy i propagandy nigdy nie kupiłem niczego, co nie było mi potrzebne, chodząc na zakupy z listą tworzoną z dala od reklam. Podobnie z wyborami. Czuję się wolny.

Tymczasem wszystko zmierza ku takiemu skompletowaniu informacji na mój temat (aż po kod genetyczny), żeby sprawić, że nawet moje potrzeby nie będą więcej moje.

Już samo zbieranie informacji, do których dostęp (czego bywamy nieświadomi albo się na to godzimy) umożliwiające nasze elektroniczne sprzęty, bez których nie umiemy się obchodzić – napawa odrazą. W czach PRL niby wiedzieliśmy, że listy są kontrolowane, jednak lektura znalezionych w mojej teczce IPN-u relacji z tych kontroli przyprawiła mnie o odruch wymiotny. Odrażające jest to wdzieranie się w cudze życie. Po to, by to nie człowiek podejmował decyzje, lecz by robił to za niego system.

Dukaj, pytany, czy demokracja obroni nas przed cyfrowym Wielkim Bratem ze względu na godność człowieka, stawia

mordercze pytanie: „Godność człowieka na czym oparta? Z czego się wywodzi? Z umowy społecznej? No to oni [Chińczycy] mają inną”.

Czy rzeczywiście szybko zmierzamy w kierunku pozbycia się wolnej woli i rozumu? Czyżby to, co dotąd przypisywaliśmy działaniu Ducha Świętego, za 15-20 lat przejmie – *toutes proportions gardées* – serwerownia na pustyni Utah? Nawet jeśli w procesach decyzyjnych mózgu ogromną większość wyborów podejmujemy pod wpływem impulsu, stereotypu czy hormonów, to pozostaje jeszcze ta mniejszość, choćby znikoma, i ratuje naszą (mityczną?) podmiotowość.

Dukaj wyznaje, że jest „fatalistycznym fascynatem”, bo wobec postępu technologii i strategii „możnych tego świata”, których stać na czerpanie z Big Data, nie ma ratunku... Nie potrafię ocenić granic technicznych możliwości realizacji ponurej wizji wokół Big Data. Jej opis wciąż odbieram jako w pewnym stopniu *science fiction* i wierzę, że jak system oparty na podsłuchach i kontroli korespondencji był skazany na upadek, tak fascynujący żadnych władzy nad bliźnimi marsz ku światowi sterownych, bo pozbawionych podmiotowości jednostek się zatrzyma. W końcu ludzie zdadzą sobie sprawę z tego, co się z nimi wyrabia. Powiedzą: dość! Wtedy... może rzucić się podpalać serwerownie, może wymuszą takie restrykcje międzynarodowe, jak w sprawie broni jądrowej. (Ale czy wyrzekną się szpiegujących gadżetów, dzięki którym nasze życie jest takie miłe i wygodne?)

Wciąż wierzę w „czynniki ludzkie”, a nie „dekonstrukcję mitu (?) człowieka jako podmiotu procesu decyzyjnego”. Nie sądzę, by coraz większa znajomość procesów decyzyjnych musiała prowadzić do zaprzeczenia podmiotowości osoby ludzkiej.

Ale sprawa, o której rozmawiamy z Jackiem Dukajem, jest wyjątkowo ważnym tematem z pogranicza nauki i wiary. Mam nadzieję, że – jak mawiają w telewizji – będziemy do niego wracać.

© P

TP

Nadal się chwalimy!

„NIEKONIECZNIE LICZY SIĘ TO, CO MOŻNA POLICZYĆ”

– powiedział nasz Redaktor Senior odbierając 21 maja nagrodę specjalną Polskiej Rady Biznesu.

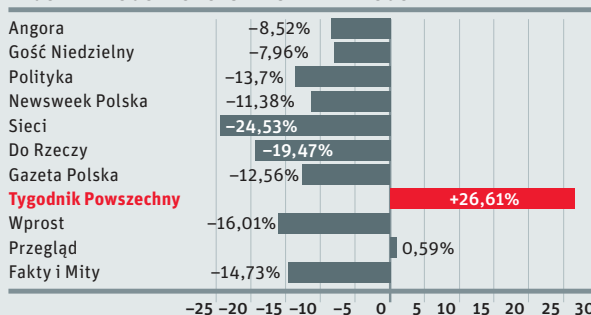
20 maja wyróżnienie w konkursie literackim Brakująca Litera za powieść kryminalną „Kamień” odebrali autorzy Małgorzata i Michał Kuźmińscy.

A „Tygodnik Powszechny” znów liderem wzrostów sprzedaży, zaś w rankingu cytowań w kwietniu 2018

– na 2. miejscu wśród tygodników!

Dziękujemy Czytelnikom, laureatom gratulujemy!

Wzrosty/spadki I kwartał 2018/I kwartał 2017 TYGODNIKI OGÓLNOPOLSKIE SPRZEDAŻ OGÓŁEM



DANE ZKDP, WIRTUALNE MEDIA, 21 MAJA 2018

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 PiS to też obywatele RP
PAWEŁ BRAVO

6-9 Wiadomości / Komentarze

19 Tygodnik Czytelników

20 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Wojna sprawiedliwa

MARCIN MATCZAK: *Dla sędziów
nadszedł czas mówienia „tak-tak”,
„nie-nie”*

26 Humanizuję człowieka

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM
CZABAŃSKIM: *Lewica nie ma
monopolu na empatię wobec zwierząt*

29 Mgliste dni Baranowa

MARIUSZ SEPIÓŁO: *Mieszkańcy
kontra Centralny Port Komunikacyjny*

■ ■ REPORTAŻ

32 Powroty warunkowe

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Polscy Żydzi wracają do kraju

■ ■ WIARA

**36 Kardynał ewangelicznie
niebezpieczny**

SZYMON HOŁOWNIA o kardynale
Konradzie Krajewskim

40 Hojność Kościoła

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI:
*Komunia dla niekatolików i sens
eucharystii*

43 Jeśli się nie staniecie jak dzieci

PIOTR SIKORA: *W Królestwie Bożym
niczego nie robi się po coś*

■ ■ ŚWIAT

**46 Skrwawione ręce,
które nas głąskały**

MARCIN RYCHŁY: *Dzieci
argentyńskich oficerów chcą,
aby ich ojcowie zostali osądzeni*



ALEXANDER KHOKHLOV / REX / EAST NEWS

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Wielki Brat was rozliczy

MAREK RABIJ

Stan zaawansowania prac nad polskim Wielkim
Bratem wydaje się dziś nie do ustalenia.
Ale wystarczy przyrzeć się temu, co służby mają
na wyciągnięcie ręki. Strach pomyśleć...

14 Lustro coraz mniej czarne

ROZMOWA Z JACKIEM DUKAJEM, PISARZEM:

W epoce Big Data wiedza o człowieku jest poza
człowiekiem. Znają cię lepiej, niż ty sam siebie
znasz. Kto? Agenci logosu. Bazy danych. Profile.
Nieludzkie oprzyrządowanie człowieka.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

63 ANDRZEJ STASIUK

76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCIEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: OLGA TOKARCZUK

Fotografia: ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

Redaktorzy prowadzący:

EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Najstarszy premier świata

TOMASZ AUGUSTYNIAK:

Malezyjski festiwal demokracji

**52 Wenezuelska sztuka
przetwarzania**

DOMINIKA MATEJKO

54 Poniżenie od urodzenia

AGNIESZKA PIKULICKA-

-WILCZEWSKA o młodych

Palestyńczykach w Libanie

■ ■ HISTORIA

56 Umierać za Tyflis

ZBIGNIEW ROKITA: *Sto lat temu*

Gruzini ogłosili niepodległość

■ ■ NAUKA

60 Gdy więcej oznacza mniej

MIROSLAW SZREDER o sondażach

■ ■ KULTURA

64 Krówka na trawce

ROZMOWA Z WOJCIECHEM

BONOWICZEM, POETĄ: *Osoby*

z zespołem Downa są po prostu

lepszymi ludźmi niż my

69 Kim pan był, panie Roth?

MAGDA HEYDEL: *Pożegnanie*

70 Dosadna subtelność

JAN BŁASZCZAK o wiolonczelistce

Karolinie Rec

72 Nudno nie będzie!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

o serialu „Westworld”

74 Niegrzeczna jesień

ANITA PIOTROWSKA o filmie

„Pozycja obowiązkowa”

75 Warto zobaczyć w TV

76 Wskrzeszanie zabitego

świata LEKTOR o książce

„Musisz tam wrócić” Marii Stauber

■ ■ Z ODDECHEM

78 Biegnij Olga, biegnij!

MAGDALENA BARBARUK

o Oldze Tokarczuk

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Spornik (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabi, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Michał Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grzyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



PIS TO TEŻ OBYWATELE RP

Jedna organizacja sobie poradzi, ale szykany MSW mogą mieć efekt mrozący wobec podobnych inicjatyw, pozbawionych wsparcia prawników i mediów.

PAWEŁ BRAVO

MANDATU PiS DO SPRAWOWANIA WŁADZY nie ograniczają ani kalkulacje realnej frekwencji wyborczej (wybory odbyły się zgodnie z prawem), ani bieżące sondaże poparcia. Ten mandat ograniczają natomiast, a nawet unieważniają sprzeczne z Konstytucją działania obecnej władzy”. Zdanie z deklaracji Obywateli RP pozwala zrozumieć, dlaczego rządzących działalność ruchu uwiera do tego stopnia, że MSW wystąpiło do sądu o ustanowienie zarządu komisarycznego wspierającej ten ruch fundacji.

Rozprawa przewidziana jest na wrzesień, a przedstawiciele ruchu spodziewają się wygranej. Dotychczas w sądach uzyskiwali umorzenia postępowań, które wszczynano przeciwko nim w związku z akcjami ulicznymi: tzw.

kontrmiesięcznikami smoleńskimi, blokadami przemarszów organizacji skrajnej prawicy, milczącymi protestami podczas ekshumacji ofiar katastrofy smoleńskiej dokonywanych wbrew woli rodzin lub aktami biernego oporu przeciwko blokowaniu dostępu obywateli do budynków Sejmu. „Prawo do zgromadzenia nie oznacza, że inni nie mogą w tym samym czasie wyrażać w sposób pokojowy poglądów odmiennych. Dyskomfort, jaki mają uczestnicy manifestacji słysząc kontrmanifestację, nie może wskazywać na wykroczenie” – brzmiało jedno z uzasadnień warszawskiego Sądu Okręgowego w sprawie jednej z kontrmiesięcznic.

Obywatele RP opanowali zaiste mistrzowsko zdolność wywoływania dyskomfortu u tych, których uważają za zagrożenie dla porządku

*Demonstracja
Obywateli RP,
Warszawa,
kwiecień 2018 r.*

→ demokratycznego. Do tego stopnia, że obecny wniosek podwładnych min. Brudzińskiego stał się dla ruchu mimowolnym pretekstem: przysporzył mu rozgłosu (kluczowego, gdy chodzi o inicjatywę niemającą charakteru masowego, stawiającą sobie za cel budzenie uśpionych sumień) i wywołał wyrazy poparcia całego spektrum skłóconej przeważnie opozycji.

Czy jednak – zakładając, że sąd oddali wniosek – należy wszystko skwitować ironicznym stwierdzeniem, że nieudolna władza nawet gdy chce przeciwnikom zaszkodzić, to im pomaga? A przy okazji dostarcza nowych dowodów, jak bardzo nie rozumie istoty pluralizmu opinii i pokojowego kontestowania działań państwa, gdy naruszają sumienie części obywateli?

Niekoniecznie. Wprawdzie Obywatele RP sobie poradzą, ale działanie MSW może mieć efekt mrozący wobec analogicznych inicjatyw, które nie mogą liczyć na tak znaczne wsparcie prawników i mediów. Po drugie zaczyna się znana z późnego PRL ciuciubabka, w której władza z lekka nęka i dokucza środowiskom od niej niezależnym – co pozwala wprawdzie najbardziej niepokornym umysłom działać, ale przekierowuje ich energię na jałowe użeranie się.

Warto zwrócić uwagę, że Obywatele RP oprócz akcji ulicznych podejmują mniej znane działania na rzecz wzmocnienia kultury demokratycznej. Chcą np. wymusić na opozycji organizowanie prawyborów kandydatów samorządowych. Akcje te wyłamują się z tej samej logiki wojny PiS-u z anty-PiS-em. Punktem wyjścia jest założenie, że aby pozbawić tę partię mandatu wyborczego, trzeba dokonać głębszej przemiany umysłów ciała obywatelskiego, bez względu na – płynne przecież – sympatie polityczne. „Elektorat tej partii [PiS – red.] to obywatele, z którymi żyjemy i będziemy żyli we wspólnym kraju” – piszą Obywatele RP. A perspektywa, że ktoś przesełowi mógłby skutecznie wychować elektorat w duchu poszanowania prawa i procedur, jest dlań znacznie groźniejsza od kontrmiesięcznic i pikiet. © P PAWEŁ BRAVO

W SKRÓCIE

KOLANO. Portal PolskaTimes.pl opublikował instrukcję dla polityków PiS, jak mają wypowiadać się w mediach na trudne tematy. Z dokumentu wynika, że największe problemy rządzących to protest niepełnosprawnych, rosnące ceny paliw oraz zdrowie Jarosława Kaczyńskiego. O tej ostatniej kwestii czytamy: „przyczyną pobytu prezesa PiS w szpitalu jest wyłącznie choroba kolana. O tym, jak długo tam będzie, decydują lekarze”.

KONTROLA. W instrukcji nie mówi się o wynikach kontroli NIK w szpitalach, choć wynika z niej, że ogromna większość placówek nie zapewnia chorym intymności i godności; w niektórych miejscach brakowało nawet parawanów. Szpitala, który leczy prezesa, nie kontrolowano.

MAJĄTEK. Na stronie Sejmu pojawiło się tymczasem oświadczenie majątkowe Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS zadeklarował ok. 19 tys. zł oszczędności i współwłasność (jedną trzecią) domu o wartości ok. 1,5 mln zł, dochody w wysokości 118 914,60 zł z tytułu uposażenia i 30 062,40 zł z tytułu diet parlamentarnych oraz emeryturę ZUS w wysokości 77 323,77 zł, ale także 127 tys. zł kredytu do spłacenia, zaciągniętego w SKOK im. Stefczyka.

LĘG. Para sokołów wędrownych, która kilka lat temu zagnieździła się na kominie Elektrociepłowni Lublin Wrotków, doczekała się 5 piskląt. Zdaniem ornitologów tak liczny lęg tych ptaków nie został dotąd w Polsce udokumentowany.



PEREGRINUS.PL

GDAKANIE. Felietonistami „Łata z Radiem” zostali Rafał Ziemkiewicz i Krzysztof Feusette. „To felieton, więc pewnie o tzw. sprawach bieżących, skoro „Łato z radiem”, to pewnie lekka forma, może uda się nawet, że żartobliwa” – powiedział ten drugi.

Wygrany protest

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



MARTWIMY SIĘ O ZDROWIE NASZYCH DZIECI” – powiedziała w niedzielę rano, ogłaszając decyzję o zakończeniu sejmowego protestu jedna z jego liderek Iwona Hartwich (gdy zamykamy ten numer „TP”, jest niedzielne południe, i jeszcze nie znamy szczegółowego uzasadnienia decyzji protestujących).

Osoby niepełnosprawne i ich opiekunowie wytrzymali w Sejmie 40 dni. To i tak bardzo długo, biorąc pod uwagę warunki, w jakich przebywali, ale też atmosferę, jaką wytworzyli wokół nich politycy PiS. W pamięć zapadnie zwłaszcza język, którym posługiwali się w stosunku do protestujących: oskarżenia o „granie dzieciem”, wywoływanie „zagrożenia epidemiologicznego” i wiele innych – nienadających się do cytowania – wypowiedzi przejdzie zapewne do niechlubnej historii polskiego parlamentaryzmu.

Protestujący przegrali w tym sensie, że nie udało im się doprowadzić do realizacji jednego z dwóch postulatów: przyznania 500-złotowego dodatku. Wygrali, bo zwrócili oczy całej Polski na codzienne problemy osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Wcześniej spychane na margines i lekceważone – przez kolejne rządy, ale też media. 40 dni protestu, rodzinne historie jego bohaterów, obrazy osób niepełnosprawnych wypowiadających się do kamer – to wszystko więcej zrobiło dla łamania stereotypów i budowania solidarności niż wszystkie kampanie społeczne razem wzięte. © P

Ekspert to ma klawe życie

ZNACIE PIOTRA NIEWIECHOWICZA? Wymyślił go dziennikarze branżowego serwisu Energetyka24, założyli mu konto na Twitterze oraz skrzynkę pocztową, po czym zaczęli promować jako wytrawnego znawcę tematyki bezpieczeństwa energetycznego.

Głos fikcyjnego eksperta wkrótce zaczęto uwzględniać w dyskusjach o polskiej energetyce. Jego artykuł, pełen wątpliwych merytorycznie tez, opublikował jeden z branżowych portali. Z Niewiechowiczem skontaktował się nawet członek zespołu pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury krytycznej Piotra Naimskiego i udostępnił mu niejawne dane o kluczowym projekcie energetycznym Polski ostatniej dekady – gazociągu Baltic Pipe.

Redakcja Energetyki24 tłumaczy, że sięgnęła po prowokację dla pokazania, z jaką łatwością do dyskursu publicznego przenikają nieprawdziwe informacje. Walka z fake newsami poprzez preparowanie kolejnych może się wydać kontrowersyjna, przy okazji pokazała jednak, że polski kontrwywiad można rozbroić jednym kontem na Twitterze. © P MR

Zabójstwo Palmego: świadek podejrzany

TO JEDNO Z NAJDŁUŻSZYCH DOCHODZEŃ w dziejach kryminalistyki: 32 lata po zabójstwie socjaldemokratycznego premiera Szwecji Olofa Palmego (na zdjęciu) wciąż nie wiadomo, kto go dokonał. W minioną środę, po 12 latach pracy nad tym tematem, dziennikarz Thomas Pettersson ogłosił, że zamachowcem mógł być nieżyjący już Stig Engström – dotąd uznawany za kluczowego świadka. Pettersson twierdzi, że Engström, eks-wojskowy, był sfrustrowany traktowaniem w armii, reprezentował skrajnie prawicowe poglądy i nie ukrywał wrogości wobec Palmego, a składając zeznania, kłamał.

Palme zginął w Sztokholmie w lutym 1986 r., gdy wraz z żoną wracał wieczorem z kina, bez żadnej ochrony. Choć krytykowano go



TONI SICA / BEW

za ciepłe relacje z blokiem komunistycznym (był to element „trzeciej drogi” między Wschodem a Zachodem, której szukał dla neutralnej Szwecji), doceniano jego zaangażowanie dla pokoju i zwalczania nierówności społecznych. Popularne teorie o zamachu zakładały więc udział międzynarodowych handlarzy bronią, służb RPA (Palme krytykował apartheid), chilijskich agentów Pinocheta, a nawet CIA. W 1988 r. za to morderstwo skazano recydywistę Christera Petterssona (zbieżność nazwisk z dziennikarzem przypadkowa), lecz po apelacji został uniewinniony. W jego odpowiedzialność wciąż wierzą wdowa i syn Palmego. © P MARCIN ŻYŁA



KCNA / KNS / EAST NEWS

SZCZYTU NIE BĘDZIE: w liście do przywódcy Korei Północnej prezydent USA poinformował, że na razie nie zamierza się z nim spotykać. Szczyt planowano na 12 czerwca w Singapurze. Obserwatorzy uważają decyzję Trumpa za racjonalną: w sytuacji, gdy Kim nie rezygnuje z posiadania broni atomowej i rakiet balistycznych (a jedynym jego ustępstwem jest wstrzymanie rozwoju tej broni), beneficjentem szczytu byłby tylko on: spotkanie z Trumpem dowartościowałoby go jako akceptowanego lidera mocarstwa atomowego. Na zdjęciu: Kim Dzong Un na inspekcji nowej linii kolejowej (zdjęcie opublikowane przez Pjongjang 25 maja 2018 r.). © P WP

Lot MH17: Rosja winna zestrzelenia

W MINIONY PIĄTEK Holandia i Australia oficjalnie obarczyły Rosję odpowiedzialnością za śmierć 298 pasażerów i członków załogi samolotu Malaysia Airlines, który w lipcu 2014 r. zestrzelono nad wschodnią Ukrainą. Dzień wcześniej międzynarodowy zespół śledczy (JIT) potwierdził, że pocisk przeciwlotniczy typu Buk, który wystrzelono w kierunku boeinga z terenu kontrolowanego

przez Rosjan, należał do 53. Brygady Przeciwlotniczej z Kurska. Analiza zdjęć, filmów, znaków rozpoznawczych (nawet cieni rzuconych przez podwozie pojazdu transportującego pociski) pozwoliła odtworzyć szczegółową trasę konwoju, który opuścił rosyjską bazę na miesiąc przed zestrzeleniem samolotu.

Ponieważ JIT powołano w zgodzie z rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ, jego ustalenia mogą mieć dla Rosji skutki prawne. Śledczy apelują teraz do wszystkich, którzy mają wiedzę na temat oficerów odpowiedzialnych za działania operacyjne rosyjskiej brygady, o anonimowy kontakt. © P MARCIN ŻYŁA

Birma: zbrodnie Rohingów

ARMIA BIRMAŃSKA od miesięcy pacyfikuje tereny zamieszkałe przez Rohingów – mniejszość muzułmańską, która w tym zdominowanym przez buddystów kraju traktowana jest jak bezpaństwowcy. Teraz Amnesty International twierdzi, że zbrodnie popełnia też partyzantka Rohingów ARSA (Arakan Rohingya Salvation Army) – choć ich skala jest nieporównanie mniejsza.

Amnesty donosi, że w sierpniu 2017 r. partyzanci z ARSA – atakujący wtedy posterun-

ki wojska i policji w birmańskim stanie Rakhine – zabiły również ok. 100 kobiet, mężczyzn i dzieci z dwóch wiosek, Ah Nauk Kha Maung Seik i Ye Bauk Kyar. Były to wioski zamieszkałe przez buddystów i hinduistów. Swoją tezę Amnesty opiera na relacjach świadków i krewnych ofiar, zebranych zarówno w Birmie, jak też w obozach dla uchodźców w Bangladeszu.

Na skutek pacyfikacji, prowadzonych od sierpnia 2017 r. przez birmańską armię i policję, zginęło dotąd prawdopodobnie ok. 6 tys. Rohingów, a 700 tys. uciekło z Birmy do Bangladeszu. © P WP / EPD, NZZ

Kardynałna ignorancja

ARTUR SPORNIAK



HOMOFOBIA PO PROSTU NIE ISTNIEJE. Jest to wynalazek, narzędzie totalitarnego panowania nad umysłami innych osób – powiedział w wywiadzie udzielonym włoskiej dziennikarce kard. Gerhard Ludwig Müller. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary uważa, że „ruch homoseksualny nie ma argumentów naukowych, dlatego zbudowano ideologię, która chce dominować, próbując zbudować własną rzeczywistość”, a „ci, którzy nie akceptują tej rzeczywistości, muszą być uważani za chorych”. Hierarcha odwołał się do przykładów: „Są to środki reżimów totalitarnych, takich jak narodowy socjalizm i komunizm. Dzisiaj w Korei Północnej ten sam los dotyka tych, którzy nie akceptują dominującej myśli”.

Niezależnie od tego, że o wieloznaczny termin „homofobia” toczy się spór (np. wśród klasyfikacji chorób psychicznych nie ma takiej fobii), prześladowanie, akty przemocy, dyskryminacja względem osób homoseksualnych wynikające z lęku i irracjonalnej niechęci wobec nich stanowią wciąż poważny problem społeczny. Czynienie z ludzi przeciwestawiających się tej dyskryminacji oprawców na wzór reżimu Korei Północnej jest skandaliczne.

Do myślenia daje stan wiedzy kardynała na temat homoseksualizmu. Nauki coraz bardziej przychylają się do tezy, że orientacja homoseksualna jest równie naturalna, co heteroseksualna. Jeżeli ludzie nie wybierają swojej orientacji, tylko się z nią „rodzą”, narzuca się pytanie: czy to oznacza, że tacy zostali stworzeni? Niedawno papież Franciszek w rozmowie z homoseksualistą, będącym ofiarą chilijskiego księdza-pedofila, miał powiedzieć: „Takim cię Bóg stworzył”. Jeżeli rzeczywiście tak jest, stawia to przed teologami wiele trudnych pytań.

©P

W SKRÓCIE

PRACOWNICZY WYZYSK. „Biada wam!, którzy wyzyskujecie ludzi, którzy wyzyskujecie pracę, którzy płacicie na czarno, nie płacicie składki na emeryturę, nie dajecie wakacji. Biada wam! Oszczędzacie na pracy, oszukujecie i nie płacicie tego, co się należy, oszukujecie na pensjach – to wielki grzech” – powiedział Franciszek w miniony czwartek podczas mszy w Domu św. Marty.

TRANSPORT POMNIKA. O 30 metrów zostanie przesunięty pomnik Jana Pawła II stojący w centrum dziewięciotysięcznego Ploërmel we Francji. W ubiegłym roku francuska Rada Stanu nakazała urzędnikom usunięcie z monumentu krzyża, który „zagroza świeckości kraju”. Władze miasteczka porozumiały się z mającym siedzibę nieopodal pomnika prywatnym gimnazjum katolickim. Na jego terenie pomnik będzie stał legalnie.

KOMUNIA STASIA. Staś Ossowski z Osiecznej (pomorskie) ze względu na zły stan zdrowia nie mógł przystąpić do pierwszej komunii świętej razem z koleżankami i kolegami z klasy. W marcu lekarze zdiagnozowali u chłopca nowotwór. Kilka dni po oficjalnych uroczystościach, kiedy Staś dostał przepustkę ze szpitala, ks. Tadeusz Wandtka z parafii pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Osiecznej zorganizował komunię jeszcze raz, specjalnie dla ośmiolatka. – Byłem chyba bardziej wzruszony niż podczas swojej mszy prymicyjnej – powiedział ksiądz. Na uroczystości gośćmi byli wszyscy uczniowie i nauczyciele z klasy Stasia.

„MORIS MALOWAŁ IKONY. Tu, na trumnie, leży ta ostatnia, niedokończona, Jezusa ukrzyżowanego – mówił bp Michał Janocha podczas pogrzebu Brata Morisa w Izabelinie. – On ją skończył swoim życiem, swoim cierpieniem, kiedy Pan Bóg zabrał mu już wszystko: i siły, i pamięć. Wtedy w człowieku zostaje to, co było dla niego najważniejsze, i o tym on mówi. Jedni mówią o pieniądzach, inni o pogrzebie, chorobach. Moris mówił o Jezusie”.



FACEBOOK / T. DUTCZAK

FRANCISZEK pogratulował z okazji 25-lecia małżeństwa grekokatolickiemu księdzu z ukraińskiej Bukowiny ks. Walerijowi Syrotiukowi i jego żonie Oksanie. Para podeszła do papieża po audiencji ogólnej 23 maja i podarowała mu ludowy kaftan i czapeczkę, tzw. keptar. ©

Prymas Hlond i Żydzi



„FAKTEM JEST, że Żydzi walczą z Kościołem, stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej” – napisał w liście pasterskim z lutego 1936 r. prymas August Hlond, którego dekret o heroiczności cnót podpisał właśnie papież Franciszek. Wiadomość wywołała

protest Komitetu Żydów Amerykańskich. Kontynuowanie procesu będzie postrzegane „jako wyraz aprobaty dla niezwykle negatywnego podejścia kard. Hlonda do społeczności żydowskiej” – napisał rabin David Rosen.

W obliczu narastającego antysemityzmu prymas postanowił zabrać głos w liście poświęconym zasadniczo „katolickim zasadom moralnym”. Pisał w sposób budzący dziś wątpliwości, dlaczego ma trafić na ołtarze i stanowić wzór chrześcijańskich cnót. „Problem żydowski istnieje i istnieć będzie, dopóki Żydzi będą Żydami (...). Walczą z Kościołem, (...) dopuszczają się oszustw, lichwy i prowadzą handel żywym towarem” – czytamy w liście. Kardynał wprawdzie potępił akty przemocy, ale poparł bojkot gospodarczy.

Podobnie po pogromie kieleckim w 1946 r.: potępił mord, ale zastrzegł, że wzrostowi wrogich nastrojów winni są sami Żydzi, współpracując z władzami komunistycznymi. Rabin Rosen pisze, że prymas ignorował „wielokrotne prośby o podjęcie jakichkolwiek działań mających na celu ochronę społeczności żydowskich”.

Od beatyfikacji dzieli prymasa tylko potwierdzenie cudu za jego wstawiennictwem. ©P MACIEJ MÜLLER

Sylwetkę kard. Hlonda przedstawimy w jednym z najbliższych numerów „TP”.

Dymisja w Narodowym

AGNIESZKA MORAWIŃSKA, dyrektor warszawskiego Muzeum Narodowego, złożyła rezygnację. Obejmując przed ośmiu laty tę funkcję, zapowiedziała radykalne zmiany. Dotrzymała słowa: placówka weszła w XXI wiek.

Warszawskie Muzeum przez dwie dekady III RP trwało niezreformowane, z wielkim zespołem, brakiem inwestycji, stałym niedofinansowaniem i problemami własnościowymi. Dopiero Morawińskiej udało się je zmodernizować. Odnowiono gmach główny i uczyniono go przyjaznym dla zwiedzających, zreorganizowano prace oddziałów i całego zespołu. W rewolucyjny sposób zmieniono galerie stałe, odchodząc od tradycyjnych podziałów na dyscypliny i szkoły narodowe (na podobny krok odważyło się niewiele wielkich europejskich muzeów). Muzeum stało się ważnym i interesującym miejscem, o czym mogą świadczyć liczne nagrody oraz stale rosnąca liczba zwiedzających.

Mimo tych sukcesów Morawińska zdecydowała się odejść. W wydanym oświadczeniu pisze o zaniedbaniach



MARCIN OBARA / PAP

ze strony MKiDN, o pogarszającej się sytuacji finansowej Muzeum, wręcz o jego lekceważeniu, o nieustannym braku przestrzeni wystawienniczej i magazynowej (część budynku zajmuje nadal Muzeum Wojska). Resort nie zrobił nic, by je rozwiązać. Obecnie to Piotr Gliński ponosi odpowiedzialność za przyszłość instytucji.

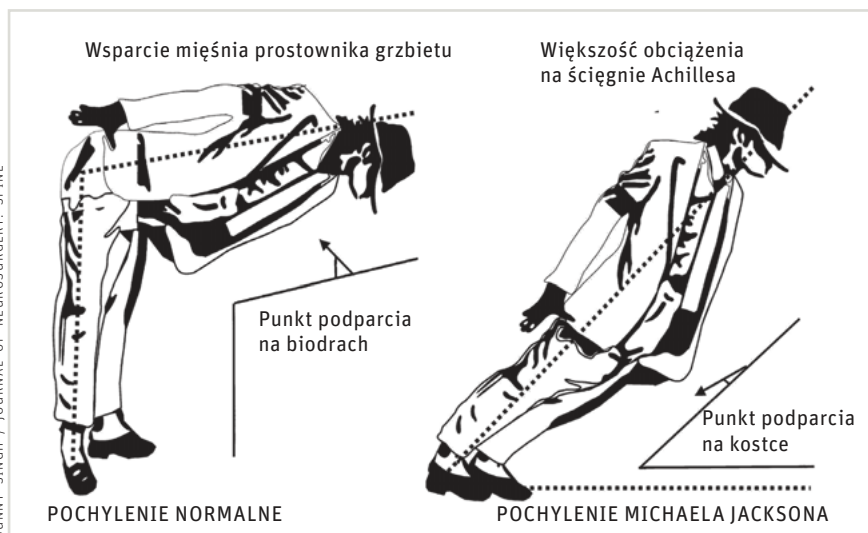
O sile kultury stanowią twórcy, ale też służące jej instytucje. Artyści – co potwierdzają niedawne sukcesy Pawła Pawlikowskiego, Olgi Tokarczuk czy Mariusza Trelińskiego – bez MKiDN sobie poradzą. Instytucje pod nieodpowiedzialnymi rządami obumrą.

© PIOTR KOŚCIEWSKI



W. KARLIŃSKI / COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL „Przypadek może odgrywać dużą rolę w tym, kto i kiedy dokonuje odkrycia naukowego, ale to, co jest odkrywane, nigdy nie jest przypadkowe” – przekonywał podczas głównego wykładu trzeciego dnia Copernicus Festival Jean-Pierre Lasota, honorowy profesor Instytutu Astrofizyki w Paryżu, jeden z gości specjalnych Festiwalu. Właśnie przypadkowi poświęcona była tegoroczna edycja Festiwalu (22-27 maja). Relacja z najważniejszych spośród 50 festiwalowych wydarzeń w następnym numerze „TP”. ©



BUNNY SINGH / JOURNAL OF NEUROSURGERY: SPINE

Michael Jackson kontra grawitacja

WSZYSTKICH, KTÓRZY ZERWALI ŚCIĘGNO

Achillesa usiłując naśladować go w tańcu, pragniemy uspokoić: to nie wasza wina. W teledysku do utworu „Smooth Criminal” (1987) artysta, utrzymując proste plecy, wychylał się do przodu o 45 stopni w stosunku do pionu. O tym, że pomagały mu specjalnie zaprojektowane buty, wiadomo od dawna. Ale dopiero teraz lekarze z Indii

– w tekście opublikowanym na stronie „Journal of Neurosurgery: Spine” – przyznają, że ruch wymagał też „atletycznej siły” mięśni pleców i nóg (współcześni „Królowi popu” tancerze odchylali się od pionu o „zaledwie” 30 stopni). Autorzy piszą: „Wielu fanów Michaela Jacksona, również niżej podpisani, próbowało powtórzyć ruch i straciło równowagę, nabawiając się urazów”. Zapoczątkowana m.in. przez fanów piosenkarza popularność tańca akrobatycznego powoduje, jak przyznają, „nowe rodzaje urazów, które mogą stanowić wyzwanie dla neurochirurgów”.

© ŻYM

WIELKI BRAT WAS ROZLICZY

Stan zaawansowania prac nad polskim Wielkim Bratem wydaje się dziś nie do ustalenia. Ale wystarczy przyjrzeć się temu, co służby mają na wyciągnięcie ręki. Strach pomyśleć.

MAREK RABIJ

PASEK POSTĘPU NIEMRAWO PEŁNIE w stronę prawej krawędzi ekranu laptopa. Minęło 10 sekund od chwili, kiedy kliknąłem przycisk „złóż wniosek” i algorytmy rzuciły się na udostępnione im informacje w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: „Czy bank może udzielić mi kredytu ratalnego na zakup telewizora?”.

Analizują komplet moich danych osobowych. Mieszkanie – wynajęte czy własne? Potem deklaracja wysokości zarobków oraz garść informacji o pracodawcy. Na koniec logowanie na konto bankowe poprzez specjalną formatkę, ale spokojnie, przecież historii transakcji nie będzie analizować człowiek. Robi to algorytm.

Minęły 23 sekundy. „Dziś bardzo się zmienił świat, bo mamy już system rat” – śpiewał w „Małżeństwie z rozsądku” Daniel Olbrychski w duecie z Elżbietą Czyżewską, ale w 1966 r. po raty szło się zstertą osteplowanych zaświadczeń. Kto dziś zgodziłby się na „kredyt bez zbędnych formalności”, na który czeka się kilka dni,



gdy już 36 sekund wpatrywania się w pasek postępu wydaje się morderczą? Podobnie jak samo oszczędzanie? Kredyt to droga na skróty do realizacji potrzeb i pragnień, droższa od zaciskania pasa, ale bardziej przyjemna.

Minęły 53 sekundy. Napędzane algorytmem systemy bankowe dawno potwierdziły moją tożsamość w rejestrze PESEL. Teraz grzebią pewnie w zbiorach Biura Informacji Kredytowej, które gromadzi informacje o wszystkich pożyczkach i wie, że wprawdzie nie używam kart kredytowych, ale mam kredyt hipoteczny i wcześniej kilka razy kupowałem coś na raty. Na ile moja historia kredytowa w danych BIK odwzorowuje ideał kredytobiorcy? Czy na przykład częste zakupy na kredyt uchodzą w bankowym kodeksie wartości za cnotę, po której łatwiej ocenić rzetelność klienta, czy raczej są wadą świadczącą o rodzącym się zakupoholizmie? A może przeciwnie – wadą jest sama oszczędność, bo bank woli za klientów nieprzewidywalnych utracjuszy? To

słodką tajemnicą algorytmów, karmionych przez zarząd banku bieżącą strategią sprzedażową, która raz może być bardzo ostrożna, a innym razem gotowa na ryzyko niewypłacalności klienta. Reguły gry wcale nie muszą tu wyznaczać uniwersalne wartości społeczne.

Minęły 74 sekundy. Jest decyzja. Moją wypłacalność oszacował program komputerowy, zestawiając informacje o mnie z matrycą stworzoną na bazie Big Data, czyli wielkich zbiorów danych, pozornie niemających ze sobą nic wspólnego. Rozproszone informacje o trendach w branży, w której pracuję, prognozach dla gospodarki i inflacji, o danych sprzedaży sprzętu RTV-AGD w Polsce oraz informacje z mojego rachunku bankowego, wzbogacone o historię kredytową, byłyby niestrawne nawet dla najwnikliwszego analityka. To samo zaserwowane algorytmem zasilanym olbrzymią mocą obliczeniową współczesnych komputerów, a co dopiero wspartym wiedzą o moich decyzjach konsumenckich, wy-

borach i preferencjach wyrażanych w mediach społecznościowych – układa się w bardzo trafną prognozę.

A gdyby w taki sam sposób pozarządzać całym społeczeństwem?

Co się liczy

Liceum numer 11 w chińskim Hangzhou, nieopodal Szanghaju, na pierwszy rzut oka nie różni się od reszty szkół tego ponad 9-milionowego miasta. Od kilku tygodni placówka bierze jednak udział w pilotażu pewnego bardzo ważnego dla władz w Pekinie projektu.

W klasach zamontowano na suficie po trzy kamery, a obraz z nich analizują w czasie rzeczywistym programy do rozpoznawania twarzy, które mają pomóc nauczycielom wychwycić moment, gdy uczniowie przestają skupiać się na zajęciach. Na licealistów – jak łatwo zgadnąć – padł blady strach.



→ „Wcześniej bywały lekcje, które mnie nudziły tak bardzo, że zdarzało mi się uciąć sobie drzemkę na ławce, albo przeglądać telefon – mówił niedawno portalowi hangzhou.com jeden z uczniów szkoły w wywiadzie cytowanym przez brytyjski „The Telegraph”. – Odkąd są kamery, nie pozwalam sobie na rozkojarzenie”.

Większa koncentracja na tematyce zajęć z pewnością uczniom nie zaszkodzi. Szkolę w tym, że program jest również w stanie identyfikować emocje, rozpoznając, czy słuchacze przyjmują tematykę z zadowoleniem, czy może treść wykładu budzi ich niechęć i złość. Pojedyncze obserwacje system następnie sumuje w coś na kształt profilu, który zdradza nie tylko to, jak długo i na czym uczeń potrafi skoncentrować uwagę, ale również to, jak przyjmuje konkretne informacje. A stąd już blisko do pytania, czy pod czujnym okiem kamery studenci pozwolą sobie choćby na cień zniecierpliwienia, gdy nauczyciel zacznie np. wychwalać politykę Komunistycznej Partii Chin.

Obserwacja zachowań uczniów to zaledwie część większego planu chińskich władz, który – to już oficjalna decyzja Pekinu – zakłada do 2020 r. ujęcie wszystkich obywateli w jednym sterowanym Systemie Zaufania Społecznego. Decyzja o jego budowie zapadła już w 2014 r. Od tej pory chińskie agendy rządowe pospół z największymi korporacjami zbierają dane biometryczne i osobowe wszystkich mieszkańców kraju. Po połączeniu ich z cyfrowymi zasobami chińskich urzędów, banków i serwisów społecznościowych, kontrolowanych oczywiście przez rząd, suma informacji pochodzących z tych źródeł pozwoli rządowym serwerom uzbrojonym w odpowiednio skrojone algorytmy śledzić na bieżąco niemal każdy krok i decyzję obywateli i przyznawać za nie punkty – jak w grze typu RPG. Minimalna wartość punktów systemu to 350. Górny pułap – 950, przy czym spektrum aktywności obywatelskich, podlegających ocenie władz, wykracza tu daleko poza to, co w zachodniej demokracji uważa się za prerogatywę rządu. System interesuje się nie tylko obywatelem-podatnikiem-wyborcą. Zamierza towarzyszyć obywatelowi przez 24 godziny na dobę siedem dni w tygodniu, na zakupach, przy urnie wyborczej, na urlopie, wieczorem w domu, podczas spotkań z przyjaciółmi, nawet na randce. Grasz często w gry wideo – tracisz punkty za marnowanie czasu. Kupu-

System Zaufania
Społecznego
to także koniec państwa,
w którym obywatele
są równi wobec prawa.
Tu równość sprowadza się
do powszechnego obowiązku
**poddania się wycenie
algorytmów Big Data.**

jesz w zagranicznych księgarniach internetowych ebooki, których lekturę rząd uważa za szkodliwą – to samo. Masz w gronie znajomych z mediów społecznościowych osoby z niską punktacją – sam je tracisz. Spotykasz się z tymi, których System wysoko ceni – w górę idzie także twój oficjalny ranking. Masz romans z mężatką – pożegnaj się z częścią dorobku punkтового. Segregujesz śmieci? Trochę ich odzyskasz. I tak dalej.

Pilotaż programu już zaowocował pierwszymi decyzjami. Od 1 maja blisko 9 mln Chińczyków, wskazanych przez algorytmy, straciło wstęp na pokłady samolotów. System doszedł do wniosku, że taka decyzja leży w interesie państwa, ale na jakiej podstawie – tego nie wiadomo. Pekin już zapowiada inne potencjalne ograniczenia dla obywateli z niskim rankingiem społecznym (kolejna niewiadoma: niski, czyli jaki?). Ich dzieci nie będą mieć wstępu do najlepszych szkół, dla rodziców niedostępne staną się z kolei wysokie stanowiska w ważnych chińskich firmach, mieszkania (choćby na wynajem) w bardziej prestiżowych lokalizacjach. Tak jak w społeczeństwie kapitalistycznym status społeczny jednostki konstytuuje zasobność jej portfela (a ściślej: jego siła nabywcza), tak nowe chińskie e-społeczeństwo, nadzorowane przez okrągłą dębę, ma się stratyfikować podług punktacji przyznawanej przez władze w nieustającym procesie wyceny opartej na analizie Big Data. Pod pewnym względem to również koniec państwa prawa, w którym obywatele są równi wobec Temidy. Tu równość sprowadza do powszechnego obowiązku poddania się wycenie.

Wielkiego Brata znali pierwsi czytelnicy Orwellowskiego „1984”, wydane go cztery lata po zakończeniu drugiej wojny światowej. Miał twarz Hitlera lub Stalina,

zarządzał światem i prawdą. Patrzył i nasłuchiwał, zawsze i wszędzie, co jednak nie znaczyło, że wszystko widział i słyszał. Niedoskonałość systemu inwigilacji była szansą dla podległych mu jednostek. W przypadku Systemu Zaufania Społecznego jedyną niedoskonałością wydają się sami inwigilowani. Algorytm nie może „nie dowiedzieć się” o czyichś decyzjach lub osądach, bo w rzeczywistości się o nich nie dowiaduje – nie musi. Chiński Wielki Brat, wsparty przez Big Data, po prostu wie, co robisz i jak myślisz jego podani. Wie to lepiej od nich samych.

Jak programista w grze komputerowej.

Cywilizacja zbieraczy

Bo w grze postać ewoluuje, rozwiązując kolejne zagadki i wykonując zadania, które twórcy zaprogramowali jej w jednym z dziesiątków, a czasem nawet setek równoległych scenariuszy. Główny bohater zyskuje w ten sposób dodatkowe umiejętności, funkcje i atrybuty budujące jego status w świecie, po którym się porusza. Gracz mimowolnie wchodzi z kolei w nieuchronną w tym układzie funkcję tropiciela pomysłów twórców gry. To fundamentalna różnica w porównaniu z sytuacją w świecie realnym, gdzie znalazłszy na przykład drzewo, możemy je ścinać i przerobić na schronienie, wejść na jego wierzchołek, namalować je na kartce i wejść z nim w interakcję na dziesiątki innych sposobów, jakie podsunie nam wyobraźnia.

W grze komputerowej nikt nie wejdzie na drzewo, jeśli programista nie dopuści w niej takiego scenariusza; więcej – samo znalezienie drzewa zależeć będzie od woli twórcy. W odniesieniu do samych gier taka obserwacja traci banałem, nabiera jednak kluczowego znaczenia z chwilą, gdy zrozumiemy, że dla większości młodych ludzi zachowania postaci w grze wideo stają się dziś jeszcze jednym wzorcem zachowań społecznych.

Jak twierdzą psychologowie zajmujący się ewolucją gier wideo, rozwija się w ten sposób coś w rodzaju analitycznej intuicji, która ułatwia wytropienie właściwej ścieżki. Właściwej – czyli tej, na której programista umieścił nagrodę. Powoli acz skutecznie granie osłabia za to zdolność do twórczej improwizacji. W klasycznym łańcuchowym, choć przypisywanym Hannibalowi powiedzeniu *Inveniam viam aut faciam* (Albo znajdę drogę, albo ją sobie utworzę), akcent przesuwają się zatem obecnie

na pierwszy człon. A stąd już krok do obserwacji, że dla pokolenia wychowanego na grach wejście w schemat współzależności z Big Data może być naturalną formułą koegzystencji, a nie podporządkowaniem. Jeśli Wielki Brat ma do rozdania punkty, mamy zebrać ich jak najwięcej.

Oddziaływanie na układ nagrody w mózgu działa zresztą obecnie nie tylko na grach i nie wyłącznie na młodych. Bujny rozkwit rozmaitych programów lojalnościowych, których członkowie hodują swoje statusy członkowskie dla często iluzorycznych korzyści, świadczy tylko o tym, że wielkiemu biznesowi, dla którego Big Data pracuje od lat, udało się z wdziękiem zintegrować atawistyczną ludzką potrzebę zbieractwa z nowoczesnym marketingiem.

Punkty stają się celem samym w sobie za sprawą globalnej tendencji do tzw. gamifikacji zachowań konsumenckich, podpowiadającym – oczywiście znów na bazie metaobserwacji Big Data – że lojalność klienta najłatwiej utrzymać, zaprosiwszy go właśnie do czegoś w rodzaju gry. Linie lotnicze szacują np., że wśród najczęściej podróżujących pasażerów około 4 procent stanowią już nałogowi poławiacze mil statutowych, które w odpowiedniej dawce można zamienić na srebrne, złote czy platynowe karty upoważniające następnie do wstępu do VIP-owskich saloników na lotniskach, dodatkowego bagażu czy szybszej odprawy.

Coś, co dla latających regularnie w celach czysto służbowych jest po prostu ułatwieniem, dla zbieraczy staje się odmianą szlachectwa. A że tytułu nie da się immatrykulować w świecie poza samolotem i lotniskiem? Nie szkodzi, po prostu wystarczy latać jeszcze częściej.

Masa krytyczna

W wielu sferach życia codziennego przesunięcie akcentu w stronę Big Data jest dziś w Polsce już faktem. Weźmy chociażby polski system bankowy, jeden z najnowocześniejszych w Europie, dzięki zapóźnieniom z poprzednich dekad, które po 1989 r. prywatyzowane polskie banki musiały błyskawicznie nadgonić, sięgając od razu po najnowsze rozwiązania – jak choćby transakcje dotykowe, wirtualne portmonetki czy właśnie algorytmy Big Data. Dziś spotkanie z pracownikiem banku w świecie rzeczywistym staje się wręcz wartością dodaną, zastrzeżoną dla klientów VIP. Reszta korzysta z bankowo-

ści już niemal wyłącznie online, a po drugiej stronie obsługą zajmują się maszyny. Z niedawnego badania na zlecenie Citibanku wynika, że w Europie przeciętny klient kontaktuje się ze swoim bankiem około 17 razy w miesiącu, z czego tylko jeden kontakt polega na rozmowie z pracownikiem – w placówce banku lub poprzez infolinię.

Bankowość to sfera biznesu, jedynie częściowo regulowana przez władze. Szkopuł w tym, że państwo polskie coraz głębiej zapuszcza w bankach administracyjne korzenie, próbując w ten sposób nadgonić nieco własne cyfrowe zapóźnienie. Kiedy wiosną 2016 r. ruszały wypłaty z programu 500 plus, rząd nawet nie próbował ukrywać, że oferta banków, które umożliwiły klientom składanie wniosków o zasiłki za pośrednictwem swoich systemów transakcyjnych, ratuje administrację przed kompromitacją.

Dziś większość banków w Polsce ma również zakładkę, za pomocą której można stworzyć i zalogować się do profilu zaufanego, czyli cyfrowego awatara obywatela służącego do kontaktów z urzędami. Prawo od dawna daje też uprawnionym instytucjom – policji czy służbom skarbowym – wgląd do historii każdego rachunku bankowego, z którego można dziś wyczytać znacznie więcej niż saldo konta. Operacje kartami płatniczymi zdradzają, co i gdzie kupowaliśmy, jakie mamy preferencje konsumpcyjne i jak gospodarujemy groszem.

Kilka dni temu Ministerstwo Finansów ujawniło projekt rozporządzenia, na mocy którego uzyskałoby dostęp do adresów IP, których używają klienci banków. Słowem, tkwiącego w każdym z nas *homo oeconomicus* władza ma już dziś na cyfrowym widelcu przy milczącym przyzwoleniu sektora bankowego, na którym – po reprivatyzacji Pekao SA i zakupie Alior Banku – Skarb Państwa jest ponownie największym właścicielem. W tym kontekście pytanie o poszerzenie zasobów operacyjnych polskiego Wielkiego Brata o informacje na temat *homo politicus*, *homo socialis*, a nawet *homo eroticus* nie brzmi już od dawna „czy”, ale „kiedy”.

– Od dłuższego czasu próbujemy sprawdzić, na ile polskie państwo zdołało już połączyć poszczególne cyfrowe źródła informacji o obywatelach, tworząc sobie w ten sposób dostatecznie silny strumień danych dla analizy Big Data – uśmiecha się prezeska Fundacji Panoptykon Katarzyna

Szymielewicz. – Niestety, z informacji, do których można dotrzeć oficjalną drogą, nie wyłania się klarowny obraz. Nieliczne przecieki na ten temat każą przypuszczać, że administrację to zadanie na razie przeraża, lecz równie dobrze mogą to być celowe próby dezinformacji.

Przydałby się polski Snowden – żartują działacze pozarządowi i faktycznie: bez szlachetnego informatora, który rzuci na temat więcej światła, stan zaawansowania prac nad polskim Wielkim Bratem wydaje się dziś nie do ustalenia. Można jedynie przyjrzeć się temu, co służby mają na wyciągnięcie ręki. To wystarczy na solidną migrenę.

„W Polsce, mimo dynamicznego rozwoju genetyki, nie ma regulacji prawnych, które określałyby kompleksowo zasady wykonywania poradnictwa genetycznego, bankowania materiału oraz bezpieczeństwa danych genetycznych” – to cytat z opublikowanego właśnie raportu Najwyższej Izby Kontroli o bezpieczeństwie danych genetycznych w Polsce. Raport nie pozostawia również złudzeń, że wobec braku stosownych regulacji właściciele laboratoriów i firm, którym coraz chętniej udostępniamy dane genetyczne (sama wysokość wydatków Polaków na testy genetyczne od 2015 r. wzrosła z 80 do 200 mln zł), zachowują zdrowy rozsądek i trzymają te próbki pod kontrolą. „Istnieje wysokie ryzyko pomyłek oraz błędnej interpretacji wyników, a także niewystarczającej ochrony danych genetycznych osób badanych” – piszą w konkluzji raportu kontrolerzy NIK.

A teraz dodajmy do tego dziesiątki e-sklepów serwisów i usług, do których logujemy się za pośrednictwem Facebooka, który stał się już czymś w rodzaju uniwersalnego cyfrowego identyfikatora tożsamości. Większość takich aplikacji używa w ten sposób również dostęp do części danych z konta. Dla algorytmów napędzanych Big Data nie ma przecież informacji, która byłaby bezużyteczna.

© © MAREK RABIJ



MICHAŁ KUŹMIŃSKI
i **MAREK RABIJ** będą gośćmi
Grzegorza Chlasty w środę

30 maja o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MAREK RABIJ:
Co się dzieje ze społeczeństwem skupionym na zbieraniu punktów rankingu własnej pozycji społecznej?

JACEK DUKAJ: Chyba żadna wybiegająca domysłami w przód odpowiedź nie jest tu możliwa – bo przede wszystkim nie znamy zasad tego punktowania. Możemy tylko zgadywać. W trybie takiej wyprzedzającej służalczości wobec władzy sam tworzysz w głowie projekcje Wielkiego Brata, któremu jak najszczerzej chcesz się przypodobać. Pamiętajmy ten mechanizm z PRL-u. Różnica względem współczesnej metody chińskiej polega na tym, że te projekcje najpewniej są obustronne, tzn. technologia pozwala już zorganizować system kontroli i manipulacji społeczeństwa, w którym nie musi istnieć Kontroler i Manipulator.

A państwo zna te zasady punktowania?

Jeśli pytacie o ludzi w aparacie państwowym, to mamy poważne przesłanki, by sądzić, że nie. Gdy po rewelacjach Snowdena rozmaite agencje USA zostały zmuszone do ujawnienia stosowanych kryteriów, np. w programach klasyfikujących obywateli jako terrorystów, ludzie oficjalnie nierzadko okazali się bezradni: sami już nie wiedzieli, dlaczego program działa tak, a nie inaczej. W przypadku np. Skynetu NSA samouczący się program analizy metadanych z połączeń komórkowych wskazywał cele dla ataków dronom m.in. w Pakistanie; liczba zabitych szła w tysiące. Ilu z nich naprawdę było terrorystami? Jakie wagi prawdopodobieństwa program przyłożył, by to osądzić? Właśnie dlatego używa się do podobnych zadań sztucznej inteligencji, bo żaden człowiek nie jest w stanie operować na tak ogromnych zbiorach danych.

Ta sama logika rządzi ewolucją algorytmów po obu stronach Pacyfiku, można więc założyć, że w Chinach mają podobny problem: sami nie wiedzą, dlaczego sztuczna inteligencja wylicza ludziom takie, a nie inne punktacje pozycji społecznej. Znają zapewne tylko początkowe ogólne założenia.

A zauważcie, że mówimy o narzędziu, które pozwala rzeźbić nie tylko relacje społeczne, ale też głęboką *psyche* człowieka oraz, docelowo, jego podstawę

Lustro coraz mniej czarne

JACEK DUKAJ, PISARZ:

W epoce Big Data wiedza o człowieku jest poza człowiekiem. Znają cię lepiej, niż ty sam siebie znasz. Kto? Agenci logosu. Bazy danych. Profile. Nieludzkie oprzyrządowanie człowieka.

biologiczną. Pomyślcie o ludziach, którzy się w takim systemie urodzą i wychowają. Bezpośrednią pochodną pozycji w Social Credit System jest ich przynależność gatunkowa.

Jak to?

Chińczycy nie zakładają naszych etycznych i prawnych ograniczeń w stosowaniu do ludzkich embrionów technologii CRISPR, pozwalającej edytować i przepisywać kod genetyczny. Na Zachodzie dominują obawy, że za sprawą CRISPR bogaci oderwą się od reszty ludzkości, kupując genetyczne ulepszenia, na które nie stać ubogich, i wkrótce stanowiąc będą inny gatunek, jak Eloje i Morlokwowie w „Wehikule czasu” H.G. Wellsa. Chińczycy zaś nie widzą powodu, dla którego nie mieliby finansować i promować nie tylko inżynierii społecznej, psychologicznej, ale też genetycznej. Skala, na którą już ingerowali w profil genetyczny setek milionów obywateli, np. polityką jednego dziecka, na Zachodzie jest do pomyslenia tylko w hollywoodzkich dystopiiach.

Połączcie teraz tę technologię z inżynierią społeczną za pomocą zintegrowanego Social Credit System. Obyczaj, moda promowana w jego algorytmach odbija się tak samo w wybieranych dla dzieci genach.

Można sobie tłumaczyć, że Chiny to państwo niedemokratyczne. Ale czy coś takiego byłoby możliwe w demokracji zachodniej?

Pytanie raczej, czy demokracja w zachodnim rozumieniu w ogóle pasuje do takiej rzeczywistości. Chińczycy nie postrzegają demokracji tak jak my – jako systemu, względem którego wartościuje się resztę, a który sam nie podlega wartościowaniu. Widzą raczej konglomerat rozmaitych wartości, które – w zależności od historycznego, cywilizacyjnego momentu – układają się w takiej czy innej hierarchii: zachowanie spójności państwa, utrzymanie porządku społecznego, dobrobyt, bezpieczeństwo, wreszcie jakaś wersja praw człowieka, z wolnością wypowiedzi itp. Dla każdej takiej hierarchii i dla każdego momentu cywilizacyjnego od nowa zadajesz sobie pytanie: jaki system sprawowania władzy i jaki porządek społeczny, gospodarczy najlepiej się sprawdzi? I demokrację stosują akurat na najniższych szczeblach: rad lokalnych czy pracowni-
czych. Ale wyżej wchodzi już merytokracja, a jeszcze wyżej – polityka rozumiana

jako umiejętność kumulowania władzy. Social Credit System jest po prostu jednym z narzędzi zabezpieczenia tego ładu; demokracja – innym.

Na tak zdefiniowanym polu Zachód przegrywa jako jawnie niepragmatyczny. Jaką argumentację może przeciwstawić powyższej racjonalności? „Nie, bo nie”? „Bo tradycja”? „Bo Ateny i Monteskiusz, więc tak być musi po wsze czasy”?

Bo godność człowieka? Wolność jednostki?

Godność człowieka na czym oparta? Z czego się wywodzi? Z umowy społecznej? No to oni mają inną.

Zresztą wcale nie jest pewne, że człowiek ze swoją podmiotowością przetrwa kolejne konsekwencje rozwoju programów modelujących jego zachowania i rozwoju Big Data. Mottem epoki Big Data może być taka sentencja: „Wiedza o człowieku jest poza człowiekiem”. Znają cię lepiej, niż ty sam siebie znasz. Kto? Agenci logosu. Bazy danych. Profile konsumencie. Modele w korporacjach i agencjach rządowych. Nieludzkie oprzyrządowanie człowieka.

Następuje „odczarowanie” człowieka. Kres psychologii głębi. Święta tajemnica, którą nosiliśmy w sobie od zarania języka – nazywana dajmonionem, iskrą, tchnieniem Bożym, czarną skrzynką – nie gwarantuje już naszej podmiotowości.

Yuval Noah Harari w „Homo Deus” używa do opisu tego fenomenu genialnego, nieprzetłumaczalnego neologizmu. W języku angielskim „jednostka” to *individual*: *in-dividual* – „niepodzielny”. Harari odejmuje przedrostek „in” – odtąd podmiotem jest *dividual*.

Kim jest dividual?

To fizyczny ty plus modele ciebie, jakie zbudowano na podstawie zebranych danych o twoim zachowaniu. Jego „serce” stanowi ten bardzo specyficzny sprzęg, swoista metafizyczna pętla. Testem efektywności modelu jest, na ile dobrze przewiduje twoje zachowania, np. decyzje zakupowe. Ale od pewnego momentu żadne takie testowanie nie jest możliwe, bo zanim podejmiesz decyzję, zostaniesz wyprzedzony przez wybory dokonane „za ciebie” przez twój model. Kto tu więc jest podmiotem?

A przecież chcesz, żeby to model wybrał! Jeśli jest dobry – z definicji wybiera lepiej od ciebie. Właśnie dlatego, że wej-

rzał głębiej w twoją czarną skrzynkę. Ty fizyczny nie uświadamiasz sobie większości swoich pragnień, kompleksów, marzeń. *Dividual* cię dopełnia, odsłania prawdę wcześniej niewysławialną.

Decyzje zakupowe to jedno, ale czy działa to też w wyborach politycznych?

Ale czy te płaszczyzny da się rozdzielić? YouTube, Facebook czy Twitter to komercyjne produkty firm, ale już dziś są one też agorą, na której toczy się życie polityczne. A to uważam za najważniejszy, konstytutywny element demokracji. Nie głosowanie; to tylko procedura. Lecz ów proces wzajemnego przekonywania się obywateli do swoich racji, którego archetypem była rozmowa obywateli greckiego *polis* na agorze.

Tą agorą są dziś media społecznościowe – i nie jest to przestrzeń neutralna.

Bo algorytmy na podstawie Big Data dokonują za nas preselekcji tematów i dyskutantów?

W ogóle cenzurują one coraz większą część treści, i to – poza najbardziej oczywistymi przypadkami pornografii czy przemocy – na podstawie enigmatycznych i często zmienianych kryteriów.

Jednak subtelniejszym, a znacznie istotniejszym odkształcaniem tej agory jest sama forma medium: np. fakt, że na Twitterze możesz się wypowiedzieć tylko w telegraficznym skrócie, z góry eliminuje część argumentacji. Forma komunikacji nie jest obojętna dla treści.

Sama natura *social media* jako z pozoru całkowicie zdehierarchizowanej przestrzeni dyskursu kompletnie przeorientowała demokrację. Nikt już nie zaprzecza, że przejście z epoki mediów 1.0 (prasy, telewizji, radia) do epoki mediów 2.0 (internetowych, poziomych) stanowiło jedną z przyczyn zwycięstwa Trumpa, europejskich populistów, brexitu.

Co więcej, media społecznościowe mocno forsują przekaz audio i wideo zamiast tekstowego. Ta zmiana wyłącza myślenie, które zawdzięczamy piśmu: analityczne, linearne, polegające na obracaniu w głowie idei. Zastępuje je myślenie emocjonalne, polegające na utożsamianiu się z człowiekiem – twarzą, głosem; na oddziaływaniu przez kumulację anegdotycznych danych zamiast logicznego wnioskowania. Przechodzimy do kultury postpiśmiennej.

A Pan ma konto na Facebooku?

Nie. Jeszcze zanim zaczęto mówić o *social media*, wiedziałem, że nie chcę w nich żyć i być przez nie żyty.

To zresztą pokazuje kolejne odkształcenie współczesnej agory: ludzie, którzy nie chcą się odpodmiotować jako *dividuale*, wypisują się z demokracji.

A skoro Big Data służą poznaniu nas lepiej, niż znamy sami siebie, to upada jeden z fundamentów zachodniego myślenia: że natura ludzka jest nieprzewidywalna?

Demokracja ma sens, dopóki istnieje w nas ta ciemna otchłań, w którą starała się zajrzeć psychologia głębi. Nie uświadamiamy sobie siły, istoty tego związku. Dopóki jednostka jest w stanie w niepodległym akcie woli podjąć decyzję polityczną i nie da się poznać i przewidzieć, dlaczego akurat tak zdecydowała, dopóty można w ogóle mówić o „rządach ludu”. Ale jeśli ktoś potrafi sięgnąć do wnętrza naszych „czarnych skrzynek” i wie, co tam nacisnąć, przekręcić – to już nie my decydujemy. Chociaż oczywiście w subiektywnym odczuciu pozostajemy absolutnie wolni: zakreślamy na kartce tego kandydata, którego przyszło nam do głowy zakreślić. Ale skąd, jak „przyszło” – to jest poza nami.

I Ameryka ze zdumieniem odkrywa, że wybrała Trumpa...

Demokraci za Obamę robili to samo. I chwalili się otwarcie: że są tacy nowocześni, inwestują w Big Data, w indywidualny *profiling* wyborców, mają za sobą całą Silicon Valley – a Republikanie, wiadomo, banda ćwoków i antyscjentystów. Polecam artykuł w „Wired” z 2016 roku o Civis Analytics.

Afera z Cambridge Analytica to mimo wszystko ważny krok do powszechnego uświadomienia, jak szybko zbliżamy się do momentu, gdy demokracja jest pustą procedurą, w której miliony chodzą do wyborów, ale krzyżyki na kartkach stawia ich rękami kto inny.

Kto?

Ci, co zawsze. Już Arystoteles opisywał, jak się wyradza demokracja. Skoro decyduje większość, to najbogatsi albo wprost ją przekupią, albo wynajmą sofistów, którzy zagrają odpowiednio na emocjach tłumu – tak jak dzisiaj wynajmuje się Cambridge Analytica czy firmy

JACEK DUKAJ:

Czy jako *dividual* wolisz bardziej żyć na serwerach Google’a, Alibaby, Kremla – czy polskich?

PR-owe. I rodzi się oligarchia. Tak argumentuje np. Timothy Snyder: Ameryka jest na drodze do oligarchii, bo najbogatsi skutecznie zarządzają społeczeństwem za pomocą XXI-wiecznych narzędzi manipulacji – podczas gdy Rosja Putina już tam dotarła.

Nasze wyobrażenia o tym, jak powinno funkcjonować społeczeństwo, co jest dobre dla jednostki i dla ludzkości, wynikają w dużym stopniu z naszego stylu życia, ze środowiska kulturowego. A te kształtowane są przez użytkową technologię i *social media*. Kto zatem tworzy nasze wartości? Bezos, Gates, Zuckerberg, Brin i Page. Oni najmocniej rzeźbią naszą codzienność – a zatem i poczucie „normalności”, wektory pożądań, kanony piękna – a więc i wartości, i wyobrażenia, według których też głosujemy.

Czyli jak w Chinach: demokracja jest gdzieś u dołu piramidy, a wyżej jest już merytokracja i polityka. Czy Pana zdaniem jest tylko kwestią czasu, aż Zachód rozwine taki sam system kontroli oparty na Big Data jak Chiny?

Taki sam – nie. W Chinach na skuteczność tego systemu wpływa specyfika ich kultury: 2,5 tysiąca lat konfucjanizmu. Po drugie, Chiny są państwem zintegrowanym, głęboko hierarchicznym i pozbawionym wewnętrznej konkurencji. Łatwiej tam zarządzać wielkie eksperymenty niż w laboratorium społecznym. Zachód jest sfragmentaryzowany i działa tu konkurencja: wprowadzę taki system, ale inne państwa wprowadzą inny, więc przegram pod względem efektywności gospodarczej, militarnej itp.

Owszem, póki systemy wprowadzają państwa, a nie wielkie, ponadnarodowe, monopolistyczne korporacje.

Zgoda, to macherzy z Silicon Valley są najbliżsi mandarynom wielkiego laboratorium społecznego. Wystarczy poczytać manifesty Zuckerberga.

Ale na dłuższą metę te różnice między Wschodem a Zachodem nie mają znacze-

nia. Bo tak czy owak postęp w zbieraniu danych, kumulacji wiedzy o jednostkach i wyprzedzaniu przez Big Data naszych decyzji jest nieunikniony. No, chyba że dojdzie do jakiejś globalnej katastrofy, która zniszczy lub zastopuje całą cywilizację.

To nie ślepy determinizm. Po prostu nie znalazłem dotąd żadnego racjonalnego scenariusza alternatywnego. Rozwiązania polityczne nie są możliwe – bo to musiałaby być jednomyślna zgoda absolutnie wszystkich państw, firm i naukowców na świecie.

Jeden z bohaterów Pana powieści używa tzw. randomizera behawioru...

Okazuje się, że to jeden z moich najlepszych wynalazków. I mam wrażenie, że byłby dziś bardzo popularny. Tak naprawdę to jedyna możliwa zasłona przed Sauronowym okiem Big Data.

Jak on działa?

Bardzo prosto, pod warunkiem, że masz implant w mózgu, który pozwala programować twoje ruchy, głos, mimikę. Randomizer dokłada do nich element przypadku. W efekcie prezentujesz się światu jakby przepuszczony przez generator liczb losowych. Toteż wszelkie twoje modele z Big Data są fałszywe.

Co prawda już się pracuje nad technologią czytania nas nie z zachowań, lecz poprzez wgląd bezpośredni, z mózgów. Warto śledzić styk neuronauk i bezpieczeństwa; dużo ujawniają choćby oficjalne zamówienia DARPA [agencja armii USA zajmująca się zaawansowanymi technologiami – red.]. Np. w 2016 r. wydała ona 60 mln dolarów na implant łączący mózg z komputerem. Następnym praktycznym celem jest odczytywanie przez bramki na lotniskach – z wzorców aktywności mózgowej – terrorystycznych intencji.

Z drugiej strony, nawet osoby żyjące kompletnie poza obiegiem cyfrowym, nieuczestniczące w mediach społecznościowych, niekupujące *online*, oferują informacje o sobie pośrednio – przez samo istnienie w świecie fizycznym i interakcję z ludźmi pozostającymi w cyfrowym obiegu.

Rozmawiamy w kawiarni, która ma monitoring, mamy włączone smartfony z geolokalizacją, a w cyfrowych kalendarzach zanotowaliśmy, że spotykamy się z Panem.

A ktoś przechodzący obok ulicą rozmawia przez telefon albo właśnie robi sobie *selfie* – i już jesteśmy uchwyceni.

Wszystko jest tylko kwestią czułości aparatury?

Na pustyni w Utah od czterech lat działa wielka serwerownia Narodowej Agencji Bezpieczeństwa USA (NSA), która zbiera wszystkie cyfrowe dane z całego świata. Nawet jeśli jest to biały szum, czysty chaos, NSA wychodzi z założenia, że warto go zapisać, bo kiedyś w przyszłości pojawi się technologia, która pozwoli go zdekodować.

To polityka. Ale może was pocieszy, że dojdziemy w końcu do punktu, w którym zbieranie informacji straci sens ekonomiczny, bo trafność owych modeli konsumenckich będzie tak wysoka, że nowe dane nie podniosą jej w znaczący sposób. A zbieranie i przetwarzanie informacji kosztuje.

Nasza nadzieja w tym, że biorąc pod uwagę marny stan integracji rozmaitych baz danych, do których dostęp ma polski Wielki Brat, nasze państwo z obrabianiem naszych Big Data sobie nie radzi.

A dlaczego nadzieja?

Bo nie chcemy być inwigilowani.

Pomyślcie o tym inaczej: gdyby państwo polskie wiedziało o was więcej, czy nie dawałoby wam to odrobinę większej podmiotowości niż wtedy, gdy informacjami o was dysponują wyłącznie obcy, tj. ci, których interes jest słabiej skorelowany z waszym?

Dziś nie trzeba być już obywatelem Chin, by znaleźć się w ich rankingach. Wystarczy używać któregoś z chińskich gadżetów albo kupować w chińskich sklepach internetowych. Ja mam np. chiński oczyszczacz powietrza, którym steruje się z poziomu aplikacji na smartfon. Ale żeby jej używać, trzeba wyrobić sobie ID w chińskiej sieci. Mam więc już u nich jakiś *rating*. Gdybym wiedział o tej pułapce, mógłbym jej uniknąć kupując inny oczyszczacz – zdecydowałem się na chiński, bo miał najlepszą relację ceny do jakości.

Po podobną presję subtelnych psychologicznych oddziaływań sięgały też rządy zachodnie. Bodaj najbardziej otwarcie – rząd Wielkiej Brytanii za czasów Camerona. Stworzył nawet specjalną komórkę

JACEK DUKAJ:

Zanim podejmiesz decyzję, zostaniesz wyprzedzony przez wybory dokonane „za ciebie” przez twój model z Big Data. Kto tu więc jest podmiotem?



ADAM WALANUS

JACEK DUKAJ jest pisarzem, autorem powieści, opowiadań i esejów, w których tworzy światy, historie, idee i wizje przyszłości. Laureat m.in. Europejskiej Nagrody Literackiej i Nagrody Kościelskich, autor m.in. powieści „Czarne oceany”, „Córka łupieżcy”, „Perfekcyjna niedoskonałość”, „Lód”.

opartą na teorii *nudge* Richarda Thaler. Władza nie zmusza obywatela do konkretnego wyboru, ale żeby wybrać inaczej, trzeba nieco więcej wysiłku – coś kliknąć, gdzieś zadzwonić. Dzięki odkryciom nauk społecznych i neuro wiemy, że 99 proc. ludzi nie robi nawet tyle. Można ugniatać i rzeźbić społeczeństwo na wiele sposobów, nie tylko chiński.

Big Data to po prostu kolejny etap rozwoju ludzkości?

Era Big Data nadeszła, ponieważ mamy technologiczne możliwości, żeby osiągnąć taką kumulację danych, których ludzki mózg sam nie byłby w stanie przeanalizować. To już nie ludzkość jest podmiotem czytającym owe dane; podmiotem staje się sama technologia, popychana swoją inercją. A im dalej postępuje, tym mniej z niej rozumiemy, i coraz mniejszą mamy nad nią kontrolę.

Dekonstrukcja mitu człowieka jako podmiotu zaczęła się na długo przed Big Data. Psychologia społeczna i ekonomia behawioralna od dekad kumulują dowody podważające iluzję decyzyjności człowieka. Wydaje się nam, że robimy coś ze świadomego postanowienia, podczas gdy jedynie „usprawiedliwiamy” wybór dokonany poza naszą świadomością. Ogromną większość decyzji, w tym tych najdonioślejszych, podejmujemy pod wpływem impulsu, w odruchu opartym na stereotypach, z gry hormonów. Dopiero *post factum* budujemy logiczną narrację o tym, dlaczego zrobiliśmy, co zrobiliśmy. Big Data mocno korzysta z tych odkryć.

Ale jeśli Big Data sięga do czarnej skrzynki podmiotowości, to chyba zdrowy jest odruch obronny? Broniąc się przed Big Data, chronię własną podmiotowość?

Jak najbardziej. Tylko do jakiego stopnia jest to jeszcze możliwe? Te odruchy obronne także podlegają modelowaniu.

Myślę, że dla dzieci następnego pokolenia, dla tych urodzonych z tabletami w rękach, wasze dylematy będą kompletnie niezrozumiałe.

„Porzućcie wszelką nadzieję”?

Zwycięstwo starego modelu człowieczeństwa jest skrajnie nieprawdopodobne. Przyzwyczajmy się.

A jak się z tym czuje Jacek Dukaj, autor historii o ludziach rozpytywanych się w systemach?

Jak fatalistyczny fascynat: po trosze zadowolony, jak bardzo kierunek rozwoju społecznego i cywilizacyjnego zgadza się z jego modelami – zarazem smutny, że nie zgadza się z nadziejami. Większość moich przewidywań nie pokrywa się z moimi życzeniami. Ale chciejstwo nie ma tu nic do rzeczy. I na nie też przecież wpływa rzeczywistość podlegająca tym właśnie zmianom.

Ludziom bardzo trudno rozdzielić te dwa poziomy. Odruchowo uznają diagnozy rzeczywistości za życzenia diagnozującego. My też rozmawiamy głównie w trybie „grozy odczłowieczenia”. Tymczasem w perspektywie geopolitycznej jakikolwiek „humanistyczny izolacjonizm” to strategiczny błąd. Dobrowolne samo-okaleczenie się, rozbrojenie przed walką. Polska ma już parę takich historycznych →

→ wywrotek na koncie. Nie czynimy z romantycznego oporu wobec Big Data nowego *liberum veto*.

Spójrzmy na to wszystko z lotu ptaka (albo Ducha Dziejów). Obecnie rozpychają się trzy światy Cyfry, tj. ekosystemy równoległych mediów społecznościowych i gospodarki cyfrowej. Świat anglosaski, chiński i rosyjski. Granice wytoczył alfabet, utrudniający użytkownikom migracje, ale duże znaczenie mają siła gospodarek i wola polityczna (Chiny i Rosja świadomie rozwijają swoje uniwersa; Zachód jest na nie asymetrycznie „otwarty”). Tak jak średniowieczne cywilizacje (chrześcijańska, muzułmańska) niosły ze sobą w pakiecie alfabet, religię, estetykę, obyczajowość, system polityczny i gospodarczy, tak funkcjonowanie w tym czy innym uniwersum Cyfry silnie formatuje całość relacji międzyludzkich.

Polska jest częścią anglosaskiego świata Cyfry. W porównaniu z jej pozycją Peryferium w realu tu jednak wagi mogą się rozłożyć trochę inaczej. Mamy np. jeden z najnowocześniejszych systemów bankowych. Wprowadza się u nas te cyfrowe rozwiązania z wyprzedzeniem – np. płacenie bezdotykowe – ponieważ specjaliści odkryli, że Polacy nadzwyczaj dobrze sobie radzą z adaptacją do nowych technologii. Plastyczność, otwartość na zmiany, odwaga „kombinowania” – to cechy wyższego rzędu. Nie wskazują na konkretne jakości („bycia blondynem”, „bycia rolnikiem”), ale na zdolność do wykorzystywania nich i zmieniania ze względu na niezależny cel. W epoce, w której zewnętrzna wiedza o człowieku stanowi narzędzie reprogramowania społeczeństw, konkurencja przenosi się na ten właśnie poziom. Symbolicznym przykładem są tu Stany Zjednoczone jako państwo emigrantów związanych jedynie uznaniem dość abstrakcyjnych wartości ojców założycieli.

Jak więc brzmi praktyczne wyzwanie dla nas?

Zabrałbym się za definiowanie polskości na tych cechach wyższego rzędu. Wiemy, że się zmieniamy, że zmiana jest konieczna, że za sto lat nie będziemy tacy jak teraz, podobnie jak teraz nie jesteśmy tacy jak za Mickiewicza czy Kałubka. Dokładnie tę pracę „wyciągania pierwszej pochodnej polskości” wykonują historycy-narratorzy, jak Andrzej Nowak, tylko że oni opisują tę część wektora zmian, którą

mamy już za sobą. Lecz jakie przedłużenie wektora w przyszłość spełni te kilka warunków: zgodność z łacińskim uniwersum Cyfry; przewaga konkurencyjna; spójność w czasie? Ten ostatni warunek opisuje konieczność „wyprzedzającej zgodności” z poczuciem polskości przyszłych pokoleń. Częściowo owe zagadnie-



JACEK DUKAJ:

Nawet osoby żyjące
kompletnie poza obiegiem
cyfrowym oferują informacje
o sobie przez samo istnienie
w świecie fizycznym
i interakcje z ludźmi
pozostającymi w tym obiegu.

nia powinna ogarniać długofalowa polityka kulturowa i strategia dyplomatyczna kraju.

W epoce Big Data i personalnego profilu środki używane w tych rozgrywkach nie różnią się wszakże niczym od metod korporacji czy agencji bezpieczeństwa. Operacje Putina w świecie Cyfry, które Snyder w swojej najnowszej książce opisuje jako pchnięcie tożsamości Zachodu ku *politics of eternity*, są właśnie taką inżynierią społeczną przeprowadzaną dzięki nowoczesnym technologiom – inżynierią zaaplikowaną do obcych społeczeństw jako broń. Jeśli więc nie mamy być jedynie przedmiotem takich gier, co-raz precyzyjniej ugniatających nas poza

naszą świadomością ku tożsamości służącej cudzym interesom – to musimy od razu wejść w ten wyścig, a nie dawać konkurencji forów pod hasłem humanistycznej kontestacji Cyfry.

I kwestia przenosi się wówczas na poziom konfrontacji i wyważania dwóch podmiotowości: jednostkowej i grupowej. W paradygmacie indywidualistycznym – wypisuję się z państwa, uciekam spod jego aparatu inwigilacji i analizy, zamykam się w swojej prywatności. W paradygmacie wspólnotowym – negocjuję zakres mojej podmiotowości wobec grupy.

Co współcześnie oznacza cedowanie tej podmiotowości na zewnętrznych agentów. Coś zyskuję, coś tracę. Jaki jest podstawowy argument utilitarystów za patriotyzmem? Że interes jednostek w dużym stopniu stanowi pochodną ich tożsamości kulturowej, toteż efektywniej go realizują, organizując się wedle tożsamości.

Ostatecznie dylemat przedstawia się więc tak: Czy jako *dividual* wolisz bardziej żyć na serwerach Google’a, Alibaby, Kremla – czy polskich?

Skoro więc pytanie „Big Data – tak czy nie?” jest źle postawione, to jak brzmi właściwe humanistyczne pytanie?

„Jak wiele chcemy wiedzieć o nas samych?”

Jeśli zgadzamy się, że nie zatrzymamy przyrostu tej zewnętrznej wiedzy o nas, to albo pozostaniemy biernym, biologicznym składnikiem *dividuala*, albo spróbujemy nadążyć – na ile to możliwe – za tą cyfrową eksploracją głębi człowieka. Jeśli przeczytasz kilka książek Daniela Kahnama czy Jonathana Haidta, zorientujesz się w funkcjonowaniu gadżetów, których używasz, poczytasz o polityce korporacji, pod których opiekę się oddajesz – uczyni cię to ciut bardziej podmiotowym. Nie przestaniesz być modelowany przez Big Data, ale skomplikujesz ten modelunek. Mówiąc językiem biblijnym, zwierciadło twojej duszy stanie się odrobinę ciemniejsze, bardziej nieprzejrzyste.

Reszta jest poza tobą. Nie zmienisz kierunku rozwoju technologii ani wektora darwinowskiej konkurencji państw i biznesów. Nawet *offline* pozostajesz zbiorem danych, które ktoś tak lub inaczej czyta i analizuje.

© Rozmawiali

MICHAŁ KUŹMIŃSKI I MAREK RABIJ



„TP” 21 / 2018

Pomocowa niemoc

Siostra Małgorzata Chmielewska w rozmowie „Najsłabszy powinien być VIP-em” mówi o „przemocy pomocowej”, i taką właśnie oferuje większość państwowych placówek. Bo jak inaczej nazwać konieczność comiesięcznego występowania

o dofinansowanie do leków na przewlekłą chorobę dla starszych ludzi, których dochody przekraczają minimum socjalne o nawet kilka złotych? Jak niedołączna osoba mieszkająca na czwartym piętrze bez windy ma po to dofinansowanie każdego miesiąca się zgłosić? Jak nazwać konieczność przyjmowania pomocy w DPS, któremu często brakuje fachowej kadry i przyjmuje do pracy osoby przypadkowe, każąc jeszcze za swoje „usługi” słono płacić? Jak określić przyznawanie 63 złotych miesięcznie na pieluchy, co podobno nie starcza na dwie dziennie?

Czy ktoś z wymyślających ten przepis ogranicza się do użytkowania toalety w takim właśnie zakresie? I czy zna następstwa swoich decyzji? W rozmowie z Ewą Woydyłło pt. „Wiek to nie data ważności” pada bardzo istotne stwierdzenie: że seniorzy potrzebują towarzyszenia im w starości i stworzenia warunków, by przeżywali ją godnie. Potrzebują oddania im miejsc w społeczności, na które zapracowali swoim życiem, a w chorobie wsparcia i opieki takiej, by nie czuli się ciężarem. Podobnie ludzie chorzy, niepełnosprawni

i ich opiekunowie – nie są ubezwłasnowolnieni, by podejmować za nich decyzję, jakiej pomocy potrzebują. Jeśli między żądaniami innych nie zobaczymy autentycznych potrzeb, które wcześniej przeoczyliśmy, a ich zmusiły one do kroków radykalnych, to nie jesteśmy społeczeństwem chrześcijańskim. Nie ma spraw, które nas nie dotyczą, bo albo dotyczyć nas mogą w przyszłości, albo dotyczyć kogoś za ścianą. Ani chwila, w której żyjemy, ani ta ściana nie powinny zwalniać nas z myślenia.

JOANNA RÓZGA

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” DODATEK SPECJALNY:

Izrael: 70 lat niepodległości

TWARDA, ASCETYCZNA BARWA GŁOSU DAWIDA BEN GURIONA

idealnie komponowała się z trzeszczącymi radioodbiornikami, w które wstuchiwały się tysiące Żydów w Erec Israel. Był piątek, 14 maja 1948 r., chwilę po szesnastej, jeszcze przed szabasem. Zebrani w Muzeum Sztuki Tel Awiwu członkowie Tymczasowej Rady Państwa odśpiewali „Hatikwę” (hebr. Nadzieja), która stała się hymnem powstającego właśnie państwa. Następnie przy mikrofonie stanął Ben Gurion. Deklarację Niepodległości odczytał, a w zasadzie wygłosił z wielką stanowczością. Wiedział, że jego słowa zmienią bieg historii.

Faktycznie: tego dnia dokonano się głębokie zmiany w światowej konstelacji geopolitycznej. Ale nie odbyło się to z niczego, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki...

W specjalnym dodatku do „Tygodnika”, który ukaże się w środę 6 czerwca, opowiemy o tym, jak rodził się niepodległy Izrael – i jaki był wkład polskich Żydów w jego powstanie. A także o tym, jak zmieniły się tożsamość i kultura izraelskiego społeczeństwa w ciągu tych 70 lat. Oraz jak sytuacja ciągłego zagrożenia stała się motorem do rozwoju najnowszych technologii – i uczyniła z Izraela jeden wielki start-up.

Dodatek wydany we współpracy z:



Partner wydania:



TO NIE TYLKO LINIA LOTNICZA. TO IZRAEL

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na
„Lekcje
czytania”



WOJCIECH BONOWICZ W ODOLANOWIE I ZGIERZU

We wtorek, 5 czerwca, w LO im. Władysława Jagiełły przy ul. Krotoszyńskiej 121 w Odolanowie WOJCIECH BONOWICZ zaproponuje uczniom lekturę „Mikrotyków” Pawła Sołtysa.

Następnego dnia, 6 czerwca, WOJCIECH BONOWICZ spotka się ze zgierskimi licealistami, by porozmawiać o opowiadaniu Kornela Filipowicza „Wspomnienia są moim słodkim pokarmem” (z tomu „Romans prowincjonalny i inne historie”).

Lekcja ta, współorganizowana przez Miasto Zgierz, odbędzie się w Parku Kulturowym Miasto Tkaczy.

■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl



PAWEŁ

Śpiewak: *Eliasz na górze Horeb*



WIELKI GNIEW WZBUDZIŁ ELIASZ TYM, ŻE POMORDOWAŁ mieczem wszystkie proroki Baala. Śmiercią zagroziła mu żona króla Achaba Jezabela, pochodząca z Sydonu w Fenicji. Prorok uciekł do Beer Szewy na pustyni Negew, a potem na Pustynię Judzką. Zmęczony, głodny, spragniony, samotny, życzył sobie śmierci. Nie wierzył w swoją przyszłość. Zasnął pod jałowcem, a we śnie obudził go anioł i rzekł mu: wstawaj i jedz. Przed Eliaszem leżał świeżo upieczony chleb i woda. Pożywił się, a anioł kazał mu zjeść kolejny posiłek, powiadając: długa droga przed tobą. Gdy skończył, Eliasz ruszył na południe. Szedł przez 40 dni i 40 nocy, tyle, ile trwał potop.

Aż dotarł prorok na górę Horeb (zwaną też Synaj), gdzie Mojżeszowi ukazał się krzak płomienisty i usłyszał po raz pierwszy głos Boga. Eliasz wszedł do jaskini, którą wcześniej odwiedzał tylko Mojżesz, i tam dobiegło go pytanie Boga: „Cóż tu robisz Eliasz?”. Prorok odparł: „Gorliwie się zastawiał u Pana, Boga zastępów; albowiem synowie Izraelscy opuścili przymierze Twoje, ołtarze Twoje zburzyli i proroki Twoje mieczem pomordowali, a zostałem ja sam, i szukają duszy mojej, aby mi ją odjęli”.

Wtedy JHWH nakazał mu wejść na górę. A gdy Eliasz tam stał, przeszedł wiatr potężny łamiący skały. Ale Pan nie był w owym wietrze. Za wiatrem przyszło trzęsienie ziemi, ale w nim nie było Boga. A potem przyszedł ogień, ale Pana nie było w ogniu. A za ogniem przyszedł głos cichy i wolny. W innych tłumaczeniach mowa jest o głosie całkowitej ciszy. W tej ciszy był Bóg. Gdy cisza dotarła do Eliasza, ten zakrył swoje oblicze płaszczem podobnie jak Mojżesz, który zakrył swoją twarz, słysząc Boga w krzaku gorejącym. I znowu Bóg zapytał: „Co tu robisz?”. Eliasz powtórzył: „Bronię Imienia Pańskiego”. Nie wiemy, czy jest to opis snu Eliasza, czy rzeczywiście wszystko to zdarzyło się na jawie. Bóg nakazał prorokowi, by wrócił do królestwa Izraela i naznaczył Jehu królem. Eliasz uczynił to, co mu zostało nakazane. Boga spotkał nie przy dźwiękach szofarów. Nie przy blasku błyskawic. Nie towarzyszyło objawieniu poruszenie ziemi. Tylko cisza, jakiej doświadczały wybrani mistycy. Bóg był nieobecnością, wycofaniem. Dostępny tylko tym, którzy rozumieją istotę i sens ciszy (1 Krl 19).

Eliasz był człowiekiem czynu. Walczył mieczem o swoją prawdę, ale potrafił też stanąć w milczeniu przed Bogiem. Jak Hiob, który kiedy usłyszał głos Boga ze środka wiatru, nic nie odpowiedział, tylko zasłonił usta ręką.

Wedle ksiąg Talmudycznych Bóg posłał Eliasza na górę objawień, by pojednać świat, zwrócić dzieci ku rodzicom i zamknąć spory religijne. Eliasz wie, że z sobą Mesjasza i przypomina o kresie czasu. Na koniec uczty sederowej w czasie świąt Pesach stawiamy piątą kielich Eliaszi. Czekamy na niego jak na zbawienie, gotowi na spotkanie w Jerozolimie. Nie wiemy, czy możemy ów kielich wypić. Mamy nadzieję, że pewnego dnia przyjdzie do nas prorok i nauczy, jak mamy postępować. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Głodni Boga*



„NIE MOGĘ PANI UDZIELIĆ ROZGRZESZENIA, bo prawo zabrania”. „Nie mogę pana rozgrzeszyć i dopuścić do komunii, bo wszyscy pana znają w parafii i będzie zgorszenie”. „Co ludzie powiedzą, gdy zobaczą, że pan przystępuje do stołu Pańskiego?”. „Nie, nic z tego nie będzie, pani nie ma po co iść do konfesjonatu, nie będzie żadnego rozgrzeszenia, bo nauka Kościoła jest niezmienna, bo nigdy takich grzechów nie rozgrzeszano, bo ja nigdy nie słyszałem, żeby mogło być inaczej” itd.

Prawo, doktryna, tradycja, spowiedź, rozgrzeszenie, sakrament. I, wreszcie, słowa Jezusa: „Szabat jest ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu. Zatem Syn Człowieczy jest panem szabatu”. Jezus wypowiedział te słowa, gdy apostołów złapał głód. I choć był to szabat, to zrywali kłosa, wyłuskiwali z nich ziarna i nimi się posilali. Zarzucano im, że takie postępowanie jest naruszeniem szabatu. Jezus, stając w ich obronie, przypomina oskarżycielom, że przecież sam „Dawid wraz z towarzyszami, kiedy znalazł się w potrzebie i był głodny (...) wszedł do domu Bożego i jadł poświęcone chleby, które wolno spożywać tylko kapłanom, i dał je również tym, co z nim byli”.

Skoro szabat, największa świętość Izraela, jest dla człowieka, to pewnie można powiedzieć, że i Kościół jest dla człowieka, a nie człowiek dla Kościoła. Stąd parafia, proboszcz i wikary też są dla człowieka, a nie człowiek dla parafii. To znaczy, że celem istnienia parafii jest zaspokajanie głodu, owszem – materialnego, ale przede wszystkim głodu duchowego, ludzkiego głodu Boga. O ten Pokarm ludzie się dopraszają, niekiedy bardzo gwałtownie. Uprzykrzają się, bywają aroganccy. Jeśli tak, to nie wolno nam zrażać się formą tych żądań ani się obrażać.

Wykładowca Uniwersytetu Karola w Pradze i duszpasterz akademicki ks. Marek Vácha twierdzi: „Nie sądzę, żebyśmy jako chrześcijanie musieli obecnie przerzucać mosty łączące nas ze światem, skoro ludzie ze wszystkich stron usiłują do nas dotrzeć. Ci inteligentniejsi już rozumieją, że życie nie polega na komfortowym oczekiwaniu na śmierć, ale chcą od życia czegoś więcej niż tylko materialnego zaspokojenia”.

A ponieważ parafia to nie tylko i nie przede wszystkim duchowni, to papież Franciszek mówi, że gdy „w naszych wspólnotach parafialnych (...) dwie lub trzy osoby zaczynają krytykować inną, rozpoczyna się oczernianie” i powstaje pozorna „jedność w oskarżaniu tej osoby”. Oszczercy „czują się pewnie i oskarżają. Potępią w myślach (...) potem się rozchodzą i mówią źle nawzajem o sobie, bo nie są razem. Dlatego plotkarstwo jest dziełem przestępcy, bo zabija, odrzuca ludzi, niszczy ich dobre imię”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Jezus o Kościele

*Jezus odwrócił wielu
od błędnej myśli.
Poszedł przed nimi
w miejsca, w które
oni zeszli, przyjmując
błędną myśl – wpadli
bowiem w błąd
ze względu na Głębię
Tego, który otacza
każde miejsce,
sam nie będąc
przez żadne otoczony.*

EWANGELIA PRAWDY



*Jego spojrzenia nie
dosięgają, lecz On
spojrzenia dosięga.
Przenikliwy,
Świadomy!*

KORAN



NAUCZYCIELU, WIDZIELIŚMY kogoś, kto nie chodzi z nami, jak w Twoje imię wyrzucał złe duchy, i zaczęliśmy mu zabraniać, bo nie chodzi z nami”. W odpowiedzi Jezus mówi: „Prześcieńcie zabraniać mu, bo nikt, kto uczyni cud w imię moje, nie będzie mógł zaraz źle mówić o mnie. Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami” (zob. Mk 9, 38-40).

Uczniowie nie rozumieją, a miarą ich nie rozumienia jest to, że... kłócą się między sobą, „który z nich jest największy” (Mk 9, 34). Niezrozumienie nie rozgrywa się na poziomie abstrakcyjnych pojęć, lecz na poziomie osobowych i życiowych postaw. Jezus mówi apostołom o unieźleniu krzyża; oni spierają się o wywyższenie władzy i zaszczytów. Jego uruchamia i gna do Jerozolimy pokora; ich nakręca ambicja i pycha. Wtedy stawia im przed oczy dziecko, wzywa, by chcieli się stać „najmniejszymi sługami” (w. 35-37).

Wydawać by się mogło, że zrozumieli. Lekcja została udzielona w sposób dosadny i prosty... Tymczasem nie! Nie zrozumieli. Złudzenie pryska po przytoczonym na wstępie odezwaniu się Jana: miejsce osobistej, indywidualnej pychy zajęła teraz pycha grupowa. W miejsce „ja jestem pierwszy!” i „jedynie ja!” pojawiło się teraz „my jesteśmy pierwsi!”, a właściwie „my jesteśmy jedyni i konieczni!”, „kto nie idzie za nami, nie idzie za Chrystusem!”, „poza granicami naszej wspólnoty Duch Święty nie działa”, albo wręcz: „nie ma prawa działać!”.

Tu w interpretacji trzeba zachować daleką ostrożność. Wszak Jezus w wielu miejscach swojej Ewangelii podkreśla fundamentalne

dla wiary ludzi znaczenie Kościoła i apostołów: „Kto was słucha – Mnie słucha; kto wami gardzi – Mną gardzi!”, „Ja jestem z Wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata”. Niszczącemu Kościół Szawłowi mówi zdecydowanie pod Damaskiem: „Dlaczego Mnie prześladujesz?”. Znana jest też historia synów Skewasa, którzy usiłowali z opętanego wyrzucić złego ducha „w imię Jezusa, którego głosi Paweł” (Dz 19, 13). Usłyszeli szatana: „Znam Jezusa, i wiem o Pawle; a wy kto jesteście?”.

Tak. Kościół jest potrzebny. Więcej: konieczny.

Ale właśnie dlatego także w Kościele kluczowe jest odniesienie każdego do Jezusa, a nie do przepowiadających Go i działających Jego mocą ludzi.

Apostołowie mają prowadzić ludzi do Jezusa, a nie zatrzymywać ich przy sobie. Mają ukazywać Jezusa – a nie siebie – jako jedyny punkt odniesienia; jedyne ostateczne osobowe kryterium. Z Nim mają ich wiązać, nie ze sobą. Na Nim koncentrować ich uwagę, nie na sobie.

Ta reguła ma jeszcze inny wymiar – działający na zasadzie, powiedziałbym, negatywu. Dojrzały w wierze człowiek nie dadzą się oddzielić od Jezusa – a więc także „wyrzucić” z Kościoła – zgorzeleni grzechami tworzących go ludzi. Widzą Jezusa poprzez cnoty i świętość apostołów; ale nie tracą Go z oczu również wtedy, gdy pole widzenia zdają się wypełniać ich słabości, winy czy głupota. Także pycha i uzurpacja „wyłączności”, jaką zaprezentował Jan.

To nie zakwestionowanie czy wzięcie w nawias konieczności Kościoła. To jedynie pokazanie właściwego mu miejsca. To również uzmysłowienie każdej kościelnej wspólnoty, że – mówiąc językiem św. Jana Pawła II – „poza nią nie istnieje jedynie próżnia eklezjalna”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 VI)

9. niedziela zwykła: Pwt 5, 12-15; Ps 81;

2 Kor 4, 6-11; Mk 2, 23 – 3, 6;

Poniedziałek: 2 P 1, 1-7; Ps 91; Mk 12, 1-12;

Wtorek: 2 P 3, 12-15a. 17-18; Ps 90; Mk 12, 13-17;

Środa: 2 Tm 1, 1-3. 6-12; Ps 123; Mk 12, 18-27;

Czwartek: 2 Tm 2, 8-15; Ps 25; Mk 12, 28b-34;

Piątek: Oz 11, 1. 3-4. 8c-9;

Iz 12, 2-5; Ef 3, 8-12. 14-19; J 19, 31-37;

Sobota: Iz 61, 9-11;

1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 2, 41-51;

10. niedziela zwykła: Rdz 3, 9-15; Ps 130;

2 Kor 4, 13 – 5, 1; Mk 3, 20-35.

Wybrał PIOTR SIKORA



Protest przeciw reformom sądownictwa wprowadzanym przez rząd PiS. Warszawa, 24 lipca 2017 r.

WOJNA SPRAWIEDLIWA

Dla obecnego rządu rozkaz jest wystarczającym warunkiem
obowiązywania prawa: bez względu na to,
czy jest sensowny i zgodny z konstytucją.

Z taką postawą musimy walczyć.
I nie jest to wezwanie do anarchii.

MARCIN MATCZAK

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH PODJĘŁO PRÓBĘ wprowadzenia zarządu komisarycznego w fundacji wspierającej Obywateli RP, uzasadniając ten ruch faktem nawoływania przez fundację do nieposłuszeństwa prawu. Całe szczęście, że to sąd będzie musiał ostatecznie uznać, czy nawoływanie do posłuszeństwa konstytucji, nawet jeśli oznacza bójkot w oczywisty sposób niekonstytucyjnych ustaw, jest zdradą czy oznaką wierności porządkowi prawnemu.

Wszyscy bierzemy część odpowiedzialności za to, jak wygląda prawo. Szczególną odpowiedzialność biorą za to sędziowie. Ich działania dają sygnał reszcie społeczeństwa, czy prawo ustanowione przez parlament jest godne tego, by za nim podążać. Jeśli jako społeczeństwo będziemy pamiętać o tym, że także od nas zależy stan prawa, że nie jesteśmy pozbawionymi moralnej refleksji ofiarami przemocy, które wykonują rozkazy, jest szansa, iż – parafrazując Stefana Kisielewskiego – nie zaczniemy się urządzać w tym mrocznym, nieprzyjemnym miejscu, do którego niestety trafiliśmy.

Nie tylko rozkaz

Można zrozumieć, w jaki sposób prawo funkcjonuje we współczesnych społeczeństwach, na co najmniej trzy sposoby. Pierwsza koncepcja, nazywana pierwotnym pozytywizmem prawniczym, została najlepiej przedstawiona przez Johna Austina: prawo jest rozkazem suwerena zabezpieczonym sankcją. Ta wizja, powstała w XIX wieku, zakłada, że przestrzegamy prawa nie dlatego, że jest ono mądre czy dobre, ale dlatego, że boimy się kary. Tę wizję prawa posadzono na ławie oskarżonych w czasie procesów norymberskich, kiedy jedynym usprawiedliwieniem tych, którzy w świetle prawa mordowali niewinnych, było nieprzekonujące: „ja tylko wykonywałem rozkazy”.

Naturalną reakcją na klęskę pierwotnego pozytywizmu był powrót do koncepcji prawa natury – drugiej, chronologicznie starszej koncepcji, która po II wojnie światowej przeżyła swój renesans.

Filozofowie tacy jak Radbruch wskazywali, że prawo nie może być wszechmocne. Dlatego właśnie słynna formuła Radbrucha wskazuje, że prawo, które prowadzi do skrajnej niesprawiedliwości, przestaje być prawem. Staje się ustawowym bezprawiem, dlatego nie trzeba go już przestrzegać. Koncepcja prawa natury, choć pomocna w sytuacjach skrajnego moralnego kryzysu, słabo sprawdza się w sytuacjach względnie normalnego funkcjonowania prawa. Trudno w oparciu o formułę Radbrucha rozstrzygnąć, kto ma pierwszeństwo na skrzyżowaniu, albo ocenić zasadność podwyższenia akcyzy na benzynę. Poza tym nie każdy przepis naruszający konstytucję jest jednocześnie skrajnie niesprawiedliwy w ujęciu, o które chodziło Radbruchowi. Ograniczenie swobody zgromadzeń narusza nasze konstytucyjne prawa niewątpliwie, ale można dyskutować, czy zbliża się ono wystarczająco do poziomu ekstremalnej niesprawiedliwości, którą znamy z historii.

Dlatego właśnie w drugiej połowie XX wieku powstała jeszcze jedna koncepcja, stanowiąca próbę reanimacji skompromitowanego pozytywizmu prawniczego, zaproponowana przez brytyjskiego filozofa H.L.A. Harta. Nazywana jest pozytywizmem wyrafinowanym i powszechnie uważa się, iż adekwatnie oddaje naturę prawa we współczesnych nam państwach. Jej wyrafinowanie polega na tym, iż odpowiedzialność za uznanie, czy dana

norma zasługuje na przestrzeganie, rozkłada się pomiędzy prawodawcę i innych członków społeczeństwa, w szczególności sędziów. Tym samym prawo przestaje być jedynie rozkazem zabezpieczonym sankcją, a staje się powszechnie akceptowaną praktyką zachowań, której uczestnikami są prawodawca, sędziowie, urzędnicy i zwykli ludzie.

Prawo jako praktyka wymaga od uczestników akceptacji, co oznacza, że nie jest ono przestrzegane wyłącznie ze strachu przed karą. Słynny przykład Harta, poprzez który krytykuje on prymitywny, XIX-wieczny pozytywizm, nazywany jest „paradoksem bandyty”. Gdyby prawo było wyłącznie rozkazem zabezpieczonym sankcją, mówi Hart, nie dałoby się odróżnić prawodawcy od gangstera, który, trzymając nas na muszce, każe oddać portfel. W przypadku gangstera podporządkowujemy się rozkazowi wyłącznie dlatego, że boimy się o swoje życie. Tymczasem w przypadku prawa możliwa i częsta jest sytuacja, gdy rozumiemy i akceptujemy obowiązek nakładany na nas przez prawodawcę. Innymi słowy, przynajmniej dla tych z nas, którzy nie popierają Janusza Korwin-Mikkego, istnieje wyraźna różnica pomiędzy oddaniem pieniędzy bandycie a oddaniem ich państwu w formie podatku. W tym drugim przypadku dostrzegamy sens naszego zachowania: nasze podatki służą dobru wspólnemu, oddanie pieniędzy bandycie służy tylko jemu i jego niecnym celom.

Kluczowym elementem wyrafinowanego pozytywizmu jest tzw. reguła uznania. Prawo musi zostać rozpoznane przez adresatów jako obowiązujące, a więc spełnić pewne kryteria zawarte w tej regule. Konieczność rozpoznania nie oznacza prawa do anarchii, ponieważ chodzi w nim o stabilną, powszechną praktykę dużych grup społecznych, w szczególności sędziów, nie zaś indywidualną decyzję każdego z nas. Stąd, nawet gdyby większość ludzi w Polsce przechodziła przez ulicę na czerwonym świetle, nie oznaczałoby to, że zakaz takiego przechodzenia przestałby obowiązywać, dopóki sędziowie i urzędnicy nadal by nas za to karali.

Wizja prawa w pozytywizmie wyrafinowanym jest więc bardziej demokratyczna niż ta prezentowana przez pozytywizm pierwotny. Obowiązywanie prawa nie wynika z decyzji jednostki czy wąskiej grupy osób, ale jest świadomą decyzją istotnej części społeczeństwa. A rola sędziów w procesie rozpoznawania reguł ustanowionych przez prawodawcę oddaje sens podziału i równowagi władz: prawo ustanowione przez prawodawcę dla swojego obowiązywania wymaga niejako kontrasygnaty władzy sądowniczej. Jednym z głównych warunków udzielenia tej kontrasygnaty przez sędziów jest konstytucyjność norm.

Bunt obywateli, bunt sędziów

Dwie z opisanych wizji prawa wchodzą w wyraźny konflikt w dzisiejszej Polsce.

Obecny rząd prezentuje XIX-wieczną wizję pierwotnego pozytywizmu. Rozkaz władzy jest wystarczającym warunkiem obowiązywania prawa, nie tylko bez względu na to, czy jest sensowny, ale także bez względu na to, czy jest zgodny z konstytucją. Należy go realizować, ponieważ za brak realizacji grozi kara, a akceptacja treści rozkazu jako służącej dobru wspólnemu nie ma najmniejszego znaczenia. Dlatego nie warto dyskutować treści prawa w parlamencie, nie warto przekonywać opozycji i współobywateli w szerokiej debacie, że treść

→ rozkazu jest słuszna. Argument siły jest argumentem jedynym, nie trzeba więc siły argumentu.

Nie tylko faktyczna likwidacja parlamentaryzmu przysługuje się realizacji tej dość mrocznej wizji prawa. Wspomaga ją rażące naruszenie trójpodziału władzy, w szczególności likwidacja niezależności sądownictwa. Jeżeli bowiem zablokuje się politycznie tych, którzy mogą niezależnie ocenić, czy prawo jest rzeczywiście prawem, prawodawca staje się w tym zakresie ostateczną wyrocznią. Obowiązek przestrzegania prawa wynika z woli politycznej, nie zaś z jakości czy sensowności wydawanego rozkazu. W państwie pozbawionym trójpodziału władzy to władza staje się gangsterem z opowieści Harta.

Wobec tej wizji polskie społeczeństwo się buntuje. Ze względu na to, że prawo w Polsce szczęśliwie nie dotarło jeszcze do granicy ekstremalnej niesprawiedliwości, nie ma potrzeby sięgać do prawa naturalnego jako osłony przed brutalnością prawa stanowionego. Większość zachowań o charakterze sprzeciwu wobec obecnej władzy da się wyjaśnić przyjmowaniem przez polskie społeczeństwo wizji pozytywizmu wyrafinowanego. W wizji tej obowiązywanie prawa wymaga powszechnej akceptacji, a tej coraz częściej zaczyna brakować.

Zachowania sygnalizujące brak akceptacji mają różny charakter. Objawiają się świadomą odmową płacenia abonamentu telewizyjnego, który ze względu na skrajnie propagandowy charakter telewizji publicznej jest postrzegany przez dużą część społeczeństwa niemal jak wymuszenie rozbójnicze. Innym przykładem jest obywatelskie nieposłuszeństwo, na przykład to, na które decydują się Obywatele RP. Podobnie kontrmieścienne smoleńskie, będące sprzeciwem wobec ograniczenia prawa do zgromadzeń, czy też niedawna pokojowa okupacja sejmowego biura przepustek, jako forma protestu przeciwko zabarykadowaniu Sejmu przed narodem. Działania te są pokojowe, a osoby je podejmujące są gotowe ponieść karę, z całą pewnością więc nie są anarchistami.

Najbardziej jednak znaczące przykłady braku akceptacji części norm stanowionych przez obecnego prawodawcę widać w praktyce sądów. Coraz częstsza tzw. rozproszona kontrola konstytucyjności prawa, stosowana przez sądy zwykłe, jest w rzeczywistości odmową uznania za obowiązujące prawa, które nie spełnia jednego z kluczowych kryteriów ważności, jakim jest zgodność z konstytucją. Przykład: sąd apelacyjny we Wrocławiu odmawia zastosowania przepisów zobowiązujących go do uwzględnienia nielegalnie zdobytych przez prokuraturę dowodów, ponieważ przepisy te są niezgodne z polską konstytucją oraz umowami międzynarodowymi. Te ostatnie – według wyraźnego brzmienia tejże konstytucji – mają pierwszeństwo stosowania przed ustawami, jeśli ustawy te nie dają się z nimi pogodzić. Jest to najczystszy przykład zastosowania Hartowskiej reguły uznania, jaki można sobie wyobrazić.

Zagubiony trójpodział władzy

Świadomy ryzyka związanego z niezależnie działającym sądownictwem oraz buntującymi się obywatelami, obecny polski rząd próbuje zdusić w zarodku wszelkie próby wyjścia poza

**Władza sądownicza
jest odrębna i niezależna**
właśnie dlatego, że w imieniu
Suwerena sprawuje kontrolę
nad prawem stanowionym
przez parlament.

ramy pierwotnego pozytywizmu. Dlatego właśnie natychmiast po wydaniu niepokornego wyroku przez wrocławski sąd wiceminister sprawiedliwości w nieznanym cywilizowanemu światu wystąpieniu zagroził sędziom odpowiedzialnością dyscyplinarną i karną za wierność polskiej konstytucji.

Przestrzeń publiczna w naszym kraju staje się areną walki o uznanie prawa za prawo bądź uznanie go za bezprawie. Ludzkie zachowania przestały być neutralne, a stają się elementem tej walki. Dotyczy to w szczególności sędziów. Kandy-

dowanie do nowo powołanej Krajowej Rady Sądownictwa jest wyrazem uznania prawa ją regulującego za konstytucyjne, odmowa kandydowania jest odmową takiego uznania. Obecność profesor Gersdorf na prezydenckim zaprzysiężeniu kolejnego dublera powołanego do Trybunału Konstytucyjnego właśnie dlatego wywołała takie protesty i zniesmaczenie, ponieważ była jakąś formą uznania niekonstytucyjnych działań obecnej większości parlamentarnej.

Walkę, której stawką jest uznanie tworzonego w Polsce prawa za naprawdę obowiązujące, toczy irlandzka sędzia, odmawiając ekstradycji do Polski jej obywatela, mimo wydanego Europejskiego Nakazu Aresztowania i kierując jego sprawę do Trybunału Sprawiedliwości. Walkę tę będzie toczył sam Trybunał, gdy w czerwcu prawdopodobnie rozstrzygnie, czy zmiany w polskim sądownictwie zasługują na uznanie ich za zgodne z zasadą rządów prawa.

Walka o uznanie rozgrywa się ciągle na poziomie języka: ten, kto nazywa Mariusza Muszyńskiego sędzią TK, uznaje go za sędziego; ten, kto określa go mianem dublera, wprost przeciwnie. Ten, kto mimo ocierających się o przestępstwo zmian w składach TK pozwala im rozstrzygnąć swoją sprawę, uznaje te manipulacje za zgodne z prawem. Ten, kto, tak jak Rzecznik Praw Obywatelskich, wycofuje w takiej sytuacji swój wniosek z Trybunału, odmawia takiego uznania.

Kiedy suwerenem jest wszechmocny parlament

Walkę o uznanie wydanych przez siebie norm za bezwzględnie obowiązujące toczy oczywiście polski rząd i parlament, ustami polityków próbując zastraszyć sędziów stosujących bezpośrednio konstytucję w sprzeciwie wobec tego prawa. Smutne jest to, że polityków, a nie sędziów wspiera w tej walce Julia Przyłębska, prezentując publicznie swoją wizję państwa, wziętą bezpośrednio z odległego wieku XIX i zapożyczoną od Austina. Według tej wizji „trójpodział władzy polega na tym, że, zgodnie z polską konstytucją, suweren jest istotą państwa prawnego w Polsce. Suweren zaczyna od wybrania swoich przedstawicieli do parlamentu. Poprzez parlament dokonuje się kontrola rządu – władzy wykonawczej. Władza sądownicza musi być wkomponowana w kontrolę suwerena. Wtedy będzie naruszenie trójpodziału władzy, gdy nagle jeden z tych elementów władzy stanie się niezależny, stanie się podmiotem korporacyjnym, będzie tylko przed sobą odpowiadał”. W ten sposób trójpodział władzy w opinii osoby będącej sędzią sądu konstytucyjnego w centrum Europy, niemal dwieście lat po powsta-

niu pierwotnego pozytywizmu, jest w rzeczywistości koncepcją władzy jednolitej, w której suweren to kontrolujący wszystkich i wszystko parlament, mający pierwsze i ostatnie słowo w zakresie uznawania norm za prawo obowiązujące.

Szkoda, że w tej wizji zagubił się kluczowy dla trójpodziału władzy art. 173 konstytucji, zgodnie z którym „Sądy i Trybunały są władzą odrębną i niezależną od innych władz”, w tym od parlamentu. Władza sądownicza jest odrębna i niezależna właśnie dlatego, że w imieniu Suwerena, pisanego wielką literą, sprawuje kontrolę nad prawem stanowionym przez parlament, uznając bądź nie uznając, że stanowione przezeń normy spełniają kryteria konstytucyjne. Na takich założeniach oparta jest nowoczesna wizja prawa, czerpiąca z tragicznych doświadczeń przeszłości, aby już nigdy ich nie powtarzać.

Czas wielkich symboli

Tak naprawdę walka o uznanie prawa stanowionego przez obecną władzę za obowiązujące dopiero się zaczyna. Czy uznawać za ważnie powołanych sędziów osoby powołane przez niekonstytucyjnie powołaną KRS? Czy uznawać wydane przez nich wyroki? Czy, będąc sędzią, aplikować do KRS o powołanie? Pojawiają się także pytania o właściwą strategię. Na ostatnim spotkaniu w Okręgowej Izbie Adwokackiej w Radomiu pani sędzia zapytała, czy sędziowie powinni występować z wnioskami o awans do KRS, czy też powinni ją bojkotować. Jej pierwszą decyzją było – bojkotować, bo, jak powiedziała, sędziowie nie powinni legitymizować niekonstytucyjnego organu, jakim bez wątpienia jest obecnie KRS. Ale druga myśl była inna. Może lepiej wystąpić o awans, żeby nie zostawić miejsca politycznym nominatom. Będąc sędzią sądu wyższej instancji można skuteczniej decydować o uznaniu bądź nieuznaniu za ważne działania państwa wobec obywateli.

Taki dylemat przypomina dylemat romantyków i pozytywistów. Czy ważniejszy jest wielki gest sprzeciwu, czy raczej praca u podstaw? Czy lepiej jest symbolicznie wyłączyć

Dla sędziów nadszedł czas mówienia „tak, tak – nie, nie”.

Każdy inny sygnał może być interpretowany na ich niekorzyść.

się z niekonstytucyjnej procedury, czy lepiej ją racjonalnie wykorzystać, by bronić praworządności codzienną sędziowską pracą? Nie ma dobrej odpowiedzi na to pytanie, każdy musi podjąć decyzję we własnym sumieniu. Wydaje się jednak, że dla sędziów nastał obecnie czas wielkich symboli, bo z wielkimi antysymbolami muszą walczyć. Sędziowie muszą pokazać wyrazisty etos, bo atakuje ich wyrazisty antyetos. Potrzebujemy symboli obrony mądrego prawa, kiedy jesteśmy atakowani symbolami promującymi brutalną politykę.

Jak mawiał Kurt Vonnegut, nasze pokolenie ma to szczęście, że może wziąć udział w wojnie, która bez wątpienia jest sprawiedliwa, i w której jasne jest, która strona jest właściwa. Tą stroną jest ta, która broni praworządności. Dlatego stojąc przed wyborem: jasny gest sprzeciwu czy współpraca mogąca przynieść praworządności wymierne korzyści, optowałbym za jasnym gestem sprzeciwu. Wniosek o awans i tak może zostać odrzucony przez nową KRS, a na pewno będzie ją legitymizował. Brak wniosków będzie natomiast jasnym sygnałem, że polscy sędziowie nie akceptują niekonstytucyjności w działaniach wobec KRS. Z drugiej strony, co mają począć ci, którzy po latach ciężkiej nauki mają wystąpić do KRS z wnioskiem o swoje pierwsze sędziowskie stanowisko? W geście sprzeciwu przekreślić te wszystkie lata i pracować poza zawodem? Tragiczny to wybór. Mądre państwo nie powinno nikogo przed takim stawiać.

W walce o uznanie prawa za prawo, nie za przemoc, sędziowie powinni pamiętać, że dopóki osoby broniące polskiej praworządności – profesorowie Rzepliński i Gersdorf – były jednoznaczne w swoich działaniach, dopóty mobilizowały wokół siebie wielką grupę ludzi. Problemy zaczęły się wraz z początkiem dziwnych „kompromisów”. Dla sędziów nadszedł czas mówienia „tak, tak – nie, nie”. Każdy inny sygnał może być interpretowany na ich niekorzyść. Jeśli rację miał Machiavelli, że są dwa sposoby walczenia: trzeba być lisem i lwem, to wydaje się, że dzisiaj bardziej potrzebujemy lwów.

© MARCIN MATCZAK

Sprostowanie

W związku z artykułem pt. „Gdy państwo śpi”, autorstwa Marka Rabija, opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” na stronach 29-30 w wydaniu z 13 maja 2018 r., nr 20 (3592), na podstawie przepisu art. 31a ustawy prawo prasowe Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wnosi o zamieszczenie sprostowania o następującej treści:

„Nieprawdą jest, że najpóźniej we wrześniu 2017 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wiedziało, że z kont

Fundacji Czarotoryskich zniknęła większa część pieniędzy ze sprzedaży kolekcji Czarotoryskich”.

Uzasadnienie: Artykuł opublikowany 13 maja 2018 r. na stronach 29-30 „Tygodnika Powszechnego” w wydaniu nr 20 (3592), autorstwa Marka Rabija, zawiera nieprawdziwą informację: „(...) najpóźniej we wrześniu 2017 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wiedziało już, że z kont Fundacji Czarotoryskich zniknęła większa część pieniędzy ze sprzedaży kolekcji Czarotoryskich”. Fundacja Czarotory-

skich nie informowała Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o tym, co robi ze swymi – prywatnymi – pieniędzmi. Jednocześnie żaden z kompetentnych pracowników nie potwierdził, iż dysponował taką wiedzą pochodzącą z innego źródła.

Dyrektor Generalny MKiDN
JAROSŁAW CZUBA

OD REDAKCJI: Zgodnie z wymogiem art. 32 p. 6 Prawa Prasowego do powyższego sprostowania możemy się odnieść dopiero w kolejnym numerze, co też uczynimy.



Humanizuję człowieka

KRZYSZTOF CZABAŃSKI, POSEŁ PIS:

Lewica nie ma monopolu na empatię wobec zwierząt.

JACEK GADEK: Kiedy ostatnio zjadł Pan kotleta schabowego?

KRZYSZTOF CZABAŃSKI: Dwa lata temu. Z przerwami, ale jednak jestem wegetarianinem już od kilkunastu lat.

Dlaczego?

27 lat temu mój syn przestał jeść mięso – był wtedy w liceum. Docinał swojej siostrze i mnie, że ciągle to mięso zjadamy.

„Tata, zwierzęta są do kochania, a nie do zjadania”?

Mówił: „Nie żal ci tego miłego, ale zmiełonego zwierzęcia?”. Córka w końcu uległa. Ja też. Dopiero po kilku latach orga-

nizm znowu upominał się o zwierzęce białko. Ale teraz, mam nadzieję, się nie złamię.

W 2015 r. miałem już przejść na emeryturę i obiecałem sobie, że zrobię dla zwierząt ostatnią rzecz, którą jeszcze mogę: nie będę ich jadł. Gdy Jarosław Kaczyński zaproponował mi wejście do polityki i gdy zostałem posłem, okazało się, że mogę coś więcej: zabiegać o ustawę o ich ochronie. Czytałem materiały o uboju i chowie przemysłowym. To były na przykład dyrektywy Unii Europejskiej – biurokratyczno-technicznym językiem pisano, jak zabijać. Wstrząsnęło to mną. Po tej lekturze nawet jeśli ktoś nie ma ciętóg do wegetarianizmu, to zada sobie pytanie: czy jedzenie mięsa jest OK?

Teraz z bigosu to Pan już tylko kapustę wybiera?

Zgadł pan. Gdy byłem z córką w górach, to schronisko serwowało fasolkę po bretońsku i bigos. Przełknąłem tylko kapustę. Najbardziej brakuje mi flaków po warszawsku. Gdy czuję je w restauracji, to zaciągam się zapachem.

A próbował Pan kiedyś przekonać Jarosława Kaczyńskiego do wegetarianizmu?

KRZYSZTOF CZABAŃSKI jest politykiem i dziennikarzem związanym od lat 90. ze środowiskiem Porozumienia Centrum, a następnie PiS. Aktywny w wielu inicjatywach medialnych tego środowiska politycznego, był w latach 2006-09 prezesem Polskiego Radia. Poseł obecnej kadencji, przewodniczący Rady Mediów Narodowych.

Kilka razy mówiłem żartem prezesowi: mnie odstawienie mięsa dobrze zrobiło, polecam i tobie.

Co z Pana za Polak, skoro rosołu i schabowego Pan nie tyka?

Narodowcy i lobbyści, których wynajmują właściciele ferm zwierząt futerkowych, twierdzą, że sprzedałem się Niemcom. Serio. W internecie krążą fotomontaże, na których odmawia mi się polskości – to czarny PR. Jedną taką sprawę zgłosiłem nawet do prokuratury – wszczęto śledztwo. Wysłałem zawiadomienie nie dlatego, że bolą mnie obelgi ze strony tych środowisk, ale dlatego, że nazywanie mnie „zdrajcą sprawy narodowej” może kogoś zachęcić do fizycznej agresji. Temu zresztą taka kampania nienawiści zapewne służy.

Jak udało się Panu namówić Kaczyńskiego, by podpisał projekt ustawy o ochronie zwierząt?

Prezes sam zastrzegł, że chce podpisać ten projekt jako pierwszy. Znamy się 30 lat, więc wiem: kocha zwierzęta. W tym jego podpisie nie ma grama polityki czy udawania. Zajmowałem się kotami zapewne wcześniej niż Jarosław, mogłem się zatem unieść i powiedzieć, że to mój podpis będzie na samej górze. Bądźmy jednak szczerzy: tylko osobiste poparcie Jarosława Kaczyńskiego powoduje, że ten projekt wciąż żyje. Bez prezesa dawno leżałby na dnie kosza.

A skąd Pana słabość do zwierząt?

Może dlatego, że w dzieciństwie miałem psa, którego bardzo kochałem?

I polował Pan z nim kiedyś?

Nigdy! I nigdy też nie rozumiałem, co fajnego jest w strzelaniu do zajęcy czy saren. Polska literatura jest przesiąknięta pochwalnymi opisami polowań i zapewne kiedyś były one człowiekowi potrzebne do życia. Potem polowania się

wynaturzyły, i przestały być konieczne, a stały się zdegenerowaną zabawą w uśmiercanie.

W domu Pan ma...

...cztery koty. Ale kiedyś jednocześnie miałem trzy psy i dwa koty.

To ma Pan przewagę nad prezesem.

On ma tylko dwa własne koty.

To nie jest zabawa w to, kto lepszy, tylko życie. Z czterech kotów dwa to znajdy. Kiedyś żona znalazła je pod maską samochodu. A dwa kolejne wzięliśmy ze schroniska na Paluchu. Mówili nam, że ludzie po taką jedną kotkę już nieraz przyjeżdżali, ale brali inne, bo była pokraczna. Później żona wypatrzyła, że stary kot tylko leży w kuwecie, jakby chciał umrzeć, odmawiał życia w takich schroniskowych warunkach.

Czy zajmowanie się zwierzętami w polityce to poważna sprawa czy fanaberia?

Wystarczy sięgnąć po raporty NIK, by wiedzieć, że to na serio. Jest na przykład dokument z kontroli wydawania pieniędzy na opiekę nad zwierzętami. Pokazał, że społeczeństwo łoży – na szczeblu samorządowym – wielkie pieniądze na zwierzęta. Ale są one albo marnotrawione, albo przechwytywane przez – nie boję się tego powiedzieć – złych ludzi. Prowadzą oni nie schroniska dla zwierząt, ale umieralnie. Tam zwierzęta mają „za zadanie” żyć o głodzie i chłódzie, na betonie, we własnych odchodach i codziennie przynosić parę złotych zysku od łebka właścicielowi takiej umieralni.

Zacytuję Jarosława Kaczyńskiego: „Polityk, który mówi o gnębieniu zwierząt, nie kojarzy się ludziom z silnym i twardym politykiem, który potrafi dobrze rządzić. To jest po prostu bardzo nieporęczne politycznie”. Według jego słów to Pan teraz wychodzi na mięczaka.

To jest „nieporęczne”, bo ludzie nie wiedzą, że ich pieniądze są marnowane bądź służą zabijaniu lub dręczeniu zwierząt. Dziś gminy zawierają umowę z hyclem na odławianie psów, ale nie zawsze określają, czy i gdzie mają one być umieszczane. Tak państwo za pieniądze z naszych podatków wynajmuje katów, a obywatela myślą, że bezdomne psy mają zapewnioną opiekę. Rzeczywiście, „mięczak”, który dla dobra

zwierząt i ludzi zderzył się właśnie z potężnymi grupami interesów!

Prezes podpisał projekt, ale nie obawia się Pan, że dla świętego spokoju szcześnie on w sejmowej zamrażarce?

Liczę się z tym, że droga do wprowadzenia rozwiązań, które są w projekcie, będzie długa i trudna. Projekt nie jest mój autorski, rozmawiałem o nim z wieloma osobami w klubie PiS. Aby został uchwalony, potrzebna jest większość. Sądzę, że będzie się ona oczywiście rekrutować w PiS, ale i w szeregach opozycji. Na ołtarzu większości sejmowej będzie zapewne trzeba złożyć niektóre zapisy. Albo zupełnie wykreślić, albo bardzo odłożyć w czasie ich wejście w życie.

Może Pan wydłużyć *vacatio legis* dla zakazu hodowania zwierząt na futra wnieskończoność i *de facto* nie wejdzie on w życie, bo władza się zmieni i zakaz będzie zniesiony.

W Holandii *vacatio legis* to było aż 12 lat i wciąż trwa, ale nowe ферmy już nie powstają, a stare się zaczynają wyznosić – także do Polski. Zgoda na zakaz hodowli zwierząt futerkowych jest w PiS i PO. Nawet przy zmianie władzy ten zakaz powinien się ostać.

A co Pan jest gotów złożyć na ołtarzu, byle tylko ustawę uchwalić?

Trzy punkty są najbardziej zapalne. Po pierwsze: ферmy zwierząt hodowanych na futra – głównie norek amerykańskich, których rocznie zabija się w Polsce ok. 10 milionów. Te ферmy degradują warunki życia ludzi w miejscowościach, w których się znajdują, niszczą środowisko naturalne, zatrują powietrze. Norki od narodzin do śmierci żyją w warunkach absolutnie sprzecznych ze swoją naturą. Potrzebują kontaktu z wodą i przestrzeni, a są zamknięte w klatce. Cierpią całe życie. Tu nie widzę możliwości żadnych ustępstw. Takie ферmy muszą być zakazane. Tym bardziej, że te ферmy nie produkują żywności, która jest niezbędna, ale skórki na futra, które są obecnie zachcianką ludzi zamożnych.

Po drugie: ubój rytualny. W Polsce jest dozwolony i projekt wcale nie chce go zakazać, bo byłoby to – jak orzekł Trybunał Konstytucyjny – sprzeczne z konstytucją. Projekt chce ograniczyć niektóre techniki

tego uboju, zakazuje np. używania klatek obrotowych. Rozmawiałem z rabinami. Nie przeszkadza im wyeliminowanie tych klatek. Przeszkadza im coś innego: ograniczenie katalogu odbiorców tego mięsa do polskich społeczności – żydowskich i muzułmańskich.

Więc Pan się wycofa z zakazu eksportowania tego mięsa?

Są po temu poważne argumenty: mięso może trafiać do diaspory żydowskiej albo na potrzeby wycieczek z zagranicy, które odwiedzają Polskę.

Dziś niemal całe to mięso trafia za granicę.

Głównie do krajów muzułmańskich. To poważna gałąź eksportu i nie możemy zamknąć na to oczu. A przypomnę: ubój rytualny jest gwarantowany naszą konstytucją.

A trzeci punkt?

Psy na uwięzi.

Ten punkt miałby największe znaczenie dla ludzi.

Przykro mi to mówić, ale ten zapis nie wytrzyma dziś próby konfrontacji z rzeczywistością, jaką mamy w Polsce.

Co w zamian?

Wydłużenie łańcuchów z obecnych 2,5 metra do – powiedzmy – 4 metrów.

Zakaz wprowadzony szybko uderzyłby głównie w wyborców PSL i PiS. Łańcuchy zostaną, bo boicie się reakcji elektoratu?

To duże uproszczenie. Wyborcy opozycji też trzymają swoje psy na łańcuchach, PiS nie jest tu wyjątkowy. Nigdy wcześniej do Sejmu nie trafił projekt tak całościowy. Porusza masę kwestii, które wywołują wielkie emocje, małych i dużych środowisk. Nie możemy prowadzić wojny na zbyt wielu frontach jednocześnie.

A ma Pan obawę, że skutkiem byłaby fala pogryzień przez uwiązane wcześniej psy?

To też jest argument, jak również kłopotliwość i kosztowność kójców zamiast uwięzi.

Największym wrogiem ustawy jest branża futerkowa?



→ Akurat hodowcy są najbardziej hałaśliwą, ale najmniej liczną grupą, bo ferm jest w Polsce ok. 800, a pracuje w nich góra parę tysięcy osób.

Hodowcy mówią o 50 tysiącach.

Bzdura lobbystów, którzy mają teraz miliony do stracenia. Są skuteczni – mają swoje pseudoinstitute naukowe, a nawet media. Mówią, że branża futrzarska to perła w koronie polskiego rolnictwa, ale w rzeczywistości to sektor marginalny i na dodatek bardzo szkodliwy.

Wiem, że tym projektem naruszamy wiele interesów: od hodowców norek, przez właścicieli cyrków, bo chcemy zakazać trzymania w nich zwierząt, ale też producentów kółców odstraszających ptaki...

A wie Pan, co mówią Pana koledzy o tej ustawie? „Czaban przeszarżował, ale będzie z czego schodzić”.

W zapalnych punktach warto pójść na kompromisy, byle tylko zacząć racjonalnie wydawać pieniądze na opiekę nad zwierzętami. Zamknięcie pseudohodowli psów rasowych, umieralni, ferm zwierząt futerkowych, sterylizowanie bezdomnych kotów i psów, chipowanie zwierząt i zapewnienie im znośnego bytu to priorytety.

To jest Pana minimum?

Tak, ale to i tak byłby skok cywilizacyjny.

„Ludzie, którzy lubią zwierzęta, zwłaszcza w czynny sposób, to po prostu lepsza odmiana ludzi”. Podpisze się Pan pod tym zdaniem?

Nie.

A to słowa prezesa PiS. Pana szef jest bardziej radykalny niż Pan, więc może nie musi być Pan takim minimalistą?

Te słowa prezesa są miłe, ale akurat tylko dla ludzi, którzy zajmują się zwierzętami. Mnie bardzo cieszy, gdy ktoś zwierzęt po prostu nie krzywdzi.

Witając się z kobietą ubraną w futro, ucałowałby ją Pan w rękę?

Futra już nie ożywie, ale całując pewnie uprzejmie bym jej zwrócił uwagę. Podkreślam: nikogo nie zmuszam, by wyrzucił futro. Nikogo nie namawiam do zrezygnowania z jedzenia kurczaka. Jestem jednak przekonany, że za 20-30 lat nieunikniona będzie debata o przemysłowej hodowli

KRZYSZTOF CZABAŃSKI:

Dobrym gospodarzem nie jest ten, kto ma użytkowy stosunek do zwierząt. Szyszko urządził sobie polowanie na bażanty, które nigdy w życiu nie miały okazji latać. To było barbarzyństwo.

zwierząt. Jest ona okrutna dla zwierząt i niezdrowa dla ludzi. Na razie wszyscy udają, że problemu nie ma, bo żywność ma być tania.

Tadeusz Rydzyk mówił niedawno: „Gdy słyszę o pomyśle zakazu hodowli zwierząt futerkowych, pytam: gdzie ja jestem? Może niedługo zakazą hodowli kurczaków?”.

Ja już nie, ale pokolenie moich dzieci zapewne będzie dyskutować o ich przemysłowej hodowli.

Pan jest lewakiem?

Jestem konserwatystą. Brzydzę się rewolucjami.

Środowisko o. Rydzyka i prof. Jana Szyszki ma Pana za lewaka, który „otorbił” Kaczyńskiego i ściągnął go na złą drogę. Przyznaje się Pan?

Miło mi, że ktoś tak wysoko ocenia mój wpływ na prezesa PiS, jednak lewica nie ma monopolu na empatię wobec zwierząt.

Ojciec Rydzyk lubi szafować cytatami z Biblii, że oto Bóg „wszystko złożył pod jego [człowieka] stopy” i człowiek ma sobie czynić ziemię poddaną. De facto mówi: hodowanie norek na futra to wola boska.

Dobry gospodarz dba o swoją ziemię, a nie niszczy i nie maltretuje żyjących na niej zwierząt. Ma ziemię sobie poddaną, to znaczy ma też obowiązek dbać o nią. Warto poczytać św. Franciszka i posłuchać papieża.

Minister Szyszko dbał o ziemię?

Dobrym gospodarzem nie jest ktoś, kto ma tak użytkowy stosunek do zwierząt i nie ma w sobie empatii do nich. Szyszko urządził sobie nawet polowanie

na bażanty, które wyhodowano i które nigdy w życiu nie miały okazji latać. To był przejaw barbarzyństwa, a nie dobrego gospodarowania.

Dlaczego Pan nie mówił tego, gdy Szyszko był ministrem?

Nikt mnie wtedy nie pytał, a zresztą byłoby dziwaczne, gdybym latał po mediach i krytykował ministra własnego rządu.

Kiedyś Pan żądał wyjaśnień, gdy w jednym z programów publicystycznych TVP – tak Pan uznał – forowano hodowców zwierząt futerkowych.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji odpisała mi, że przeanalizowali program „Warto rozmawiać” Jana Pospieszalskiego i oddawał on głos wszystkim stronom. Napisałem ponownie do szefa Rady, że jeśli emitowanie filmu promocyjnego, który sprawia wrażenie reportażu dziennikarskiego, i przedstawianie lobbystów jako ekspertów nie łamie standardów, to mimo 50 lat w zawodzie dziennikarza – a taki mam staż – nie wiem, o jakich standardach mowa. Witold Kołodziejski już mi nie odpowiedział.

Prawo łowieckie wprowadziło zakaz uczestnictwa osób nieletnich w polowaniach i mamy bunt myśliwych. Czy PiS-owi opta się zabiegać o ochronę zwierząt?

Paweł Suski z PO, który jest szefem sejmowego zespołu ds. ochrony zwierząt, ma do dziś traumę, bo ojciec zabierał go w dzieciństwie na polowania. Ten zakaz jest słuszny, choć oczywiście można dyskutować, czy powinien obowiązywać do 18., czy może do 16. roku życia.

A może Szyszko ma rację mówiąc, że dzieciaki w grach komputerowych ścigają trupy gęsto, więc widok, jak ojciec strzela do kaczki albo dzika w realu nie jest żadnym szokiem?

Nie żartujmy. Ludzie potrafią odróżnić świat wirtualny od realnego. W grach nikomu nie sprawia się bólu, a na polowaniach strzela się do zwierząt, które są do nas podobne, bo żyją i czują.

Właśnie udowodnił Pan tezę Szyszki i Rydzyka: humanizuje Pan zwierzęta, więc jest Pan lewakiem.

Hodowanie i zabijanie zwierząt często jest dziś nieludzkie. Humanizuję więc, ale człowieka. © Rozmawiał JACEK GĄDEK



Protest w Baranowie, 23 maja 2018 r.

Mgliste dni Baranowa

MARIUSZ SEPIÓŁO

W małej gminie na Mazowszu ma powstać największe lotnisko w tej części Europy. Ale mieszkańcy ciągle nie wiedzą, co czeka ich w najbliższej przyszłości.

WIE PAN, PŁAKAĆ SIĘ CHCE. JAK SIĘ tak o tym wszystkim pomyśli, to aż w gardle ściska. Jak to będzie wyglądało? Przyjdą, każą się wyprowadzać, a potem co? Ludzie się tu znają, wszystko o sobie wiedzą, nie tak jak w mieście. Znamy swoje historie i swoje problemy, wieś jest jak trochę większa rodzina. Jak tę rodzinę przenieść w inne miejsce? Młodych nie ma wiele, wyjechali. Ale młodym to i łatwiej byłoby się pogodzić. Starszym trudniej. Wie pan, ja się teraz zastanawiam: czy to w ogóle tak można? Czy to jest w ogóle dozwolone? Żeby tak komuś dobytek wydrzeć za grosze?

Żeby boeing wszedł

Gmina Baranów to schłodna okolica pełna wyremontowanych domów, pachnących świeżością budynków użyteczności publicznej. Blisko autostrady A2 i trasy na Sochaczew. Ponad 5,2 tys. miesz-

kańców. Przy domach samochody, gdzieś niedzie – bo rolników jest tu niewiele – nowe maszyny rolnicze.

Pani Lena od 30 lat prowadzi w Baranowie zakład fryzjerski. Niedawno usłyszała w internecie piosenkę, w której dziennikarze Radia Kolor na melodię piosenki Golec uOrkiestra śpiewają: „W polu jeszcze jest obora, ale zmieni się / Przerobimy ją na hangar, żeby boeing wszedł”.

– Śmieję się z nas – mówi pani Lena. – A tu normalni ludzie żyją.

Przy stryżeniu opowiada: – O wszystkim dowiadujemy się z mediów, ale tak naprawdę nie znamy żadnych konkretów. Wcześniej prowadziłam swój zakład w innym budynku, a ten wyremontowałam. Własnymi siłami, nie było lekko. I co? Będzie trzeba to zostawić i siedzieć w domu?

Pani Lena nie wyobraża sobie zaczynania wszystkiego od początku. W Baranowie ma swoich klientów, dobrą opinię.

Przeniesienie biznesu w inne miejsce nie ma dla niej sensu. Jeśli będzie trzeba, po prostu przestanie pracować.

Dobrze zna Baranów. Tłumaczy, że większość młodych stąd wyjechała. Zostali starsi, żyjący z rolniczych emerytur. Jeśli będą musieli wyprowadzić się do miasta, jak przeżyją, z czego? Nie wspominając o zmianie stylu życia. Tu wyjdą na drogę i spotkają sąsiada. W mieście – mówi pani Lena – będą czekali, aż miejsce na ławce się zwolni.

Nowe miasto

Mieszkańcy gminy opowiadają historię tajemniczego geodety, który po przejściu na emeryturę postawił sobie cel: znaleźć odpowiednie miejsce na wielki port lotniczy. Jeździł wokół Warszawy i szukał tak długo, aż znalazł miejsce idealne: płaskie, suche, 45 km od stolicy.

Do budowy lotniska przymierzano się już w 2005 r. Mijały ostatnie dni rządu SLD. Urząd Lotnictwa Cywilnego dogadał się z hiszpańską spółką na wykonanie studium wykonalności nowego portu lotniczego. Już wtedy wśród potencjalnych lokalizacji inwestycji wymieniano Baranów. Ale dokument nie powstał i pomysł poszedł w zapomnienie, tak samo jak rząd lewicy.

Spodziewano się, że po jesiennych wyborach parlamentarnych nastąpi zmiana polityczna w kraju dotkniętym aferami. Porządek miała zrobić prawica, nie wiadomo było tylko pod jaką postacią – PiS czy PO. Ale w programach obu partii sprzed wyborów w 2005 r. nie ma ani słowa o nowym, wielkim porcie lotniczym. PiS w swoim programie w ogóle nie mówi o transporcie. PO pisała o konieczności budowy autostrad, reformie kolei i odpolitycznieniu rynku transportowego.

W 2007 r. w ówczesnym Ministerstwie Transportu, jeszcze za rządów PiS, zrezygnowano z budowy centralnego portu komunikacyjnego. Jednocześnie rząd PiS głośno mówił o konieczności modernizacji lotniska w Modlinie. Minister Jerzy Polaczek przekonywał, że zostanie ono otwarte w 2007 r., co ostatecznie stało się w 2012 r.

Dopiero kiedy PiS powrócił do władzy, w przestrzeni publicznej zaczęło pojawiać się hasło „Centralnego Portu Komunikacyjnego”. Ogłoszono, że najlepszą lokalizacją jest wieś Stanisławów w gminie Baranów.



→ Ruszyła machina. Pełnomocnikiem rządu ds. CPK został Mikołaj Wild, prawnik, wcześniej m.in. wiceminister skarbu, doradca w gabinecie politycznym premier Szydło, sekretarz stanu w KPRM, a dziś także w Ministerstwie Infrastruktury. To on przedstawiał mieszkańcom Baranowa koncepcję budowy CPK. W kontaktach z ludnością uczestniczył też Marcel Klinowski, dziś także w MI, a wcześniej związany m.in. ze Stowarzyszeniem Republikanie i prezes Fundacji Projektów Obywatelskich.

Sieci hotelowe zgłosiły chęć budowania swoich obiektów na terenie CPK. Koleje Mazowieckie ogłosiły, że są chętne do obsługi pasażerów, którzy będą podróżować między lotniskiem a sąsiednimi miastami. A w sąsiedztwie CPK powstanie nowe miasto. „To kierunek, w którym także my chcielibyśmy pójść. Niski wskaźnik urbanizacji Polski jest naszą szansą. Możemy zaplanować *airport city* w sposób funkcjonalny, tak by było dobrym miejscem do pracy” – mówił portalowi rynek-lotniczy.pl Mikołaj Wild.

CPK ma powstać w wyniku wprowadzenia specustawy, którą 10 maja przyjął Sejm. Według rządu CPK ma pozytywnie wpłynąć na rynek pracy (37 tys. nowych miejsc na samym lotnisku, 150 tys. w otoczeniu – mówią rządowe szacunki), przemysł, ekologię i turystykę.

Każda cegła

Jednak w opowieściach mieszkańców słychać przede wszystkim niepewność. Co do miejsca budowy samego CPK, co do wysokości rekompensaty czy czasu na wysiedlenie. Czy mieszkańcy są wystarczająco poinformowani? Czy znane są już konkretne informacje dotyczące powierzchni CPK, sposobu, w jaki będą przesiedlani mieszkańcy, terminów?

Pytania wysyłam do Mikołaja Wilda i Marcela Klinowskiego. Milczą. Odpowiada dopiero biuro prasowe Ministerstwa Infrastruktury. „Na przełomie maja i czerwca 2018 r. będą znane wyniki analizy lokalizacyjnej Centralnego Portu Komunikacyjnego, przeprowadzonej przez doradcę technicznego. Rozpoczęcie prac budowlanych jest planowane w 2021 r., po zakończeniu pozyskiwania gruntów oraz uzyskaniu ostatecznej decyzji środowiskowo-lokalizacyjnej dla CPK. Planowana data oddania Centralnego Portu Komunikacyjnego do użytku to 30 paździer-

nika 2027 r.” – tłumaczy Szymon Huputyś, rzecznik prasowy MI.

I dalej wyjaśnia: powołana zostanie spółka celowa do zarządzania projektem, która do końca 2019 r. poprowadzi negocjacje z mieszkańcami w sprawie zakupu nieruchomości lub pozyskania nieruchomości zamiennych. Według szacunków MI około 90 proc. gruntów zostanie pozyskanych w drodze negocjacji. Czas na przeprowadzkę będzie wynosił 120 dni.

Pan Adam, właściciel sklepu wielobranżowego z Baranowa, jest bardzo dobrze poinformowany. Śledzi informacje, chodzi na spotkania. Docenia, że urzędnikom chciało się przyjechać i odpowiadać na pytania mieszkańców, czasem aż zbyt szczegółowe. Ludzie chcieli wiedzieć, co się stanie ze stadem krów lub świń, jeśli trzeba się będzie wyprowadzać. I czasem urzędnicy nie potrafili na pytania odpowiedzieć.

– Budowa CPK na terenie naszej gminy jest pewna – stwierdza pan Adam. Stoi za ladą w swoim sklepie i zapewnia, że o tej sprawie może rozmawiać godzinami. Jest w wieku emerytalnym, ciężko pracował przez całe życie, nieraz dorabiał na Wyspach. O sprawie CPK zbiera dziś wycinki prasowe i informacje z internetu. – Przede wszystkim to najlepsza lokalizacja. Mamy tu podobno tylko 3 proc. mglistych dni w roku. Dla lotniska to sprawa kluczowa.

Dla pana Adama budowa CPK nie jest kwestią do dyskusji: decyzja zapadła ponad głowami ludzi, i tyle. Najważniejsza kwestia jest inna: jak i według jakiego prawniczka wypłacone zostaną rekompensaty. Sam prowadzi sklep, ale ma też trochę ziemi i siedlisko z domem.

Pana Adama denerwuje co innego: wszechobecna biurokracja i prawo podatkowe, za którym nikt już nie nadąży. Dziesięć lat temu, kiedy otwierał sklep, ludzie jeszcze robili normalne zakupy. Teraz z jednej strony fiskus, z drugiej Lidle i Biedronki, do których wszyscy jeżdżą, a w sklepie na wsi biorą tylko papierosy i coś do picia.

A jeśli przyjdzie się wyprowadzać? Sentyment jednak jest. – Tak, ja w tych budynkach każdą cegłę własnymi rękami kładłem – przyznaje pan Adam.

Liczy się rozmiar

W upalny dzień odrywam od pracy młodego rolnika. Właśnie wysiadł z ciągnika ze słuchawkami w uszach.

– Dziwne? Nie, dziś już normalne – uśmiecha się, chociaż powodów do za-

dowolenia ma niewiele. Kiedy wraca wieczorem do domu, po kolacji rozciąga się na sofie i w smartfonie czyta wiadomości. W wyszukiwarce ma ustawiony alert na hasła „Baranów” i „CPK”. Artykuły komentuje, ale pod pseudonimem, bo już parę razy naciął się na hejt. Nie chce o sytuacji mówić pod nazwiskiem – wtedy sąsiedzi krzywo patrzą.

– Każda władza musi wylać ileś ton betonu, żeby ją zapamiętali – mówi. – Nie chcę przesadzać, porównywać do dyktatorów czy innych, ale tak jest. Wszystko musi być „największe”, „najlepsze”, „najwspanialsze”. Nieważne, czy nas na to stać i czy kogoś tym nie skrzywdzimy. Liczy się rozmiar.

O budowie wielkiego lotniska słyszał od kilku lat. To wisiało w powietrzu. Ale nigdy nie było pewne. A kiedy się takie stało, zdał sobie sprawę, że będzie musiał zmienić swoje życie w momencie, kiedy zaczęło się jako tako układać. W gospodarce wszedł na całego. Wziął kredyt, nie mały. Każdy młody rolnik bierze. Sporo z unijnych dotacji. Zainwestował, bo wierzył, że z pracy własnych rąk jakoś będzie. I jakoś jest, nawet całkiem nieźle. Nie kaźdego stać na ładny samochód.

– Ale w 2021 r. przyjdzie walec i wszystko wyrówna – mówi. Nie ma złudzeń. Jeśli nic nie zmieni się politycznie, lotnisko na terenie Baranowa powstanie. Wszystkie domy, budynki gospodarcze, chodniki, płoty, słupy, wszystko pójdzie wniwecz. Najgorsza jest niewiedza, niepewność: kiedy, za ile, co dalej. To lotnisko ma się nazywać „Solidarność”. Niby solidarności z kim? Bo na pewno nie z nami.

Plany budowy lotniska wpłynęły na wieś w inny sposób: ludzie stali się podejrzliwi i zazdrośni. „Ile komu skapnie?” – słychać w rozmowach. Obserwują siebie nawzajem, po cichu przeliczają. Mój rozmówca jest pewien: – Jak zaczną się wy ceny, to się zaczną sąsiedzkie kłótnie.

Dziś już wiadomo, że na 17 czerwca uchwałą rady gminy został wyznaczony termin gminnego referendum w sprawie budowy. Mieszkańcy odpowiedzą m.in. na pytanie, czy zgadzają się na budowę portu na terenie gminy. Ci, z którymi rozmawiam, twierdzą, że odpowiedzi na „nie” mogą sięgać 90 proc.

Kiedy decyzja o głosowaniu jeszcze nie zapadła, jeden z mieszkańców od państwowego urzędnika usłyszał podobno: „Możecie sobie robić referendum. To i tak nic nie zmieni”. © MARIUSZ SEPIÓŁO

ANNA

Dziewit-Meller: *Industria jest kobietą*



TA HISTORIA BRZMI TAK, ŻE WŁAŚCIWIE NIE ma powodu, by w nią wierzyć, bo przecież bajki są dobre dla dzieci. Jesteś córką śląskiego robotnika, wszystkie gwiazdy na niebie i ziemi wskazują, że co jak co, ale w życiu to ci raczej łatwo nie będzie, w dodatku

tatko cię odumiera, zostawiając matkę na pastwę losu, co w połowie XIX wieku oznacza raczej poniewierkę, gruźlicę i lichą komórkę gdzieś w suterenie, gdzie pranie nie chce schnąć, bo wilgoć przeżera każdy kąt. Kto chodził do szkoły i czytał Prusa albo Konopnicką, ten wie.

A tymczasem – w sposób, który ponoć nadal nie do końca jest jasny – los się odменя, gdy trafiasz do domu wielkiego magnata przemysłowego Karola Goduli, postaci tak tajemniczej, że po dziś dzień będącej obiektem sporów historyków i specjalistów od dziejów Górnego Śląska. Skąd się tam wzięła? Różnie mówią i piszą, przyjmijmy zatem roboczo, że faktycznie matka twa prosi Emilię Lukas – znajomą posługaczkę w domu Goduli – o wzięcie dziecka na przechowanie, bojąc się, że wdowa z dwiema córkami to potwornie marny materiał na żonę. Posługaczka cię zatem przygarnia, może widząc w tobie narybek, który przejmie po niej schedę i szmatę do podłogi. Tymczasem nie tylko nie zostajesz służącą, ale jakby wręcz przeciwnie. Stary i chory Godula dostrzega w tobie potencjał i zaczyna od zatrudnienia dla ciebie nauczyciela, mając być może przeczucie, że to akurat będą dobrze zainwestowane pieniądze. Kiedy Godula umiera, otwarcie jego testamentu okazuje się skandalem nad skandale, gdy wychodzi na jaw, że oto w twoje ręce trafić ma 2 mln talarów, dziewięć kopalń galmanu, 40 kopalń węgla kamiennego, trzy huty cynku, majątki ziemskie w Szombierkach, Orzegowie, Bujakowie, Bobrku i Pniowach oraz udziały w innych zakładach górniczo-hutniczych. Siostrzeńcy pana Karola są na granicy apopleksji.

To jednak nie koniec bajkowych opowieści, bo po pierwsze gdy zabierasz się za zarządzanie tym gigantycznym majątkiem, pomnażasz go ponoć siedmiokrotnie, po drugie otrzymujesz od

cesarza Fryderyka Wilhelma tytuł hrabiowski, po trzecie ustawia się do ciebie kolejka arystokratycznych absztyfikantów, którzy marzą o połączeniu majątków, ale gdy wychodzisz za mąż za hrabiego Schaffgotscha, masz zapewnioną intercyzę, co jest ruchem szalenie nowoczesnym i zaskakującym. I co najlepsze – życie z hrabią długo i szczęśliwie, robiąc doskonałe interesy i trafiając na listę dziesięciu najbogatszych ludzi w Niemczech. Nie zapominasz przy tym, skąd się wzięłaś w tym świecie pałaców, spółek giełdowych i wielkich fortun, zatem dla swoich pracowników budujesz domy, fundujesz szkoły, szpitale i sierocińce. Wspomagasz kościoły, instytut dla niewidomych i dom wychowawczy we Wrocławiu oraz wrocławskie szarytki. Dla służby pałacowej ustanawiasz fundusz, z którego przychody służą jako „wsparcie dla ubogich rodzin, wdów i sierot oraz na zakup posagu dla dziewcząt z ubogich rodzin”.

Joanno Grycik (czasem Gryzik) von Schomberg-Godula, późniejsza hrabino von Schaffgotsch jakże wspaniałą bohaterką jesteś! Gdybym cię wymyśliła, nikt by mi w ciebie nie chciał uwierzyć, tyle przeszkód ominęłaś, z tylu szans umiałaś skorzystać – trudno cię nie wielbić. Tym bardziej cieszę się z tego, że w tym roku także twoją postacią – Matki Przemysłu – przywołują organizatorzy festiwalu Industriada, którzy postanowili pokazać, że potęgę przemysłowego Śląska i całego regionu, który dziś wchodzi w skład województwa śląskiego, budowały także kobiety, do tej pory niemal zupełnie pomijane w opowieści o historii tego miejsca. Bo to przecież nie tylko śląski kopciuszek, postać jak z disneyowskiej baśni, ale całe zastępy innych kobiet dają twarz i tożsamość regionowi. Te znane – jak arystokratki i magnatki Daisy von Pless czy zmarła kilka lat temu Maria Krystyna Habsburg, jak astronomka Maria Cunitz czy noblistka Maria Goeppert – i te anonimowe, by przywołać choćby te, które po II wojnie światowej zjeżdżały z mężczyznami jak równa z równym do kopalń, pracując pod ziemią na przodku, póki im tego oficjalnie nie zabroniono. Dziś zresztą kobiety są coraz mocniej obecne w kopalniach – także pod ziemią – jako geolożki albo miernicze czy jako sztygarki wentylacji. Większość z nich pracuje na powierzchni, ale często ta ich praca – np. na tzw. płucze, czyli w zakładzie mechanicznej przeróbki węgla – należy do szalenie wyczerpujących fizycznie, w zapyleniu i hałasie.

Industria jest kobietą – wystarczy wsłuchać się w brzmienie słów takich jak kopalnia, huta, maszyna, sztolnia, hałda, szychta, turbina. Wystarczy spojrzeć na śląski dom jako kopalnię kompetencji, jako zagłębienie tradycji, która przechowywana była przez kobiety, jako coś znacznie szerszego niż stereotypowe zamknięcie śląskiej kobiety w trzech K – *Kinder, Küche, Kirche*. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

BERLIN – 7 czerwca, godz. 19.00

Spotkanie „Wierzący – niewierzący, czy może być nam po drodze?”. Gościem będzie Tamara Kasprzyk-Przybysz. Klasztor oo. dominikanów, Oldenburger Str. 46.

BIELSKO-BIAŁA – 5 czerwca, godz. 17.00

Spotkanie z ks. prof. Andrzejem Perzyńskim. LO Tow. Szkolnego im. M. Reja, ul. Frycza-Modrzewskiego 12.

OSŁO – 11 czerwca, godz. 17.30

Spotkanie z Niną Witoszek, autorką książki „Najlepszy kraj na świecie”. Harald Hårfagres gate 2. Zgłoszenia: agatalazor@gmail.com

WARSZAWA – 2 czerwca, godz. 17.00

Kawiarenka klubowa. Gościem będzie Michał Okoński. Stacja Muranów, ul. Andersa 13, wejście od dziedzińca.

ZIELONA GÓRA – 5 czerwca,

godz. 18.00 Spotkanie organizacyjne. Piekarnia Cichej Kobiety, ul. Fabryczna 13.

POWROTY WARUNKOWE

Język polski jest moją ojczyzną. Nigdy do niego nie wróciłam,
bo też nigdy go nie zostawiłam. Jest zawsze ze mną.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

POMYŚL TYLKO: PRACUJESZ CAŁE ŻYCIE, kierujesz firmą w Anglii i Izraelu, równocześnie odchowujesz dzieci, rozwodzisz się nawet, rodzina rozjeżdża się na kilka stron świata, a ty zostajesz z perspektywą emerytury.

– I wtedy nagle przytrafiają ci się kocie łby: faktura rzeszowskiego bruku pod podszwami, uderzenie zapachów, dźwięków i obrazów, i nagle znów jesteś dzieckiem, w zupełnie innej czasoprzestrzeni Polski – i w taki oto sposób, nieplanowany, z dnia na dzień decydujesz, że na emeryturze zrobisz coś dla swojej duszy. Że przeprowadzisz się z Izraela do Polski i zaczniesz zmieniać lokalną społeczność. Niedługo potem kupujesz tam mieszkanie. Szaleństwo, prawda? I teraz powiedz mi, skąd to przyszło, bo ja nie umiem tego sobie wytłumaczyć.

Tyle Ichak. Ale nie tylko on spośród polskich Żydów-wygnanców ma problem ze zrozumieniem potrzeby dłuższych i krótszych przyjazdów do miejsca urodzenia. A także ze słowem „powrót”.

Or Akiva/Legnica. Odkupienie

Ichak Naor-Ajzensztros, inżynier instalacji elektrycznych: – Urodziłem się w Legnicy w 1949 r. W historycznej, zielonej kamienicy przy Żwirki i Wigury, która stoi tam do dziś. Z wczesnego dzieciństwa niewiele pamiętam – duże drewniane ławki z miejscem na kałamarz i wielką tablicę w legnickiej szkole. Spędziłem w niej ledwie kilka miesięcy, bo wkrótce wyjechaliśmy do Izraela. Miałem siedem i pół roku.

Ojciec jechać nie chciał. Dobrze mu w Polsce było. Szewc z małym sklepikiem, niczego więcej nie potrzebował. Ale moi

starsi bracia postawili sprawę jasno: „Możesz zostać – my jedziemy”. Cała młodzież, która przeżyła wojnę, jechała wtedy przecież do Izraela. Więc spakowaliśmy się – rodzice, pięciu braci, trzy siostry – i jak tylko dostaliśmy wizę, przyjechaliśmy do młodego państwa.

– Nie brakowało mi w Izraelu niczego. Miałem dobre życie, szybko się zaaklimatyzowałem, nauczyłem języka, nie wracałem myślami do Legnicy. Zgubiłem po drodze polski, choć odświeżały mi go co jakiś czas dzieci nowych imigrantów, zjeżdżające tu w kolejnych alijach (imigracjach). Skończyłem szkoły, rozwinąłem własny biznes. Trochę latałem po świecie. W 2007 r. prowadziłem firmę w Londynie. Moimi pracownikami byli Polacy. Nagle poczułem się jednym z nich. Byliśmy do siebie podobni, przyjaźniliśmy się, zaczą-



MICHAŁ SOBELMAN:

„Straciłem dom, język, kraj. I żeby to odzyskać na nowo po pięćdziesięciu latach? Niemożliwe”.

Na zdjęciu po lewej emigracja z Polski do Izraela. Katowice, czerwiec 1969 r.

Po prawej na Dworcu Gdańskim w Warszawie, 2008 r.



łem znów mówić po polsku. I tylko się śmiałem, gdy mówili mi „panie Ichaku” – a ja w Izraelu po prostu Icek jestem! I wtedy, w tym 2007 r., jeden z pracowników zaprosił mnie do siebie do Rzeszowa. Pojechałem do Polski z rezerwą, po raz pierwszy od 1957 r. I właśnie wtedy, przez ten szary rzeszowski bruk, przypominający ten z Legnicy, wszystko mi wróciło.

Zacząłem przyjeżdżać częściej. Najpierw ślub kolejnego pracownika, tym razem w Białej Podlaskiej. W drodze powrotnej, w wigilię żydowskiego nowego roku, trafiłem do warszawskiej synagogi. Ktoś zaprosił mnie potem na kolację i oprowadził po terenie dawnego getta. Mocno poczułem, że to miejsca, po których mój ojciec chodził jako dziecko. Wzruszony do głębi, zaplanowałem kolejną wizytę.

– Zacząłem jeździć po polskich miejscowościach, pytać napotkanych tam ludzi o ich historie, zwłaszcza Żydów o to, dlaczego wrócili do Polski. W Poznaniu spotkałem Alicję Kobus i zafascynowało mnie to, jak rozwinęła tamtejszą gminę żydowską. Wreszcie trafiłem do Legnicy. Nie umiem dziś powiedzieć, jak to się stało, że tak szybko podjąłem decyzję o zakupie mieszkania. Czułem po prostu, że to właściwa droga.

– Okazało się, że w mieście jest wiele do zrobienia. Wspólnota żydowska liczy około 40 osób, brakuje jej ludzi, pieniędzy, energii. Na miejscu stoi jeszcze kirkut, dom przedpogrzebowy, bożnica. Chciałbym je odnowić i zbudować małe muzeum i fundację. Legnica miała przed wojną może tysiąc żydowskich mieszkańców, Żydów niemieckich, Jekke, a na przestrzeni lat przewijali się przez nią tacy jak ja, Żydzi polscy. Chciałbym, żeby ktoś, kto kiedyś przywiezie swoje dzieci lub wnuki do Legnicy, i powie: „Popatrz, stąd jesteśmy”, mógł im pokazać coś więcej niż cmentarz i dom przedpogrzebowy.

– Od ponad pół roku jestem Polakiem, tak formalnie, bo poczuwam się znacznie dłużej. Mam polski paszport. Mieszkanie w Legnicy w nowym budynku, nieopodal miejsca, w którym się urodziłem, właśnie kończę remontować; w maju będę w nim już pewnie nocował. Do przyszłego roku chcę przyjeżdżać okazjonalnie. Po przejściu na emeryturę chciałbym spędzać tam większą część roku.

– Mam 69 lat, siłę, energię i wiarę w to, że się uda. Że zrobić w Legnicy coś dobrego i zostawić kolejnym pokoleniom. Niech pamiętają o swoich korzeniach.



KAROLINA PRZEWROCKA

ICHAK NAOR AJZENSZTROS: „Od ponad pół roku jestem Polakiem, tak formalnie, bo poczuwam się znacznie dłużej. Mam polski paszport”. Na zdjęciu w Or Akiva, Izrael, kwiecień 2018 r.

Warszawa. Pobyt

Słowo „powrót” cedił przez zęby, wyrażnie mu nie pasuje.

– Co za „powrót”? – dopytuje się. – O co ci chodzi? Przecież nigdy nie czułem, że do Polski wróciłem.

To dziwne: siedzi z kawą w warszawskim mieszkaniu, wśród półek pełnych książek; dla takich jak on – intelektualistów, pisarzy, tłumaczy – obfite biblioteki bywają sygnałem zakorzenienia, tym bardziej wsparte argumentem ukochanej kobiety, psa o ciepłym imieniu, miliona dziecięcych wspomnień. A więc skoro dom i korzenie zapuszczane po latach nieobecności, to jak nie nazwać tego powrotem?

Ale Michałowi Sobelmanowi, emigrantowi marcowemu, który po latach przyjechał do Polski w 1992 r., stałość miejsca czy jasna granica definicji nie dają gwarancji bezpieczeństwa. Słowa dobiera ostrożnie, ze sporym marginesem błędu, tak jak „pobyt” zamiast „powrotu”.

– Paradoks mojej sytuacji – mówi – polega na tym, że przez cały mój pobyt w Polsce głową siedzę w Izraelu. Pracuję w ambasadzie, zajmuję się sprawami izraelskimi, myślami jestem bardziej tam niż tu. Nie ma w tym nostalgii, nie ma dramatyzmu wyboru. Tak się po prostu złożyło. Dramatyzm wyborów to był w ’57 czy ’68, gdy wyjazdy były łzami, szklanką upuszczoną na beton, ze świadomością, że nie będzie już może powrotu – a nie teraz.

W wywiadach Michał powtarza, że Polska w Marcu ’68 była jedynym krajem,

w którym nie mógł być tym, kim się czuł: Polakiem. Ale im starszy, tym lepiej zdaje sobie sprawę z tego, że dziś dużo mówi się o jego wyjeździe, a nikt nie zastanawia się nad traumą pokolenia jego rodziców czy dziadków, ocalonych z wojny.

– Dla mnie to nie był wielki problem, raczej kwestia miesięcy, by się przestawić, zaaklimatyzować, nauczyć nowego języka, wreszcie – stać się Izraelczykiem. Ale oni? Wyjechali z jedynego kraju, który naprawdę kochali, i nie mieli już potem żadnej szansy na powrót. Dla mojego ojca jedynym prawdziwym domem była Polska. Wyrzucenie go było traumą, z której już nie wyszedł. A ile osób z tęsknoty za Polską popełniło samobójstwo?!

Rozmowa nie jest przyjemna, przepełnia ją smutek i rezygnacja, ten temat wyraźnie go kole.

– Nie rozumiesz – denerwuje się. – Straciłem dom, język, kraj. I żeby to odzyskać na nowo po pięćdziesięciu latach? Nie możliwe. Poza tym dziś jakie to są powroty? Przecież nie ma większego znaczenia, czy mieszkam tu, czy tam. Są inne czasy. Nie piszemy już listów, nie czekamy tygodniami na nieaktualne gazety. Żyjemy tam, gdzie nam wygodniej, gdzie pogoda jest ładna, sąsiedzi mili, gdzie mamy ładną okolicę.

Wylicza innych, którzy po latach nieobecności jednak podjęli próbę i przyjechali do Polski z myślą o pobycie na stałe. Część z nich wraca, bo po nocach śni im się zapach polskich lasów, pól i wiośen. ➔

→ A potem czują, że są i tu, i tam, i nigdzie do końca. Jest Malka z Rymanowa, przybyła tam po śmierci męża. Jest Bernard z Rzeszowa, pracownik naukowy. Albo tamten facet z Legnicy, któremu życie się w Izraelu posypało, a potem wymyślił, że dziewczyna, w której kochał się jako nastolatek, jest jego prawdziwą miłością. Skonfrontowany z zupełnie inną rzeczywistością, po dwóch tygodniach spakował się i już nie wrócił do Polski. Z drugiej strony – są ludzie w Izraelu, którzy ciągle żyją Polską. Taki powrót bez powrotu.

– Dla nas, którzy już raz wyjechali tak dramatycznie, to, co działo się w Polsce w ostatnich miesiącach, było przyczynkiem do myślenia, by już nie wiązać się z nią tak definitywnie. Albo inaczej: że skoro raz wyjechało się definitywnie, to wszelkie późniejsze powroty powinny być już jednak warunkowe.

Antysemityzm? – Mnie osobiście nigdy nie dotknął. Ale czuję go w Polsce. Bardziej nawet, to paradoksalne, niż w 1968 roku. Od ojca przejąłem ten zwierzęcy strach. Nieświadomie, bo nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. W ogóle im dłużej żyję, tym więcej znajduję potwierdzeń dla tezy, że wspomnienia i przeżycia naszych rodziców przechodzą na nas.

I znów wzdycha gorzko, bo lista rozczarowań jest długa. Także tych izraelskich. – Przez wiele lat Izrael był dla mnie krajem idealnym. Ale zdradził mnie jeszcze bardziej niż Polska. Był naprawdę moją ojczyzną, cudownym azylem dla Żydów, a dziś, gdy tam jeżdżę, czuję się wyobcowany, nie bardzo go rozumiem, smuci mnie, że izraelscy politycy kończą w więzieniach.

„Dokąd teraz?” – myśli Michał, patrząc w szarość kamienicznego podwórka, zmęczony brakiem słońca, polityką i wewnętrznym rozedrganiem.

Może Francja? Albo Hiszpania. Nigdzie na stałe. Wobec tylu rozczarowań ojczyznami myśl o tym, że dziś nie trzeba się już wiązać z żadnym konkretnym miejscem, jest prawdziwym wyzwoleniem. Myśl o życiu w kilku krajach jednocześnie, bez potrzeby jednoznacznej identyfikacji.

Ale jest coś jeszcze, atrakcyjna oferta wobec dylematów przynależności: zakorzenienie w językach. – W normalnym kraju bym się do niego nie uciekał, ale trudno powiedzieć, by Izrael czy Polska były teraz normalne. A zatem moja i żony ojczyzną są chyba teraz najbardziej języki. Mnie to w każdym razie determinuje bardziej niż cokolwiek innego. Chyba bardziej zako-

rzeniony jestem w języku polskim, bo to mój pierwszy język, ale nieustannie tłumaczę i śledzę, co dzieje się w literaturze hebrajskiej. Żyję w tych dwóch obszarach, i to jest moja ucieczka.

Tel Awiw. Kontakt

Maria Lewińska, pisarka, autorka „Analfabetów z wyższym wykształceniem”: – Ilekroć przyjeżdżam do Warszawy, słyszę: „Ależ pani pięknie mówi po polsku!”. A ja na to: „Dziękuję, mam tak od urodzenia”. Ten język jest moją ojczyzną. Nigdy do niego nie wróciłam, bo też nigdy go nie zostawiłam. Jest zawsze ze mną.

Henryk Lewiński, założyciel i prezes honorowy Polsko-Izraelskiej Izby Gospodarczej: – Nasz telawiwski dom jest szczególny: od zawsze mówimy po polsku, między sobą, z naszymi dziećmi. Moja żona, pisarka, nie jest w stanie napisać książki po hebrajsku. Nasiąknęła językiem, który zna od dzieciństwa.

Maria: – Próbowałam wejść głębiej w hebrajski, walczyłam o niego. Jeden z tekstów przetłumaczyłam nawet z koleżanką, ale wyszło fatalnie. Nie mój styl. Nie potrafiłam przełamać różnicy między potocznym językiem hebrajskim, w którym żyję, a literackim językiem polskim, w którym piszę.

Henryk: – Pojechaliśmy do Szwajcarii coś załatwić. Żona mówi: „Chodź, zostaniemy tu na tydzień”. Pytam: „Marysiu, a gdy będę chciał zejść do kiosku, by kupić polską gazetę, to czy ją dostanę? Lub obejrzeć polski program telewizyjny, to będzie? A co, jeśli zechcę polską krzyżówkę? A więc po co ja tu mam być?”... Przecież ja nawet nie potrafię rozwiązać krzyżówki, jeśli nie jest po polsku! W Szwajcarii nie zostaliśmy.

Maria: – Do Warszawy przyjeżdżamy co roku w lipcu, na dwa miesiące. Przeczekujemy izraelskie upały i dobijamy się do teatrów. Bo tak się zwykle składa, że warszawskie teatry idą na urlop razem ze mną. Dlatego wymyśliłam, tak żeby od teraz przyjeżdżać pod koniec lipca, by jeszcze we wrześniu załapać się na premiery.

Henryk: – W Warszawie chodzimy też do przyjaciół. Na spacer. Na zupełną wschodnią w restauracyjce w budynku, w którym mamy mieszkanie. Ja też – jeśli zdrowie pozwala – na golonkę i piwo do Kompanii Piwnej.

Maria: – Kupiliśmy to mieszkanie, bo często przyjeżdżamy. Jeżdżą też nasze dzieci, już stare konie: syn lat 48, i córka

starsza o pięć lat. Ogromnie Warszawę lubią. A więc mamy mieszkanie, ale ja do Polski nigdy nie wróciłam. Nigdy też nie zamierzałam.

Henryk: – Tak, mam żal do Polski. Chciano mnie pozbawić ojczyzny, w 1957 r. przyjechałem do Izraela. Na własnej skórze przekonałem się, że niedobrze jest być innym. Tak ogólnie. Ale sentymentu do Polski nic mi nie odbierze.

Maria: – Tak, czuję się urażona. To, co nam się przydarzyło w latach 1956-60, nie powinno było się wydarzyć. Nie było żadnej przyczyny, by po II wojnie światowej wyrzucić polskich obywateli z kraju. Poza świadomością naszego żydostwa niczym nie różniliśmy się od reszty Polaków. Nie wiem, ile Polska straciła na wyjeździe kadry wykształconych ludzi: profesorów, lekarzy, inżynierów, wykładowców, dziennikarzy, pisarzy, poetów, ale Izrael niewątpliwie na tym zyskał.

Henryk: – Nie wiem, kto wymyślił, że w Izraelu jest antypolonizm. Antysemici chyba! Mieszkasz tu, i widziałas go gdziekolwiek? Przecież ludzie tu przeszli przez obozy, wiedzą, kto je zbudował i jaki miał cel. I ja byłem zawsze dumny z tego, że Polska nie kolaborowała z Niemcami. Że cała Europa tak, a Polska nie. Choć wiem, że byli Polacy, którzy co tak się bali albo chcieli pieniądze, że wydawali Żydów gestapo. Skąd wiem? Bo swoje przeżyłem i widziałem. Wojnę, getto, ucieczkę przez Bug. Ale to wszystko nieważne. Po co to teraz ruszać? Wiesz, jaki ja byłem szczęśliwy, dumny, gdy Polska wyszła na świat, weszła do NATO, do Unii, że zaczęła przodować w Europie? A teraz co? I jeszcze mówią po tej aferze, że Polacy antysemici, a mi się serce kroi, i gdybym wcześniej nie zrezygnował z funkcji prezesa Izby, to na pewno zrobiłbym to po tej aferze.

Maria: – Może taka Polska po prostu jest. Może tacy są polscy politycy, z dekady na dekadę, że jak potrzebują coś ugrać z wyborcami, to zaczynają hecę żydowską.

Henryk: – W tym roku mieliśmy dylemat, czy na pewno do Polski jechać. Żeby rozumieć ten dylemat, trzeba mieszkać w Izraelu – nie zrozumieć ten, kogo tu nie ma. W końcu pomyślałem: „Co, ja mam się na Polskę obrażać? Nie chcę przecież! No to jedziemy”.

Maria: – Że syna czy córkę spotka w Warszawie coś złego? Że ktoś im coś powie? Nie, wcale się nie martwię. Trzeba żyć trochę w Izraelu, by pozbyć się kompleksów i strachu. Izrael daje pewność siebie.



MICZYSŁAW MICHALAK / AGENCJA GAZETA

LEV STERN: „Miałem tę możliwość, ten luksus, by wybrać miejsce, w którym chciałbym żyć. I wybrałem Wrocław, bo też go kocham”, Wrocław, maj 2014 r.

Poza tym nie wiem, wytłumacz mi, skąd ci w ogóle to pytanie przyszło do głowy?! Henryk (w tle TVP i „Korona królów”): – Ale czemu cię ten telewizor tak dziwi? Ja tu żyję jak w Polsce! Niektóre programy mnie denerwują, a niektóre wręcz przeciwnie. Mój ulubiony? „Ranczo”! Uwaga, że każdy z aktorów tam zasłużył na Oscara.

Maria: – Przyjazd do Polski to nie jest powrót – to trwanie w kontakcie. Z przyjaciółmi, językiem, kulturą. Nigdy tak głęboko nie weszłam w życie kulturalne Izraela jak w polskie. Tak wyszło, nie planowałam tego.

Henryk: – Ludzie, którzy zostali wychowani tak jak ja, nigdy nie opuścili Polski.

Wrocław. Dawka, na przekór

Jako dziecko musiał być wrażliwy, obserwujący, przenikliwy. Bardziej niż inne dzieci: wyczulony na piękno, detale, emocje, ale i na ból, na czyjś smutek i na strach. Może dlatego tak trudno mu było wyjechać z Wrocławia. Bolało go bardziej niż innych. Lev Stern, artysta i architekt: – Musiał ten wyjazd trafić na czas, w którym buduje się osobowość człowieka. Może dlatego tamten mój wyjazd w 1959 r., piętnastolatka urodzonego wprawdzie w Związku So-

wieckim, ale wychowanego i do cna prześląkniętego Wrocławiem, był tak traumatyczny. Tak bardzo go nie zrozumiałem i nie przyjąłem.

Za to Jerozolima przyjęła go ciepło. Przyzwyczaił się do tamtejszego słońca, do antycznych murów i tętniącego między nimi niepokoju. Opanował hebrajski. Polska, Wrocław zeszły na dalszy plan. Ale nigdy o nich nie zapominał. W 1987 r. przeczytał w izraelskiej gazecie, że można otrzymać wizę na przyjazd do Polski. Nie zastanawiał się. Załatwił papiery i przyjechał tak szybko, jak to było możliwe.

– Wrocław mnie wtedy szalenie zaskoczył, i moje uczucie do niego też. Zorientowałem się, jak głęboki jest to związek, jak silny wpływ na mnie przez całe życie miały jego fizyczne czynniki: architektura, struktura, zabytki, historia. Jak mnie to ukształtowało, moja wyobraźnię jako artysty i architekta, ale też wrażliwego człowieka. Zaczęłam odkrywać znaki detali architektonicznych, których całe życie używałem w moich projektach, a nie pamiętałem ich źródła. Dziś, jako dorosły architekt, widzę, że most Grunwaldzki czy kompleks Hali Ludowej to wielkie architektury, i że byłem wielkim szczęściarzem, że wyrastałem pośród tego.

Potem wrócił do Jerozolimy i wiedział już, że nie na długo. Zaczął przyjeżdżać do Wrocławia, najpierw co dwa-trzy lata, potem co parę miesięcy. W 2011 r. przeprowadził się nad Odrę na stałe.

Ludzie mówią mu, że powrót przechodzi człowiekowi szybko, mniej więcej dwa lata po przyjeździe, po pierwszych rozczarowaniach. A jemu nie przeszło po sześciu. W 2014 r. skończył pisać i opublikował książkę „Wrocław. Jerozolima. Wrocław” w opracowaniu Moniki Braun. Opisał w książce swoje przeżycia.

O Wrocławiu mówi „mój dom”. Za Jerozolimą nie tęskni, ale odczuwa wielką przyjemność, przyjeżdżając do Izraela. Kocha go, czuje z nim silną więź, także ideologiczną. – Ale miałem tę możliwość, ten luksus, by wybrać miejsce, w którym chciałbym żyć. I wybrałem Wrocław, bo też go kocham – a tu codzienność jest dla mnie dobra i przyjemna. To ciekawe, jak wrażenia z dzieciństwa wpływają na te zmysły najbardziej podstawowe. Na przykład pogoda, przechodzenie zimy w wiosnę, a wiosny w lato. Całe poczucie upływającego czasu, tak w Izraelu inne. Nie przyzwyczaiłem się tam do trwającego miesiącami lata, gorączki, hamsinów. Ani do tego, że latem nie mogę wyjść w południe na spacer, bo jest zbyt upalnie. Nie mówiąc już o zapachach, widokach, smakach, wszystkim, co tak silnie utkwiło mi pod skórą w dzieciństwie. No i otoczenie architektury Wrocławia, tak specyficzne i fascynujące. Sam jestem zdziwiony, jak silny ma to wszystko na mnie wpływ.

Czuje dyskomfort, przyparty do muru pytaniem o swoją tożsamość. Nie ma we mnie potrzeby, by zamykać się w granicach słów. Polak, Izraelczyk, Żyd? Europejczyk, przywiązany do tej kultury, mentalności, historii. I Izraelczyk. Z ukształtowanym przez doświadczenie Holocaustu w pokoleniu jego rodziców poczuciem, że tę tożsamość można pokierować jakoś inaczej, nie tylko w stronę Izraela. Ale w stronę Polski, tak trochę dawka (hebr.) – na przekór historii.

– Dopiero odkąd jestem w Polsce, odkrywam wiele nowych rzeczy o sobie. Na przykład niewyobrażalną głębię hebrajskiego. Pojęcia nieprzetłumaczalne na żaden inny język, wyjątkowe. I nagle rozumiem, że czasami trzeba się oddalić, żeby znaleźć piękno czegoś, co jest nam drogie.

I może to jest odpowiedź na pytanie, które tak nurtuje powracających warunkowo. © KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

KARDYNAŁ EWANGELICZNIE NIEBEZPIECZNY

Nieważne, że Konradowi Krajewskiemu
kłaniają się kurialni urzędnicy.

Ważne, z jakim szacunkiem traktują go
panowie obsługujący watykańską śmieciarkę.

SZYMON HOŁOWNIA

NOWINĘ OGŁOSIŁ PAPIEŻ NIESPODZIEWANIE podczas modlitwy „Regina coeli” Rzec dokona się 29 czerwca, w uroczystość świętych Piotra i Pawła, gdy na placu św. Piotra abp Konrad Krajewski, wraz z trzynastoma kolegami po piusce ze wszystkich stron świata, otrzyma od papieża czerwony biret, pierścień i bullę nominacyjną. To pierwszy polski kardynał mianowany przez Franciszka.

Warto przy tej okazji nie popaść w chorobę, której objawy znamy w Kościele od dwóch tysięcy lat. Gdy św. Paweł pisze do Koryntian: „Myślę o tym, co każdy z was mówi: Ja jestem Pawła, a ja Apollosa, ja jestem Kefasa, a ja Chrystusa”, opisuje przecież tak naprawdę Kościół, w którym „ja słucham tylko o. Szustaka”, „ja jestem fanem abp. Rysia”, „ja wierzę tylko o. Rydzikowi”. Do tej listy dołączy teraz z pewnością kardynał Konrad, który dla wielu stanie się (ten proces już wystartował), daj Boże, żeby źródłem inspiracji, ale raczej – personalnym totemem, którym będzie można powygrażać hierarchom, których się nie lubi.

Ambasador biednych

To oczywiście bardzo fajny ksiądz. Ale przy całej mojej sympatii, szacunku i ogromnej radości z tego, że ktoś, kogo – to dla mnie prawdziwy zaszczyt – mogę nazywać przyjacielem, zostaje kardynałem, jest dla mnie też jasne, że to nie o nim jest ta historia. Że papież nie wyróżnił go teraz, dołączając do grona ponad 200 najbliższych współpracowników (a także, co nie mniej ważne – ponad 120 wyborców następnego papieża, spośród których ów papież będzie też przez Ducha Świętego rekrutowany), z powodu zachwyty nad wyjątkowymi cechami jego osobowości czy w uznaniu zasług.

Tą bezprecedensową nominacją (funkcja jałmużnika papieskiego była dotąd formą przedemerytalnego zasiłku honorowego dla watykańskich urzędników średnio-wyższego szczebla) Franciszek chciał włączyć do najważniejszego kręgu decyzyjnego Kościoła tych, o których tak zaciekle walczy. Których ze swoich gremiów wyklucza współczesny (czasem również nazywający się chrześcijańskim) świat:



FABIO PIGNATA / CPP

biednych, głodnych, chorych, uchodźców, poranionych, pogubionych, potrzebujących. Chce pokazać, że na mocy dyspozycji naszego Mistrza to ci, którzy nie mają siły nabywczej, mandatów wyborczych, stanowisk, lokat, zdrowia, domu, pracy, a czasem nawet i łez – mają być naszym oczkiem w głowie i najbardziej miarodajnym próbnikiem naszego chrześcijańskiego sumienia. Ks. Konrad – tak rozumiem tę nominację – ma być w najściślejszej „centrali” Kościoła ich ambasadorem. Honorowanym nie dlatego, że sam jest mądry i godny, ale dlatego, że staje w imieniu tych, od których ma plenipotencje.

Sprzedaj biurko!

Zdobywał je przez ostatnich pięć lat. Nominowanie go, liturgisty, specjalisty



Abp Konrad Krajewski podczas niedzielnej modlitwy Anioł Pański na placu św. Piotra, Watykan, 21 lutego 2016 r.

w Urzędzie Papieskich Celebracji Liturgicznych (pracował tu przez paręnaście lat za czasów Jana Pawła II i Benedykta XVI) na jałmużnika było zaskoczeniem zarówno dla nominowanego, jak i dla nominującego. Papież miał podobno powiedzieć, że chodziło mu po głowie to dziwne imię, zaczął więc sprawdzać, czy ktoś taki pracuje w Watykanie. Później sprawy potoczyły się szybko: krótka, konkretna rozmowa, decyzja, konsekracja na biskupa od ubogich (z prawami, jakie ma ordynariusz, gdy trzeba załatwiać kościelne sprawy ludzi spotkanych na ulicy), i to słynne polecenie: „sprzedaj biurko”. Nominat potraktował poważnie apel szefa, nakazującego mu też trzymać się z dala od pomp i celebracji oraz – w pewnym sensie – od siebie samego (żeby jałmużnik nie chodził za pa-

piezem, tylko siedł tam, gdzie papież nie może teraz z racji swojej funkcji pójść).

Więc poszedł. Ucząc się swojej nowej pracy na „froncie”, pamiętając o wskazówkach Franciszka mającego wielką praktykę z Buenos Aires (dając jałmużnę patrz w oczy; nie ograniczaj się do kupowania jedzenia, jedz z tymi ludźmi itd.). Gdy od bezdomnych nocujących w okolicach Watykanu dowiedział się, że ich wielkim kłopotem jest brak możliwości umycia się, zaproponował burmistrzowi Rzymu eksperyment: obaj plombujemy swoje łazienki i patrzmy, po ilu godzinach zacznie się z nas ulatniać człowieczeństwo. Nie patrząc na jeremiady o bruku Biurem Dobroczynności Apostolskiej wyfasował ogólnodostępne prysznice

w kolumnadzie Berniniego, gdzie niebawem uruchomiono dyżur fryzjerski i lekarski. Niedaleko kościoła Ducha Świętego zorganizował (przekazaną następnie w zarząd Misjonarkom Miłości) noclegownię. Aktywnie pracuje nad podjęciem przez tych, którzy czują się na siłach, decyzji o wyjściu z bezdomności – kupuje bilety do domu, organizuje pracę, pośredniczy w rozmowach z rodzinami. Codziennie rano pod drzwiami jego biura ustawia się kolejka proszących o pomoc w zapłaceniu czynszu, rachunków za lekarza, prawnika, o zapomogę. Z Domu Świętej Marty przynoszona jest korespondencja z prośbami, którą otrzymał papież. Czasem jest na niej sugestia, czasem nie ma, bo przecież Corrado, jak go tu nazywają, będzie sam wiedział, co robić.

→

→ Cokolwiek robi – czy jedzie na Lampedusę rozdawać karty telefoniczne wyławianym z morza uchodźcom, by mogli skontaktować się z bliskimi, i modlić się nad dziesiątkami zwłok tych, dla których owo „morze założycielskie” naszej cywilizacji stało się cmentarzem, czy leci do księdza z problemami, który wysłał do papieża szczerzy list, czy bierze ciężarówkę (sam ją prowadzi) i jedzie do spustoszonej przez trzęsienie ziemi prowincji Włoch, by pomóc pozbierać się rodzinnym wytwórcom żywności robiąc u nich zakupy za parędziesiąt tysięcy euro (jedzenie trafiło później do dobroczynnych jadłodajni w Rzymie), czy organizuje bezdomnym zwiedzanie Muzeów Watykańskich, wycieczkę nad morze, albo kupuje im u chińskiego sprzedawcy tysiąc par majtek (a zaskoczonemu handlarzowi, próbującemu ustalić, po co jednemu facetowi tyle zmian bielizny, tłumaczy: „Widzi pan, taki wiek, ma się różne problemy...”), czy kupując kampera wielodzietnej i niemającej gdzie się podziąć rodzinie uchodźców z Bałkanów, czy robiąc przelew na zakup sprzętu medycznego w Afryce – zawsze dobitnie powtarza: to w imieniu Ojca Świętego, to od niego.

Papieska spółka

Tych dwu stworzyło ewangeliczną spółkę. Ludzie z całego świata, widząc ubóstwo Franciszka, wysyłają mu pieniądze dla biednych. Arcybiskup – za chwilę kardynał – Konrad ma prawo podpisywać w jego imieniu dyspozycje finansowe. Nie wiem, od którego z nich wyszedł pomysł genialnego w swej prostocie, przejrzyścieści i organizacyjnej logice apelu, by każda europejska parafia, klasztor, sanktuarium przyjęły rodzinę uchodźców. Wiem, że pewnej niedzieli dostałem esemesa: „Oglądaj w południe Anioł Pański”. Obejrzałem, apel bardzo mnie poruszył. Mnie poruszył, a arcybiskup natychmiast oddał syryjskiej rodzinie swoje mieszkanie (przeprowadził się do biura, gdzie urządzono mu pokój do spania i przyjmowania gości w dawnym magazynie używanych do wypisywania błogosławieństw – czym jego urząd wciąż się zajmuje – pergaminów).

Obaj amputowali sobie gen odpowiadający za zajmowanie się samymi sobą. Mam wrażenie, że budzą się z jedną tylko myślą (ks. Konrad potwierdza resztą, że najbardziej „ewangelicznie niebezpieczny” jest rano): co by dziś zmaistrować, by na świecie było choć odrobinę więcej dobrej, a nie

Tak samo nadzy przychodzimy na świat

PRZED BOGIEM wszyscy jesteśmy ubodzy, milioner i żebrak, prezydent i bezdomny, biskup i grzesznik, sportowiec i niepełnosprawne dziecko. Wszyscy tak samo nadzy przychodzimy na ten świat, a ziemia, w której spocznią nasze ciała, od tysięcy lat dokładnie tak samo przyjmuje najedzonych na bankiecie życia, jak i tych, którzy byli z niego przez swoich braci wypraszani – napisał abp Konrad Krajewski w liście na organizowane w Warszawie Święto Ubogich w 2016 r.

Abp Konrad Krajewski (ur. 1963 r. w Łodzi), doktor teologii, liturgista, w latach 1999–2013 papieski ceremoniarz, od 2013 r. papieski jałmużnik. Watykan, październik 2013 r.

złej nowiny? To księży, dla których Jezus jest jedynym hobby, karierą, szczytem marzeń i źródłem satysfakcji. To ojciec i syn, brat z bratem, dwóch rozumiejących się bez słów wspinaczy na tej samej ścianie, obaj *de facto* bezdomni (papież mieszka przecież w hotelu, don Corrado – w pracy).

Gdy papież czytając gazetę trafia na poruszającą go historię, a następnie szuka telefonu do rodziny, która straciła dwójkę dzieci i nie może się pozbierać, dzwoni do nich wiele razy, zaprasza do siebie – robi tak, bo tak zrobiłby Jezus. Gdy ks. Konrad podczas wizyty w Polsce widzi w telewizji historię o szkole, w której 40 niepełnosprawnych dzieci wnoszonych (i znoszonych) jest codziennie po schodach, i natychmiast wyklada papieskie pieniądze na windę – to nie dlatego, że widzi w tym świetny, ocieplający wizerunek Kościoła projekt. On to robi, bo Jezus by to zrobił. Bo zrobienie tego jest oczywistością dla kogoś, kto chce poważnie traktować Ewangelię.

Przygoda życia

Anegdotami ze swoich zmagania (bo to jest walka) o to, by żyć „czystą Ewangelią”, jałmużnik papieża sypie jak z rękawa. Wystarczy znaleźć na YouTube jego wystąpienie na łódzkiej pieszej pielgrzymce do Częstochowy (z którą starał się rokrocz-

nie wyruszać) albo kazanie rekolekcyjne, jakie wygłosił w łódzkiej katedrze przed ingresem abp. Grzegorza Rysia. Gdybym miał powiedzieć, co mu zawdzięczam, w pierwszym rzędzie wymienilibym właśnie to: natychmiastowe zmartwychwstanie przekonania, że Ewangelia to największa przygoda, w jaką w życiu można wejść. Że to nie szwedzki stół, z którego wybieram sobie pasujące do moich gustów kęsy, ale realna moc, antybiotyk na zło, a antybiotykowi się nie kontempluje, tylko trzeba po prostu przyjąć.

Trzydzieści parę lat wydawało mi się, że jestem chrześcijaninem, bo stoję na trybunach, mam pół szafy szalików z napisem „Jezus” i krzyczę o wartościach chrześcijańskich, aż tu nagle mogę z bliska przyrzuć się ludziom, którzy grają z Panem na jednym boisku. Którzy płacą za to życiem, ale Ewangelia odpłaca im tym, co ma najlepszego: odbiera lęk. Patrząc na papieża Franciszka, na kardynała Konrada: jakże ci ludzie są wolni! Jałmużnik wiele razy opowiadał, jak w rozmowie z papieżem, opisując mu sposób, w jaki używa papieskiej karetki do ratowania rzymskich biedaków, spuentował: „Mnie kiedyś wsadzą za to, co w imieniu Ojca Świętego robię”. Co usłyszał? Radę, by może jednak przyhamował? A skąd. „Nie smuć się, będę cię odwiedzał w więzieniu!”.



MASSIMILIANO MIGLIORATO / CPP

To dzięki niemu nauczyłem się, że dla chrześcijanina posiadanie innych poglądów politycznych czy gustów literackich nie jest żadnym problemem, skoro i tak szkoda na nie czasu, bo przecież trzeba się brać za robienie Ewangelii. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie, na krakowskim lotnisku. Zwyczajowy *small talk* („Pamiętam księdza, gdy był ceremoniarzem przy Janie Pawle II”, „A czym się pan zajmuje w tej Afryce?”) mieliśmy załatwiony w dziesięć minut. Po nim byliśmy już „na ty”, tak pogrążeni w rozmowie o radykalizmie Dobrej Nowiny, że ja musiałem przebukować się na inny lot, a on o mały włos straciłby swój. Pamiętam, jak na zakończenie spotkania on, arcybiskup, stanął w milczeniu i poprosił mnie o błogosławieństwo. Oczywiście piękno tego gestu, zarezerwowanego w naszym kręgu kościelnym dla zawodowców w koloratkach, przywrócił nam rzecz jasna Franciszek w dniu swojego wyboru, gdy poprosił o nie ludzi zgromadzonych na placu św. Piotra. We mnie ten wymiar odblokował się właśnie wtedy, w Balicach. Nie boję się już zrobić komuś na czole znaku krzyża, położyć mu na głowie ręki, powiedzieć krótkiej, szczerzej modlitwy.

Podarował mi wówczas swój egzemplarz „Ewangelii bez kompromisu” Catherine de Hueck Doherty, jednej z najbardziej fascynujących postaci chrześcijaństwa XX wieku, która zdecydowała się zrezygnować ze wszystkiego, co miała, i dzielić życie z najuboższymi mieszkańcami amerykańskich przedmieść. W książce pozakreślał markerem najmocniejsze

zdania, z których do dziś siedzi mi w głowie konstatacja, że w toku chrześcijańskich dziejów udało nam się wyczyścić Ewangelię z ryzyka, które towarzyszyło Jezusowi przez cały okres Jego publicznej działalności, i pytanie: dlaczego więc w ciebie śmierci mielibyśmy nie chodzić i my?

Kiedyś, gdy szliśmy rano z Eucharystii w bazylicę św. Piotra, obowiązkowo z przystankiem i zaproszeniem na cappuccino bezdomnych z papieskich przysniców, usłyszałem: „Zobacz, jakie ja głoszę kazania, skoro nikt jeszcze nie pomyślał nawet, żeby mnie ukrzyżować”. Pogrążyliśmy się później w debacie, czy pewien młody ksiądz uczestniczący w cowortkowym i cozwartkowym rozdawaniu przez papieską brygadę (do ks. Konrada dołączają gwardziści szwajcarscy, pracujące w Watykanie siostry i inni wolontariusze) mógł być zszokowany, gdy na uwagę: „Księżę arcybiskupie, tuńczyk się skończy!” usłyszał: „To niech się ksiądz pomodli i rozmnoży!”.

Czy Jezus rzeczywiście powiedział, że „jeśli tylko będą mieć wiarę w Syna Cłowieczego, większe znaki uczynią”, czy to może tylko przenośnia, bo On – o czym od dwu tysięcy lat cierpliwie przekonują różni egzegeci – wcale nie chciał, żebyśmy rozdawali pieniądze (bo to nierozważne), przyjmowali obcych (bo to niebezpieczne) ani szli głosząc „wszelkiemu stworzeniu” i „wszędzie” (bo po pierwsze nie całemu stworzeniu, a po drugie nie wszędzie, lecz tam, gdzie się da, bo – jak mawia papież – tacy z nas apostołowie, jak rybacy wystawiający na plaży baner: „Ryby, proszę przyspyływać od 16.00 do 18.00”)? Z ks. Kon-

radem nie da się umówić w zbyt wystawnej restauracji. Dlaczego? Bo jego szef powiedział kiedyś: „Jezus nie lubi dróg przebytych do połowy. Jezus nie lubi półotwartych drzwi. Nie lubi podwójnego życia”.

Kolor krwi

Ks. Konrad ma w Polsce (zwłaszcza w rodzinnej Łodzi, której jest turbopatriotą, i w górach, gdzie regularnie jeździ) dziesiątki przyjaciół. Dziwne to nie jest, bo jak tu nie lubić człowieka, który jest w stanie pojechać bladym świtem na rowerze na rzymską giełdę kwiatową, by kupić kwiaty żeńskiej części podejmowanej rodzinnej delegacji? To co, że kłaniają mu się kurialni urzędnicy – mnie wystarczył moment, kiedy widziałem, jak z niepodrabialnym szacunkiem kłaniają mu się panowie obsługujący watykańską śmieciarkę. Lud Rzymu, ludzie „odwróconego sukcesu”, grzesznicy – ci wszyscy, o których zapomina czasem Kościół traktowany przez jego członków jak sala fitness – będą mieli teraz swojego kardynała. Jaskrawa czerwień tych szat ma przecież jasną symbolikę: odkąd ci je włożą, masz pamiętać, że masz być gotowy na przelanie krwi, nie tylko na obronę papieża i Kościoła publicystyką albo umęczanie się dlań podczas celebracji i wizytacji.

To chyba trzeba powiedzieć wprost: Konradowi (a przez niego Franciszkowi) zawdzięczam moje chrześcijaństwo. I wiem już, że próbować wypłacić mu się za to mogę tylko w jeden sposób: Ewangelią. Dziś, bez „ale”, do końca.

© SZYMON HOŁOWNIA

Biedacy mają opiekuna

MY POLACY MÓWIMY: „Mamy kardynała!”. Tymczasem to przede wszystkim biedacy mają kardynała. Uważam, że ta nominacja jest doskonała. To człowiek w pewnym sensie szalony, który bierze na serio Ewangelię. Potrafi bezdomnej przepędzonej w złą pogodę ze schodów kardynalskiej rezydencji udostępnić samochód z papieskiego garażu. Albo zorganizować dla dwóch tysięcy biedaków

przedstawienie cyrkowe, pokazując, że oni także mają prawo do relaksu. Kiedy ktoś z jego bezdomnych znajomych decyduje się na powrót do Polski, ksiądz kardynał osobiście odprowadza go do samolotu. Czuje się bratem najuboższych – nie wstydi się tego i jednocześnie nie afiszuje się z tym. Zwykle pojawia się w naszej wspólnocie niespodziewanie i w tych momentach, gdy jest

najbardziej potrzebny. Np. kiedy zastukał do drzwi o dziesiątej wieczorem. Przyjechał do kraju na pogrzeb bezdomnej Polki, która zmarła w Rzymie, ale była chowana tutaj. W tym czasie chcieliśmy kupić dom dla wdowy z dziećmi, która mieszkała w koszmarnych warunkach w drewnianym kurniku. Ktoś nam dał część pieniędzy, brakowało około jednej czwartej. Akurat byłam u tej kobiety i odjeżdżając, zapytałam, czy jest wierząca. Odpowiedziała, że tak. „To niech się pani pomodli, bo brakuje nam

pieniędzy” – poprosiłam. Wieczorem pojawił się arcybiskup Krajewski z dokładnie taką sumą od Ojca Świętego, jaka była nam potrzebna. Ta pani w tej chwili jest przeszcześliwa, a dzieci mają godne warunki. Podobnie było ze wsparciem domu w Krakowie, który remontujemy. Ksiądz arcybiskup zadzwonił w momencie, w którym zabrakło nam już pieniędzy na dalszy remont. Cechuje go prostota, oddanie bliźnim i poczucie humoru.

© S. MAŁGORZATA
CHMIELEWSKA



Hojność Kościoła

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Spór o komunie dla niekatolików z małżeństw mieszanych w Niemczech ma znaczenie dla przyszłości chrześcijaństwa. Jest także okazją do przemyślenia znaczenia Eucharystii w Kościele.

PODCZAS GDY W POLSCE ŚWIĘTUJEMY Boże Ciało, w Niemczech trwa dyskusja o udzielaniu komunii w małżeństwach konfesyjnie mieszanych. Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa przed eucharystycznym głodem braci „odłączonych” strzegą „prawdziwi” katolicy. W Polsce problem ten w praktyce nie istnieje, natomiast dla wielu niemieckich małżeństw konfesyjnie mieszanych jest to problemem realnym i coniedzielnym. Około 40 proc. z nich to związki z chrześcijanami innych wyznań.

Przyszłość chrześcijaństwa

Po odwołaniu się siedmiu niemieckich biskupów do papieża (zob. „Protestant na mszy u katolików” w „TP” nr 18-19/2018 oraz na powszech.net/protestant), Franciszek zachęcił Episkopat w Niemczech do wypracowania kompromisu w sprawie sformułowania zasad zezwalających protestanckim współmałżonkom katolików na przyjmowanie komunii w czasie mszy. Zasady te miałyby się znaleźć w przygotowywanej przez niemiecki Episkopat „Pomocy duszpasterskiej”. A ponieważ spór (wbrew zamysłowi separatystów) stał się publiczny, pojawiła się okazja do pogłębionej refleksji nad miejscem Eucharystii w życiu Kościoła, a także przyjrzenia się z bliska, na czym polega sens ekumenicznych zmagani.

Ów spór warto uważnie śledzić, ponieważ w pewien sposób dotyczy także przyszłości całego chrześcijaństwa. „Obrońcy prawdziwej wiary” są aktywni nie tylko w Niemczech czy w Europie, ale także w USA. Na przykładzie tego niemieckiego konfliktu można prześledzić, co Duch mówi dziś Kościołowi, przypominając nam oficjalne kościelne teksty (z ich wciąż nieodkrytym bogactwem), historie konkretnych ludzi czy też stawiając nas wobec społecznych przemian i „znaków czasu”.

Przed laty, podczas pobytu na katolickim Uniwersytecie Leuven, wraz z wieloma belgijskimi chrześcijanami zebranymi

w tamtejszym kościele św. Piotra uczestniczyłem w ekumenicznej mszy świętej. Oczywiście wiem, że czegoś takiego nie ma, ale wtedy taka msza naprawdę się odbyła. Odprawiali ją duchowni katolicy razem z protestanckimi współbraćmi, którzy aktywnie uczestniczyli w liturgii Słowa, głosząc także kazanie. W części drugiej usunęli się do tyłu, pozostawiając pole katolickim księżom. Do komunii przystąpili... jedni i drudzy. Czy to był już Kościół błędzący, czy jeszcze Kościół poszukujący?

W niemieckim sporze głos zabierają prominentni hierarchowie. Z jednej strony staje więc kard. Walter Kasper, kard. Reinhard Marx czy „biskup od ekumenizmu” i członek Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan Gerhard Feige z Magdeburga. Z drugiej kard. Gerhard Müller, kard. Rainer Woelki oraz uczeń kard. Müllera i jego następcą w Regensburgu bp Rudolf Voderholzer.

Ekumeniczna lawina

Nieudzielanie katolickiej komunii braciom z innych Kościołów, sięgające czasów schizm, na Soborze Watykańskim II przestało być prawdą niemal dogmatyczną. Stało się to za sprawą mocno dyskutowanego soborowego Dekretu o ekumenizmie „Unitatis redintegratio”, który dokonał wyłomu w tradycyjnej nauce Kościoła o Eucharystii, poszerzając potencjalny krąg jej odbiorców. Co miało

ogromny wpływ na wizję ekumenizmu: wcześniej widziano w nim „powrót do Rzymu”, teraz zaczęto postrzegać w nim „powrót do Chrystusa”.

Odkryto na nowo oczywistą (jak się dzisiaj wydaje) prawdę, że „ci przecież, co wierzą w Chrystusa i otrzymali ważne chrzest, pozostają w jakiejś, choć niedoskonałej wspólnotie (*communio*) ze społecznością Kościoła katolickiego”. W Dekrecie o ekumenizmie pojawiają się też nowe rozstrzygnięcia, w których wyróżnić można trzy kwestie. Po pierwsze: „Nie można wszakże uznać współudziału w świętych czynnościach (*communicatio in sacris*) za środek, który bez zastrzeżeń należałoby stosować dla przywrócenia jedności chrześcijan” (jednak „z zastrzeżeniami” – choć brzmi to dość instrumentalnie – Eucharystia może być środkiem przywracającym jedność). Po wtóre: współudział ten „zawisł od dwóch zasad: od konieczności zaznaczania jedności Kościoła i od uczestnictwa w środkach łaski”. Stąd też: tak jak „względ na zaznaczenie jedności Kościoła najczęściej wzbrania współudziału”, tak „łaska, o którą należy zabiegać, niekiedy czyni go wskazanym”. Po trzecie wreszcie: „O konkretnym sposobie postępowania, z uwzględnieniem wszelkich okoliczności czasu, miejsca i osób, niech roztropnie zdecyduje miejscowy biskup, chyba że co innego zarządzi Konferencja Episkopatu w oparciu o własne wytyczne bądź też Stolica Święta”.

Po ponad czterech stuleciach okazało się, że chrześcijanin niekatolik, niepozostający w pełnej jedności z Kościołem katolickim, może godziwie przyjąć komunię świętą z rąk katolickiego szafarza. I w tym momencie nie ma większego znaczenia, że muszą tu zostać spełnione pewne, skądinąd oczywiste warunki. Możliwość ta poruszyła lawinę, która powoli, ale cierpliwie buduje swoją siłę.

Duchowa potrzeba

Po soborze Sekretariat ds. Jedności Chrześcijan opublikował Dyrektorium ekumeniczne, które było „instrumentem wykonawczym” do Dekretu o ekumenizmie. Tekst Dyrektorium z 1967 r. mówi, że dla słuszych racji można udzielić katolickich sakramentów (Eucharystii, pokuty i namaszczenia chorych) „bratu odłączonemu”. Jako słuszny powód wymienia się niebezpieczeństwo śmierci, nagłą konieczność w sytuacji prześladowania bądź uwięzienia oraz niemożność dotarcia do właści-

wego sobie szafarza. Jednocześnie niekatolik musi sam dobrowolnie zwrócić się do katolickiego księdza, podzielać eucharystyczną wiarę Kościoła katolickiego i być we „właściwej dyspozycji”. O innych tego rodzaju sytuacjach nagłej konieczności (*urgentis necessitatis*) miał rozsądzać ordynariusz miejsca bądź Episkopat. W tym miejscu trzeba jednak zwrócić uwagę na jeden fakt. Ani na soborze, ani w obu dokumentach ekumenicznych, ani też w późniejszych dokumentach Kościoła nie pojawiło się wymaganie, by „brat odłączony” dokonał aktu konwersji. A tego zdają się oczekiwać krytycy „Pomocy duszpasterskiej”.

W styczniu 1972 r. ukazał się kolejny ważny dokument Sekretariatu: „Deklaracja o stanowisku Kościoła katolickiego w kwestii wspólnej Eucharystii między chrześcijanami różnych wyznań”. Dokument powtarza zasady zapisane już w Dyrektorium, choć na pierwszym miejscu stwierdza, że dobra dyspozycja i dobrowolne zwrócenie się do katolickiego szafarza, a nawet podzielenie katolickiej wiary co do Eucharystii nie są wystarczającym powodem do udzielenia komunii „bratu odłączonemu”. Musi bowiem zaistnieć jeszcze „wyższa konieczność” uniemożliwiająca mu dotarcie do szafarza własnego wyznania. Inne sytuacje „naglącej konieczności” mają zdefiniować biskupi diecezjalni bądź Episkopat.

Kodeks Prawa Kanonicznego, promulgowany w 1983 r. przez Jana Pawła II, dokonał pewnego przesunięcia akcentów (kan. 844). Miejsce „naglącej konieczności” zajęło co prawda „niebezpieczeństwo śmierci”, ale bezpośrednio obok zapisana została „inna poważna konieczność”, o zaistnieniu której ma rozstrzygać biskup diecezjalny bądź Konferencja Episkopatu.

10 lat później Papieska Rada ds. Popierania Jedności Chrześcijan ogłosiła nowe Dyrektorium ekumeniczne, w którym nie tylko przypomniła stosowne kanony prawa kanonicznego, ale i zaleciła wypracowanie norm udzielania sakramentów niekatolickim chrześcijanom poza sytuacją niebezpieczeństwa śmierci. „Zaleca się usilnie, by biskup diecezji, uwzględniając normy, które mogły być już podane w tej dziedzinie przez Konferencję Episkopatu lub przez Synody Kościołów wschodnich, dał wskazania ogólne, pozwalające ocenić sytuację w przypadku wielkiej i naglącej konieczności”.

Okazuje się więc, że Jan Paweł II nie zatrzymał się na rozstrzygnięciach Kodeksu,

lecz zdecydowanie pogłębił ekumeniczną teologię Eucharystii. W encyklice „*Ut unum sint*” napisał: „Można z radością przypomnieć, że w pewnych szczególnych przypadkach duchowni katolicy mogą udzielać Sakramentu Eucharystii, Pokuty i Namaszczenia Chorych innym chrześcijanom, którzy nie są w pełnej komunii z Kościołem katolickim, ale gorąco pragną je przyjąć, dobrowolnie o nie proszą i przejawiają wiarę, jaką Kościół katolicki wyznaje w tych sakramentach”. Warunki są dwa: gorące pragnienie przyjęcia sakramentów i podzielenie w odniesieniu do nich wiary katolickiej. Natomiast „pewne szczególne przypadki” nie zostały zawężone do klasycznego niebezpieczeństwa śmierci, uwięzienia czy prześladowania. Swoje znaczenie wydaje się też tracić niedostępność szafarza własnej wspólnoty, a sakramentalna wiara zyskuje przewagę nad koniecznością widzialnej jedności. Poza tym papież nie kryje satysfakcji, że dzieje się coś, co jeszcze sto lat temu nie byłoby możliwe. Encyklika „*Ecclesia de Eucharistia*” naucza, że celem przystąpienia „braci odłączonych” do katolickiej Eucharystii jest „zaspokojenie poważnej potrzeby duchowej dla zbawienia wiecznego poszczególnych wiernych”. O „zbawieniu dusz” jako najwyższym prawie przypomina nawet KPK.

Spór przy otwartej kurtynie

Podczas niemieckiej dyskusji bp Feige przypomniał przy tej okazji, że już przed 15 laty było jasne, iż nie każde małżeństwo mieszane znajduje się w sytuacji „poważnej konieczności” (*gravis necessitas*). Konieczne wówczas wydawało się określenie, co ten termin oznacza. Koloński kard. Joachim Meisner był przekonany, że Watykan w krótkim czasie zdefiniuje, jak należy rozumieć ową „poważną konieczność”. Ale, jak mówi bp Feige, „takiej definicji nie doczekano się aż do dzisiaj”.

→

ANTYKWARIAT KWADRYGA

KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI,
MAPY, GRAFIKI.
DOJEŹDZAMY.
TEL. 22 622 11 54

REKLAMA

→ Obchody 500-lecia Reformacji w Lund (z udziałem papieża) i Hildesheim (z udziałem niemieckiego Episkopatu) sprawiły, że problem komunii w małżeństwach mieszanych powrócił ze zdwojoną siłą. Tymczasem – twierdzi bp Gerhard Feige – mimo burzliwej debaty przeciwnicy nowych regulacji nie przedstawili żadnych nowych argumentów. Wydają się oni nie przejmować znalezieniem duszpasterskich rozwiązań, które byłyby odpowiedzią na rzeczywiste problemy konfesyjne konkretnych rodzin, ulegają za to lękowi przed utratą katolickiej tożsamości. Z tego też tytułu bronią przedsoborowego obrazu Kościoła, nie przyswajając sobie katolickiej perspektywy ekumenicznej. Oskarżenia o próby zmiany katolickiej nauki na temat rozumienia Eucharystii, o forsowanie tzw. interkomunii czy ewangelickiej interpretacji Ostatniej Wieczerzy są – jego zdaniem – więcej niż chybione.

Kościół domowy

Ponieważ każde działanie duszpasterskie niesie za sobą konieczność głębokiego namysłu nad istotą Kościoła, nad katolicką „hierarchią prawd”, warto razem z biskupem Feigem zapytać: „Czy Kościół katolicki jest zamkniętym systemem doktrynalno-prawnym, nieznoszącym żadnych pastoralnych wyjątków, czy też w wyjątkowych sytuacjach ze względu na duchowe dobro wiernych jest wręcz pożądane odejście od takiego systemu?”.

W podobnym tonie wypowiedział się kard. Kasper, dając pierwszeństwo interpretacjom Dekretu o ekumenizmie, zawartym w przytoczonych wyżej wypowiedziach Jana Pawła II. Z kolei bp Voderholzer jako powód swego sprzeciwu podaje fakt, że w modlitwie eucharystycznej w czasie mszy wymienia się imię papieża, biskupa, świętych Kościoła w niebie, a wierni, odpowiadając „amen”, składają wyznanie wiary, czego protestanci zrobić nie mogą. Kard. Kasper odpowiada na to, że dla większości małżeństw wyznaniowo mieszanych sprawy religii są niestety obojętne. Niewielka część – i tak naprawdę o nią w całej debacie idzie – czuje się (mimo braku pełnej jedności) częścią jednego Kościoła Chrystusa, do którego zostali włączeni przez ten sam chrzest, a ich małżeństwo jest znakiem jedności Chrystusa i Kościoła. Nie sposób więc odmówić im jako chrześcijańskiej rodzinie

i *de facto* sakramentalnemu małżeństwu miana domowego Kościoła, który chce wspólnie celebrować Eucharystię. Protestancki współmałżonek podczas katolickiej mszy modli się zatem za papieża i (katolickiego) biskupa, a wypowiadając swoje „amen” na zakończenie doksológii deklaruje, że chce pozostawać w jakiejś (choć nieformalnej i niepełnej) jedności z Kościołem katolickim. Ponadto wielu protestantów – powiada Kasper – ma większy szacunek (a nawet miłość) dla papieża niż wielu współczesnych katolików. Natomiast problemy natury jurysdykcyjnej (teologicznie ważne) dla zwykłych świeckich nie mają – wedle Kaspera – większego znaczenia.

Na te słowa kard. Kaspera zareagowali obrońcy katolickiej Eucharystii, co skrzętnie odnotowuje „ortodoksyjny” i jawnie antyekumeniczny portal kath.net. Po pierwsze, przypominając, że uczestnictwo w katolickiej Eucharystii umożliwia protestantom jedynie konwersja. Zarzucono więc Kasperowi, że traktuje Eucharystię jako „dobro konsumpcyjne”, podlegające widzimisię miejscowego ordynariusza, że właściwie on sam nie wierzy w eucharystyczną obecność Chrystusa i swoimi poglądami ściąga „w dół” katolicką doktrynę. Ks. Nicola Bux, były doradca Kongregacji Nauki Wiary, reagując na opinie kard. Kaspera, poucza najpierw papieża, że powinien rządzić, a nie uciekać w synodalność. Sam Kasper natomiast, zdaniem Buxa, źle rozumie Dekret o ekumenizmie, który nic nie zmienił w kwestii komunii dla protestantów. Bux pisze również, że cytowane przez Kaspera papieskie encykliki niczego nowego nie wnoszą, potwierdzając jedynie wcześniejszą naukę Kościoła. Tego rodzaju komentarze można by skwitować słowami samego Kaspera, że to jakieś „bzdury”, „insynuacje” i „bełkotliwe pomówienia”.

Skoro przygotowywana wciąż „Pomoc duszpasterska” nie rozwiązuje problemów, co podkreślają jej przeciwnicy, to można by oczekiwać, że siedmiu biskupów kontestatorów przedłoży jakąś sensowną kontrpropozycję. Ta się jednak nie pojawiła, co oznacza: niech będzie po staremu, tak jak przed Soborem. Co więcej, o „Pomocy duszpasterskiej” jej krytycy mówią jako o „pułapce, która zablokuje rozwój prawdziwego ekumenizmu”, a pojawiające się w debatach pojęcie „eucharystycznej gościnności” traktują jako metaforyczny nonsens. Amerykańskich fundamentalistów z kolei stać jedynie na prze-

śmiewcze pytania w stylu: „Czy niemieccy biskupi chcą eksportować swój model na klęskę Kościoła?”.

Metropolita Kolonii kard. Woelki wyłożył swoje jednoznaczne stanowisko w sprawie toczzonego sporu. Z jednej strony oczywiście rozumie on, że w wyznaniowo mieszanych małżeństwach ludzie cierpią z tego powodu, iż nie mogą wspólnie przystępować do komunii św. Uważa jednak „za bardzo ważne, by mieć świadomość, iż każdy, kto mówi »tak« wobec Eucharystii, mówi także »tak« wobec realnej obecności”, a więc wobec tego, że „Chrystus jest i pozostaje obecny” w Eucharystii. Kard. Woelki domaga się dalej, by za „tak” wobec Eucharystii kroczyło „tak” wobec Kościoła, papieża, hierarchicznej struktury Kościoła, kultu świętych i wielu innych rzeczy. Nietrudno zauważyć, że mówca powtarza tu argumenty kard. Müllera, który nie zgadza się na proponowany kształt niemieckiego ekumenizmu. Jego zdaniem bowiem, opracowywana „Pomoc duszpasterska” jest „bardzo mierna” i nie ujmuje zasadniczej kwestii, która jest dlań oczywista: „nie może być mowy o komunii sakramentalnej bez komunii eklezjalnej”. Pod ekumenicznym hasłem „powrotu do Chrystusa” skrywa się wciąż żądanie „powrotu do Rzymu”.

Kazus brata Rogera

Żołęźciel Wspólnoty z Taizé brat Roger Schutz był protestantem i jako protestant umarł. Mimo to przyjmował katolicką Eucharystię, podobnie jak jego babcia. Komunii udzielał mu sam Jan Paweł II. Na pogrzebie papieża Polaka na oczach całego świata brat Roger przyjął komunię z rąk kard. Ratzingera. Było to wydarzenie medialne, jednak teologicznie niewykorzystane. Brat Roger nigdy na katolicyzm nie przeszedł, sympatyzował z papieżami, okazywał im szacunek, a wspólnota Taizé była pierwszą ekumeniczną wspólnotą z udziałem katolików. Nie zmienia to „dogmatycznego faktu”, że protestant, za zgodą i wiedzą papieża przystępował do katolickiej komunii. Można by więc zapytać: jaka jest różnica „ontologiczna” między prominentnym protestantem Schutzem a zwykłym protestantem Schneide-rem?

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

AUTOR jest teologiem dogmatykiem, byłym wiceprezydentem Europejskiego Stowarzyszenia Teologii Katolickiej. Obecnie przygotowuje monografię o Zmartwychwstaniu.



DAVE BROSHA / DESIGN PICS / EAST NEWS

Jeśli się nie staniecie jak dzieci

PIOTR SIKORA

Królestwo Boże to przestrzeń, w której niczego się nie robi po coś, niczego nie osiąga, o nic z nikim nie rywalizuje.

*„Panie, moje serce się nie pyszni
i oczy moje nie są wyniosłe.*

*Nie gonię za tym, co wielkie,
albo co przerasta moje siły.*

Uspokoilem i uciszyłem moją duszę.

*Jak niemowlę właśnie odstawione od piersi,
jak niemowlę – tak we mnie moja dusza”*

(Ps 131, 1-2)

JESLI SIĘ NIE STANIECIE JAK DZIECI – NIE wejdziecie do królestwa Bożego – to jedna z najbardziej znanych fraz ewangelicznych, lecz sens jej wcale nie jest jasny. Być może trudno go uchwycić, gdyż w swej istocie obraz użyty przez Jezusa może nieść wiele znaczeń. Co więcej, odniesie-

nia Mistrza do dziecka jako wzorca duchowej postawy zostały zapisane w wielu miejscach i naświetlają znaczenie metafor od różnych stron.

Niemowlęca kontemplacja

W najstarszej z Ewangelii synoptycznych, według Marka, możemy znaleźć takie sformułowanie, powtórzone niemal słowo w słowo w ewangelii Łukasza: „Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego” (Mk 10, 15, Łk 18, 17). Wypowiedział je Jezus, gdy uczniowie nie chcieli pozwolić, by ludzie przynosili do Niego małe dzieci. Wzmianka o przyno-

szeniu jest o tyle istotna, że wskazuje, o jakie dziecko chodzi w tym miejscu – które nie umie jeszcze samo chodzić, jeszcze nie mówi, karmione jest mlekiem matki. Królestwo Boże przyjąć można tylko jak niemowlę.

Niemowlę, choć komunikuje się z bliskimi ludźmi, nie opanowało jeszcze języka. Znaczy to, że nie ma w głowie potoku dyskursywnych myśli. Nie skonstruowało też jeszcze obrazu świata, który wykracza poza jego bezpośrednie otoczenie. Nie ma świadomej pamięci tego, co było, nie zastanawia się, co będzie za chwilę – idea przyszłości jest dla niego nieuchwytna. Jest całe w tym, co właśnie teraz. Całym sobą wyraża swój aktualny stan. Gdy jest mu źle – zimno, mokro, gdy jest głodne – płacze. Właśnie odstawione od piersi – uspokoje i ciche – przytula się do matki. Bez żadnych pragnień – jest tu i teraz, bo dobrze.

Owszem, jest ciekawe świata – gdy coś je zainteresuje, chłonie to całym sobą: obserwuje, słucha, chce dotknąć, wziąć do ust i posmakować. Nie ma jeszcze ustalonych koncepcji – wszystko jest dla niego nowe. A to, co właśnie jest przed nim – jest dla niego całym światem.

Ale nie ma jeszcze w sobie idei „ja” od tego świata oddzielnego. Nie potrafi rozpoznać w lustrze siebie jako siebie. Tym bardziej nie umieszcza się jako wyróżnionego elementu sieci relacji społecznych, nie traktuje siebie jako trwałego podmiotu o ustalonej tożsamości.

Jaśniejsze teraz się staje, ku czemu zmierza Jezus wskazując, że królestwo można przyjąć tylko jak dziecko. Królestwo można przyjąć tylko chłonąc je całym sobą – ale bez świadomości odrębnego „ja”, które właśnie przyjmuje królestwo. Można je przyjąć tylko w uspokojeniu i uciszeniu dyskursywnego umysłu, bez żadnych wstępnych koncepcji, bez porównywania z tym, co kiedyś, później albo gdzie indziej, w całkowitej ciszy serca chłonąc przychodzące tu i teraz i całkowicie wypełniające horyzont. Trzeba mieć w każdej chwili umysł otwarty i plastyczny, jak najmniej ograniczony tym, co przeżyte kiedyś, gotowy na zmianę i nowość.

Wszystko na swoim miejscu

Podobny obraz spotykamy w apokryficznej Ewangelii Tomasza (tekście, który nie znalazł się w kanonie Nowego Testamentu, ale który prawdopodobnie ➔

→ zawiera niektóre niezapisane w Piśmie słowa Jezusa). „Jezus zobaczył niemowlęta karmione piersią. Powiedział do uczniów: »Te niemowlęta ssące pierś są jak ci, którzy wchodzą do królestwa«. Odpowiedzieli mu: »Jeśli jesteśmy jak niemowlęta, czy wejdziemy do królestwa?«. Jezus odpowiedział: »Jeśli uczynicie dwa jednym, to co wewnętrzne zewnętrznym, a zewnętrzne wewnętrznym, wyższe niższym, męskie i żeńskie uczynicie jednością, tak że męskie nie będzie męskim, a żeńskie żeńskim, jeśli włożycie oczy w miejsce oka, rękę w miejsce ręki, stopę w miejsce stopy, obraz w miejsce obrazu – wtedy wejdzicie do królestwa« (EwT 22).

Wyjaśnienie podane tu przez Mistrza wskazuje na inny jeszcze aspekt „bycia jak niemowlę”. Chodzi o integrację elementów, które w naszym „dorosłym” obrazie świata i sposobie przeżywania rzeczywistości jawią się jako oddzielne, a nawet przeciwstawne. Świat zewnętrzny – życie wewnętrzne. Góra i dół – hierarchizowanie rzeczywistości. Męskie i żeńskie – podstawowy, biologiczno-kulturowy podział gatunku ludzkiego. Być jak niemowlę to powrócić do stanu jeszcze sprzed tych wszystkich kawałkujących pęknięć. Trwać w doskonałej jedności – gdy wszystko jest na swoim miejscu: oko na miejscu oka, ręka na miejscu ręki, stopa na miejscu stopy.

Wartość samego istnienia

Jeśli nie powrócimy do tego stanu, będzie nas dręczyć egocentryczne poczucie niespełnienia i związana z nim potrzeba uczestnictwa w „duchowym wyścigu szczurów”. Bardzo pouczająca jest w tym kontekście inna jeszcze wypowiedź Jezusa o dzieciach i królestwie, tym razem zapisana w Ewangelii Mateusza: „W tym czasie uczniowie przystąpili do Jezusa zapytaniem: »Kto właściwie jest największy w królestwie niebieskim?«. On przywołał dziecko, postawił je przed nimi i rzekł: »Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie (nie nawrócicie) i nie staniecie jak dzieci, nie wejdzicie do królestwa niebieskiego. Kto się więc unieży (zmniejszy, zlekceważy) jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim. I kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje« (Mt 18, 1-5).

Uczniowie chcą być ważni. Ważniejsi w porównaniu z innymi. Chcą jednak nie tylko coś znaczyć – chcą posiadać zasługi, być godni szacunku, być przedmiotem po-

By wejść do królestwa, trzeba stać się jak dziecko.

Lecz kryje się tutaj paradoks.

Bycie dzieckiem to stan prostego, czystego istnienia, bez zasług i osiągnięcia.

Czy można stan ten osiągnąć?

dziwu. Dziecko w czasach starożytnych niewiele mogło. W Rzymie – *pater familias*, ojciec rodziny, mógł je nawet zabić. W Grecji przechodziło proces wychowania, przed ukończeniem którego było trochę jak niewolnik: nie mogło decydować o sobie. W Izraelu, jak pokazuje historia Abrahama i Izaaka, rozpoznano, że należy do Boga, a nie do rodziców, że jest Jego darem dla nich – ale poważaniem i szacunkiem cieszyli się ludzie starsi, którzy mogli pokazać owoce swojego życia.

Nikt nie myślał o dziecku jako o kimś, kto ma jakieś zasługi, kto już coś osiągnął, kto może cieszyć się sławą i chwałą. Dziecko to ktoś, kto ma przed sobą przyszłość ale ma ją – wraz z wszystkimi osiągnięciami – dopiero przed sobą. Z drugiej strony dziecko – zwłaszcza w Izraelu – było największym Bożym błogosławieństwem. Pomimo braku jakichkolwiek osobistych zasług. Dziecko jest błogosławieństwem, radością i szczęściem, dlatego i tylko dlatego, że jest.

Wedle Jezusa nie wchodzimy zatem do królestwa i zatrzymujemy się na jego granicy, bo myślimy, że musimy coś osiągnąć, być lepszym od kogoś innego, bo chcemy zasłużyć na uznanie, na podziw, na miłość. Ponieważ nie wierzymy, że tym, co w nas najcenniejsze, jedynie warto miłości – co więcej: nieskończenie przez Nieskończoną Miłość kochane – to my sami, po prostu będący, kim jesteśmy. Jeśli się nie nawrócimy i nie staniemy jak dziecko, które nic jeszcze nie osiągnęło, które nie może – i nie chce – niczym zasługiwać na miłość, które chce tylko się bawić, czyli robić coś bez żadnego innego celu niż radość z tego, co właśnie się robi – nie będziemy mogli wejść do królestwa. Bo jest to przestrzeń, w której niczego się nie robi po coś, niczego nie osiąga, o nic z nikim nie rywalizuje – w której się po prostu jest.

Bez lęku i wstydu

Kto odkrył tę prawdę – nieskończoną wartość prostego istnienia, kto nie musi niczego dopiero osiągać – ten także nie musi się niczego wstydzić. Nawet świadom swoich niedoskonałości, nie ma nic do ukrycia. Nie przejmują się konwencjami: to wypada, a tamto nie. Nie boi się śmiechności. Niczym Ewa i Adam w raju.

Jak poucza nas dialog z Ewangelią Tomasz, tylko taka przezroczystość i prostota umożliwiają widzenie Tego, który sam jest rzeczywistością królestwa: „Uczniowie pytali: »Którego dnia objawisz się nam i kiedy Cię ujrzymy?«. Odpowiedział Jezus: »Kiedy się rozbierzecie bez wstydu, weźmiecie swe ubranie, rzucicie je pod nogi i jak małe dzieci będziecie je deptać – wtedy bez lęku ujrzycie Syna Żyjącego« (EwT 37). Komu słowa o rzucaniu ubrania i skakaniu po nim wydają się niestosowne, nie ma w sobie prostoty i spontanicznej radości, która nie musi dbać o konwencje społeczne – nie ma jeszcze niewinnego umysłu dziecka.

Urodzeni z Ducha

By wejść do królestwa, trzeba stać się jak dziecko. Lecz kryje się tutaj paradoks. Skoro bycie dzieckiem to stan prostego, czystego istnienia, bez zasług i osiągnięcia – czy można stan ten osiągnąć? Chcieć stać się jak dziecko, starać się spełnić warunek Jezusa, to jakby iść w przeciwnym kierunku, albo nawet inaczej: to wybiec z domu w tym celu, by w domu się znaleźć.

Rozwiązanie tego paradoksu znajdziemy w Ewangelii Jana. W dialogu Jezusa z Nikodemem, gdy Mistrz mówi staremu nauczycielowi Izraela: nie może zobaczyć królestwa, wejść do niego nikt, kto się nie narodzi – a raczej, jak wskazuje język oryginału: nie zostanie zrodzony – powtórnie, z wysoka, z Bożego Tchnienia (por. J 3, 3. 5). Nikt sam nie postanawia, że się urodzi. Nikt nie decyduje: jutro albo nie – dzisiaj. Wszelki wysiłek rodzącego się dziecka jest odruchowy, można by rzec: spontaniczną reakcją na sytuację. By przyjąć królestwo, potrzeba tylko jednego – przyjmowania; zaprzestania gonitwy za tym, co wygląda nam na wielkie, uspokojenia i uciszenia duszy, otwarcia na Boski Oddech, który skąd chce przychodzi i dokąd chce zmierza, lecz w każdej chwili oddycha w nas.

**“...z góry wiem, że to się może nie podo-
bać. No trudno. I tak należy to zrobić.”**

Stasi umieściła go na liście sześćdziesięciu najbardziej niebezpiecznych polskich opozycjonistów. W duszpasterstwach akademickich, które prowadził, tworzył przestrzeń dialogu bezcenną w czasach PRL-u. Po 1989 roku nie przestał głosić Ewangelii Wolności. Do dziś płaci za to wysoką cenę.

Odważna publicystyka **o. Ludwika Wiśniewskiego OP** pokazuje, w jaki sposób myśli człowiek wolny, wierzący, że tylko prawda nas wyzwoli.

Książka ukazała się nakładem **Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie** oraz **Wydawnictwa WAM**.

www.wsiz.rzeszow.pl

GDZIE ZAMÓWIĆ?

zamowienia@wydawnictwomam.pl, tel. 12 62 93 260, wydawnictwomam.pl

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP29**

Przy zakupie od **50 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**



WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

wydawnictwo 

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

REKLAMA



**1,5 mln ludzi na Ukrainie
musiało uciekać przed wojną**

 **pah**

Polska Akcja Humanitarna

Pomóż cywilom razem z Polską Akcją Humanitarną!

WPLAĆ online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:

Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

dopisek **UKRAINA**

SKRWAWIONE RĘCE, KTÓRE NAS GŁASKAŁY

Chcą, aby ich ojcowie zostali osądzeni.
Są nawet gotowi zeznawać przeciwko nim w sądzie
– dzieci oficerów z czasów wojskowej dyktatury w Argentynie.

MARCIN RYCHŁY Z BUENOS AIRES



TO NIE BYŁA ZBRODNIA, LECZ LUDOBÓJstwo, które trzeba rozliczyć! – mówi podniesionym głosem 40-letnia Gabriela. Wraz z kilkudziesięcioma Argentyńczykami założyła organizację Nieposłuszne Historie. Ich celem jest walka o możliwość zeznawania w sądach przeciwko... swoim rodzicom: tym, którzy mieli dopuścić się zbrodni w czasach wojskowej dyktatury. Do dziś, choć od jej upadku minęło 36 lat, wielu winnych nie zostało osądzonych.

– Ojciec był strasznym człowiekiem. Właściwie wciąż nim jest, bo żyje. Ostatni raz widziałam się z nim 13 lat temu na pogrzebie mamy. I nie chcę się już z nim nigdy zobaczyć. Chyba że w sądzie – mówi 37-letnia Paula. Ma ciemną karnację, okulary w grubej oprawce i polsko brzmiące nazwisko. – To po matce – wyjaśnia. Prosi, aby go nie podawać. – Boję się, by ojciec nie chciał złożyć pozwu o zniesławienie.

Znienawidziłam go

Dziadkowie Pauli ze strony matki przybyli tu w 1936 r. z ówczesnej wschodniej Polski. Argentyna miała być dla nich nadzieją na lepsze jutro: – Ciężko pracowali na proste, ale godne życie. Nie dorobili się większego majątku. Dopiero ich córka, moja przyszła mama, wychodząc za mąż za absolwenta prestiżowej wojskowej uczelni, osiągnęła wyższy status społeczny.

Paula mówi spokojnie. Dużo gestykuluje, ale nie okazuje emocji, choć to sprawy dla niej trudne: – Ojciec to oschły człowiek, wojskowy bez uczuć. Nigdy nie miałam z nim dobrego kontaktu. Teraz jest już stary i chory. Nie wiem nawet, gdzie mieszka... O tym, czym zajmował się w armii, zaczął mi opowiadać, gdy miałam kilkanaście lat. Na początku nie wiedziałam, co o tym sądzić. Twierdził, że nie zabijał. Że nie brał udziału w „lotach śmierci” ani nie rozstrzeliwał. Ale pośrednio odpowiadał za śmierć dziesiątek ludzi. On uważał, że zawsze działał dla dobra swej ojczyzny. Gdy go pytałam, czy nie żałuje, zarzekł się, że znów postąpiłby tak samo. Po jakimś czasie prawdziwie go znienawidziłam.

W czasie wojskowej dyktatury (1976-82) ojciec Pauli był oficerem wywiadu. Namierzał ludzi niewygodnych dla junty: – Ojciec gromadził o nich informacje. Na ich

podstawie inni wojskowi wskazywali, czy ktoś będzie więziony, torturowany, czy od razu zabity.

A mundial trwał

Ten czas nazywany jest dziś „brudną wojną” (*guerra sucia*). Władzę w państwie sprawowała wtedy prawicowa junta wojskowa. Generał Jorge Videla przejął rządy w wyniku zamachu stanu 24 marca 1976 r., usuwając prezydent Isabelę Peron i jej ministrów. Rozwiązał parlament, zawiesił partię i związki zawodowe, zakazał wszelkiej działalności politycznej.

Twierdząc, że walczy z anarchią, korupcją i chaosem gospodarczym, junta przejęła pełnię władzy. Naruszanie praw obywatelskich stało się normą. Działacze opozycji, osoby podejrzane o działalność związkową czy w ogóle o nieprzychylnie nastawienie do władz masowo aresztowano, torturowano i zabijano. Represji nie wstrzymano w czasie mundialu, w 1978 r. rozgrywanego właśnie w Argentynie (wygrała drużyna argentyńska).

Ludzi porywanych i mordowanych określano mianem *desaparecidos* („zniknięci”), gdyż ginął po nich ślad. Padali ofiarą tzw. „lotów śmierci”. Uwięzieni w Szkole Mechaników Marynarki Wojennej (ESMA) pod Buenos Aires, byli wywożeni na lotniska, gdzie czekały na nich samoloty. Na pokładzie wstrzykiwano im środki odurzające, po czym żołnierze wyrzucali ich (nadal żywych) do rzeki La Plata lub oceanu. W ten sposób pozbywano się też dowodów zbrodni. Według oficjalnych danych za rządów junty zginęło 13 tys. ludzi – organizacje praw człowieka mówią o 30 tys. zabitych.

Kres junty

Na początku lat 80. atmosfera terroru, kryzys gospodarczy i bezrobocie sprawiły, że poparcie dla junty spadało. Wtedy gen. Leopoldo Galtieri, który przejął władzę w 1981 r., stworzył plan ataku na brytyjski archipelag Falklandów: liczył na patriotyczne nastroje, które odwrócą uwagę obywateli.

Ale Argentyna przegrała wojnę z Brytyjczykami, a klęska zapoczątkowała kres junty i przemiany demokratyczne.

W 1983 r. wojskowi rozpisali wybory, po których władzę przejęli cywile. Ale nie chcieli oni osądzać poprzedników. Byli przywódcy junty pozostali na wolności. Niektórzy z sukcesem startowali nawet w kolejnych wyborach.

Przez 36 lat, jakie minęły od końca rządów generałów, ich zbrodnie w dużej mierze pozostały nierozliczone. Wielu oprawców nie osądzono, a wielu bliskich ofiar nadal nie wie, co się stało z ich krewnymi. Choć na tle innych państw Ameryki Łacińskiej Argentyna i tak rozlicza się ze swą historią najlepiej.

Najgłośniejszy był tu proces zakończony w 2010 r., gdy osądzono 45 oficerów, w tym Videlę. Pierwszego przywódcę junty skazano na dożywocie już w 1985 r., ale cztery lata później ułaskawił go prezydent Menem. W listopadzie 2017 r. wyroki dożywocia usłyszeli m.in. Alfredo Astiz (zwany „Blond Aniołem Śmierci”) i Jorge Acosta (pseudonim „Tygrys”).

Mozolne rozliczenia

Wcześniej Astiz oskarżał byłą prezydent Cristinę Fernández de Kirchner o promowanie w celach politycznych niesprawiedliwych – jego zdaniem – procesów. Po latach amnestii zarówno ona, jak też jej mąż i poprzednik na stanowisku prezydenta Néstor Kirchner (już nieżyjący) zaczęli do rozliczeń z juntą. Proces m.in. Astiza, który skończył się w listopadzie 2017 r., trwał pięć lat i dotyczył 789 przypadków porwań, tortur i zabójstw. Po raz pierwszy skazano też organizatorów „lotów śmierci”.

Mimo rosnącej liczby procesów i wyroków, nadal wiele krzywd nie zostało osądzonych. Utrudnia to *el pacto de silencio*, zmowa milczenia: dawni zbrodniarze solidarnie nie chcą zeznawać przeciwko sobie.

Przykładowo, w całym 2017 r. sądy skazały 198 osób (uniewinniły 36). Liczby te świadczą o przyspieszeniu rozliczeń. Jednak organizacje praw człowieka krytykują opieszałość sądów. Średnio procesy trwają po pięć lat i wielu oskarżonych umiera przed ogłoszeniem wyroku.

Wciąż nie brak też decyzji kontrowersyjnych. Np. w maju 2017 r. Sąd Najwyższy obniżył karę 13 lat więzienia Luisowi Muiña. Uczestniczył on w akcji, podczas której aresztowano cały personel szpitala Posadas; zatrzymani byli potem torturowani. Przeciwnie tej decyzji demonstrowano na ulicach, aż parlament przyjął prawo zakazujące skracania kar za zbrodnie popełnione w czasach junty.

Pod koniec 2017 r. sędziowie podjęli kolejną kontrowersyjną decyzję: dawny dyrektor wydziału dochodzeń stołecznej

Pierwsza manifestacja Argentyńczyków z organizacji Historie Nieposłuszne. Buenos Aires, 3 czerwca 2017 r.

→ licji Miguel Etchecolatz – uznawany za jednego z najbardziej okrutnych – może odbywać karę dożywocia w areszcie domowym.

My, potomkowie zbrodniarzy

– Trudno zrozumieć, że sprawcy do dziś nie odpowiedzieli. Mój ojciec też powinien stanąć przed sądem – mówi Paula. Bez emocji czy zakłopotania, jakby rzeczywiście mówiła o obcym człowieku. – My, potomkowie zbrodniarzy, często mamy problem z oceną rodziców. Słyszę o wewnętrznych rozterkach i próbach rozdzielania ich ról: na ojców i działaczy reżimu. Dzieci anestezjologów mówią, że trudno im uwierzyć, iż ręce, które ich głaskały, wstrzykiwały zastrzyki torturowanym. Ale ja nie mam takich dylematów. Ojca oceniam jednoznacznie.

Od lat o sprawiedliwość walczą dwa stowarzyszenia zrzeszające kobiety. To Babcie z Plaza de Mayo i Matki z Plaza de Mayo. Ich nazwy pochodzą od miejsca cotygodniowych spotkań: placu Majowego, jednego z głównych w Buenos Aires. Celem obu organizacji, powstałych jeszcze w czasach junty, jest poszukiwanie zaginionych wnuków i dzieci. Nadal co jakiś czas dochodzi do spektakularnych odkryć – np. łączenia nielegalnie adoptowanych dzieci osób zamordowanych z ich krewnymi.

W czerwcu 2017 r. pojawiła się nowa inicjatywa. Wyszła nie ze strony ofiar, lecz od dzieci oprawców. Utworzono organizację, która nosi nazwę *Historias Desobedientes* (Nieposłuszne Historie). Skupia ludzi, którzy nie boją się mówić o zbrodniach swych rodziców i nawołują do ich rozliczania.

Jej członkiem jest także Paula: – Chyba najważniejszym bodźcem do założenia naszej organizacji była książka „Dzieci z lat 70.”, którą Carolina Arenes i Astrid Pikielny wydały w 2016 r. Zestawia opowieści dzieci zbrodniarzy z historiami potomków ofiar. Jedną z nich jest relacja Analí Kalinec, której ojciec, zwany Doktorem K., brał udział w „lotach śmierci”. Przeczytała ją Liliana Furio, jej ojciec też pracował dla reżimu i tak jak Doktor K. został skazany na dożywocie. Kobiety skontaktowały się przez Facebooka. Dołączyła do nich Mariana, córka Miguela Etchecolatza. A potem Laura, Bibiana, Pablo i ja...

Dla wielu to abstrakcja

Organizacja ma kilkudziesięciu członków. Nie wszyscy chcą podawać nazwiska. Podobnie jak Paula, obawiają się o reakcję



Pablo Verna jest twarzą organizacji Historie Nieposłuszne. Chce zeznawać przeciw ojcu, który jako lekarz uczestniczył w „lotach śmierci”.

ojców. Celem Nieposłusznych jest walka o możliwość zeznawania w sądach przeciw swoim bliskim. Prawo w Argentynie zabrania bowiem zeznawać przeciw rodzicom w sprawach dotyczących praw człowieka (uzasadnienie jest takie, że w ten sposób państwo chce chronić rodziny przed rozbięciem).

– Skala zaangażowanych w rządy junty była duża. Może nasz rząd boi się, że ludzie wykorzystywaliby zmienione prawo do regulowania rodzinnych porachunków? Albo że wywołałoby to zbyt duży chaos? – zastanawia się Gabriela. Kobieta ma 40 lat i jest jedną z Nieposłusznych. Chce pozostać anonimowa. Tłumaczy swoje zaangażowanie: – Często bliscy oprawców są jedynymi świadkami. Zmiana prawa oznaczałaby w wielu przypadkach konieczność spojrzenia prawdzie w oczy i zakończenie zamykania problemu pod dywan. A to nie były zbrodnie, lecz ludobójstwo, które trzeba rozliczyć!

Nazwa stowarzyszenia została zapożyczona z nazwy fanpage'u Analí Kalinec: „*Historias Desobedientes y con Faltas de Ortografía*” (Historie Nieposłuszne i z Błędami w Pisowni), na którym Kalinec publikowała swoje przemyślenia. – Wszyscy czujemy się w pewnym stopniu nieposłusznymi, dlatego stwierdziliśmy, że nazwa będzie idealnie pasować – dodaje Gabriela.

– Gdy po raz pierwszy wyszliśmy na miasto z banerem „*Historias Desobedientes*”, w centrum stolicy, trochę się denerwowałam. Bałam się, jak zareagują ludzie. Nie spotkałam się z żadnym wyrazem nie-

nawości. Choć dla wielu nasze działania są abstrakcją – mówi Argentynka.

Był lekarzem junty – i opiekuńczym ojcem

– Nie używaj proszę pojęcia „brudna wojna”, bo to nie była żadna wojna. To było ludobójstwo i walczyliśmy, żeby świat tak nazywał tę okrutną część naszej historii – mówi impulsywnie Gabriela. – Dla mnie ważne jest spotkanie z ludźmi, którzy mają takie same zmartwienia. Bo nasze spotkania, dzielenie się historiami z innymi, to jak wizyty u psychologa – tłumaczy, gdy pytam, dlaczego dołączyła do Nieposłusznych.

Jej ojciec pracował dla junty jako lekarz. Gabriela nie chce zdradzić, jaką miał specjalizację i czym dokładnie się zajmował: – Od dawna nie mam z nim kontaktu. Może to przykre, ale teraz już nawet nie dążę do jego odnowienia... Wspomnienia z dzieciństwa mam dobre. Wydaje mi się, że był opiekuńczym ojcem, niczego mi w domu nie brakowało. Teraz bardzo trudno o tym mówić, bo na wszystko patrzę przez pryzmat tego, czym zajmował się w czasie ludobójstwa...

– Podziwiałam go – dodaje. – Uwielbiałam chwile, gdy wracał z przychodni ze swoją czarną lekarską torbą. Pamiętam jej zapach: skóry i farmaceutyków. Zakładałam jego kitel i stetoskop, udając doktora osłuchiwałam całe rodzeństwo. Wypisywałam nawet recepty, choć nie wiem jak, bo chyba pisać jeszcze nie umiałam. Wtedy było dla mnie oczywiste, że też zostanę lekarzem. Chęci minęły, gdy dowiedziałam się o jego hańbiącej przeszłości. Byłam wtedy w szkole średniej.

Junta współpracowała z lekarzami różnych specjalności. Anestezjologowie pomagali w „lotach śmierci”. Ginekologowie przyjmowali porody od porwanych kobiet, które następnie ginęły, a ich urodzone w aresztach dzieci oddawano do adopcji. Inni lekarze prowadzili eksperymenty medyczne: brali udział w torturach, a ich zadaniem było również opracowywanie nowych metod torturowania.

Najodważniejszy

44-letni Pablo Verna jest jednym z nielicznych mężczyzn wśród Nieposłusznych. Dla wielu uchodzi też za najbardziej odważnego. W listopadzie 2017 r. Verna złożył w parlamencie projekt zmian do kodeksu karnego. Towarzyszyło mu 25 Nieposłusznych, głównie kobiet.

Ojciec Pabla, Julio Verna, mieszka dziś jako emeryt w Buenos Aires. Był lekarzem w szpitalu wojskowym w Campo de Mayo – bazie, która stała się miejscem wielu zbrodni. „Mój ojciec uczestniczył w »łotach śmierci«, otumaniał zastrzykami ludzi, których następnie wrzucano żywcem do oceanu” – wyznał Verna na łamach brytyjskiego „Guardiana”.

Pablo dowiedział się o działalności ojca kilka lat temu. Jego życie zmieniło się po trudnej z nim rozmowie. „Dzielę moje życie na dwa etapy. Pierwszy to ten do momentu, gdy się dowiedziałem o zbrodniczej działalności ojca. Drugi zaczyna się od chwili, gdy muszę żyć z tym bolesnym faktem. Mimo wielu podejrzeń, nie byłem gotowy na spowiedź ojca” – wspominał.

Po długiej wewnętrznej bitwie zdecydował, że jest gotów zeznawać. Twierdzi, że nikt nie wie o zbrodniach ojca, zatem jego zeznania mogą być jedynym dowodem. Aby wystąpić przed sądem jako świadek, musi doprowadzić do zmian w prawie.

Długo żył w rozterce. Teraz bije się z myślami, czy postępuje właściwie. „Mój ojciec nie jest potworem, jest normalnym człowiekiem z dobrymi i złymi stronami – ale jest zbrodniarzem” – mówił na łamach brytyjskiego dziennika.

Jesteśmy im to winni

Jeśli misja Pabla Verny, wspieranego przez Nieposłusznych, skończy się sukcesem i parlament zmieni przepisy, może to ułatwić zamknięcie tego rozdziału z historii Argentyny.

Gabriela: – W naszej chrześcijańskiej tradycji obowiązkiem rodziny zmarłego jest pochowanie jego ciała. Argentyńczycy, którzy stracili krewnych w czasie rządów junty, nie mogą tego zrobić od 40 lat. Co więcej, wielu nie jest pewnych losu bliskich. Ta świadomość jest chyba najgorsza, wspólcują tym ludziom.

– Mój ojciec, podobnie jak inni zbrodniarze, może wiedzieć, gdzie są ukryte listy zamordowanych albo mapy z zaznaczonymi masowymi mogiłami – dodaje kobieta, która urodziła się w drugim roku istnienia junty. – Gdy dojdzie do procesu mojego ojca, będzie musiał podzielić się tą wiedzą. Dla rodzin ofiar informacja o tym, co stało się z ich bliskimi, i ich godny pochówek mogą być ważniejsze niż świadomość, że oprawcy siedzą w więzieniu. Wszystkim rodzinom *desaparecidos* jesteśmy to winni.

© MARCIN RYCHŁY

Najstarszy premier świata

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z KUALA LUMPUR (MALEZJA)

Nieoczekiwanie dla samych siebie Malezyjczycy odwołali rządzącą od 60 lat koalicję, zastępując ją opozycją – z jej 92-letnim liderem. Trwa festiwal demokracji. Ale ludzie obiecują sobie więcej niż tylko chwilową fetę.

ZMIANĘ NAJBARDZIEJ WIDĄC W LUDZIACH. W kopitarniach (ulicznych kawiarniach), nad czarną kawą i tosta-ami z jajkiem, jak zwykle błyskają ekrany smartfonów i szeleszczą stronicy dzienników. Ale teraz już nie tylko ogląda się i czyta, również głośno i publicznie komentuje. Polityka, dotąd dyskutowana głównie w domach i rzadziej w mediach społecznościowych, z dnia na dzień przeniosła się na ulice. – Zupełnie jakby nagle wróciła wolność słowa, ludzie przestali się bać – mówi Neeraj, mieszkający w Kuala Lumpur marketingowiec dużej firmy.

Ludzie wymieniają się nie tylko satyrycznymi memami, ale także artykułami. I tajemnicami poliszynela, które długo trzymano tu na lepsze czasy. Na jaw wychodzą wątpliwe interesy byłego już premiera Najiba Razaka i jego rodziny, ekstrawaganckie zakupy jego żony. A także zeznania świadków tajemniczych morderstw, w które zamieszane są osoby powiązane z byłym szefem rządu. Media, dotąd ostrożnie podejmujące takie tematy, całkiem zmieniły ton. – To wszystko jest lepsze niż kablówka, Bollywood i koreańska telenowela razem wzięte – ekscytuje się Neeraj, który z wieczornych seansów filmowych przestawił się na programy informacyjne.

Rozliczanie rządzących to dla Malezyjczyków nowość. Bo tak ogromnej zmiany nie było w tutejszej polityce nigdy. Od 1957 r., czyli od uzyskania niepodległości od Wielkiej Brytanii, tym 30-milionowym dziś krajem rządziła ta sama koalicja: Barisan Nasional (Front Narodowy). Wydawało się, że porządzi jeszcze długo.

Tymczasem wybory wygrał niespodziewanie centrolewicowy Pakatan Harapan (Pakt Nadziei), na którego czele stanął 92-letni Mahathir Mohamed – dawny premier, kiedyś mentor Najiba Razaka. Zwycięski Mahathir został najstarszym na świecie wybranym w powszechnych wyborach przywódcą państwa. Paradoksalnie może to odświeżyć malezyjskie życie publiczne.

Kneblowana demokracja

Nowy rząd, zaprzysiężony w połowie maja, zaczął od konkretów: z więzienia wypuszczono ważnego lidera opozycji Anwara Ibrahima, premierowi Najibowi zakazano wyjazdu za granicę i zarządzono przeszukanie jego rodzinnych posesji. Policjanci zabezpieczyli tam biżuterię, wartość kilkaset tysięcy dolarów torebki byłej pierwszej damy i gotówkę. Błyskawicznie zniesiono niepopularny podatek od dóbr i usług.

Nowy-stary premier zapowiedział też, że będzie pilnował niskich cen paliw, ukróci korupcję i odchudzi administrację (o 17 tys. pracowników). Ma też na nowo otworzyć śledztwa w sprawie licznych afer, w które zamieszany jest jego poprzednik – np. przeświecić zawarte przez niego umowy inwestycyjne z Chinami. Za premierostwa Najiba, trwającego od 2009 r., Malezja bardzo zbliżyła się do Pekinu, który inwestuje w całym regionie, by zapewnić sobie dostęp do zagranicznych rynków zbytu i surowców. Coraz głośniej mówi się, że Malezja może przy okazji wpaść w chińską pułapkę kredytową, jak wcześniej przydarzyło się do Sri Lance.

Na liście priorytetów Paktu Nadziei nie znalazła się natomiast likwidacja

→ ustawy o fake newsach, wprowadzonej tuż przed wyborami, która poważnie ograniczała wolność słowa. Najib Razak natychmiast użył jej do gróźb pod adresem Mahathira.

W kraju, w którym formalnie działają wszystkie instytucje demokratyczne, ale media są ściśle kontrolowane, studentów dziennikarstwa od dawna uczono, by rządu na wszelki wypadek nie krytykować. W tegorocznym World Press Freedom Index – rankingu wolności prasy, opracowywanym przez organizację Reporterzy bez Granic – Malezję zajęła 145. miejsce (na 179 notowanych krajów). Dla porównania: Polska, po dużym spadku, znalazła się na 58. miejscu (jeszcze przed trzema laty była na 18. lokacie).

Większość informacji niewygodnych dla poprzedniego rządu rozchodziła się więc wśród Malezyjczyków przez media społecznościowe i komunikatory, jak WhatsApp i WeChat. Za ich pośrednictwem udostępniano informacje z nieprawomyślnych portali. Rząd cenzurował wprawdzie internet, ale ograniczenia łatwo można obejść przy pomocy serwerów VPN.

Jak będzie z tym teraz? Po przejęciu władzy Mahathir ani formalnie nie rozluźnił cenzury, ani nie zlikwidował ustawy, choć obiecał się jej dokładnie przyjrzeć.

Zresztą to nie polityczna wojna informacyjna jest priorytetem nowego rządu. Kraj ma wiele problemów, które wymagają szybkich recept.

Zmęczony Tygrys

Malezja jest jednym z najzamożniejszych krajów Azji, choć z zazdrością patrzy na znane z bogactwa sąsiednie państewka: Singapur i Brunei. Dawniej była zaliczana do tzw. tygrysów Azji – i to właśnie Mahathir Mohamed, premier przez ponad 20 lat, jest uważany za ojca gospodarczego cudu w dwóch ostatnich dekadach XX w.

Dziś gospodarka zwolniła, choć Kuala Lumpur pozostaje stale rosnącą świątynią handlu i konsumpcji, budowaną rękami robotników sprowadzanych z całej Azji Południowo-Wschodniej. Lotnisko, rosnąca sieć metra, drapacze chmur i ogromna liczba centrów handlowych (malezyjska stolica ma ich blisko sto) mogą robić wrażenie. Ale na zaniedbanej prowincji widać, jak nierówny to rozwój.

Skrajny przykład to miasto Kelantan – jakieś 400 km na północny wschód od stolicy, przy granicy z Tajlandią. To naj-



SADIQ ASYRAF / AP / EAST NEWS

Nowy premier Malezji, 92-letni Mahathir Mohamed. Kuala Lumpur, 11 maja 2018 r.

biedniejszy (pod względem dochodu w przeliczeniu na mieszkańca) i jeden z najbardziej konserwatywnych malezyjskich stanów. Miejskowi przechowują tradycyjną kulturę i jako jedni z nielicznych do zapisu języka malajskiego używają alfabetu arabskiego, a nie łacińskiego.

To tutaj stoją najstarsze w kraju, 300-letnie drewniane meczety, nie ma za to dobrych dróg ani pracy. Poza szczęśliwcami z rządowymi posadami stałe zajęcie mają tu głównie drobni przedsiębiorcy: sprzedawcy jedzenia, ubrań i rzemieślnicy. Drewniane kelantańskie wsie sprawiają wrażenie sennych i zapomnianych. Podobnie jak w całej Malezji, w ostatnich latach za sprawą nowego podatku od dóbr i usług oraz likwidacji dopłat do benzyny bardzo wzrosły tu koszty życia. Rośnie też bezrobocie wśród młodych. Jeśli Najib Razak miał szansę na głosy miejscowych, roztrwonił je. Kelantan znów głosował na islamistyczną partię PAS.

Poparcie Najib tracił zresztą w całym kraju już od lat. W 2013 r. władzę udało mu się utrzymać tylko dzięki manipulacjom przy okręgach wyborczych. Ostatecznie teraz wyborcy – niezależnie od ich pochodzenia etnicznego i religii – pokazali mu czerwoną kartkę, za obojętność na sprawy obywateli, skrajną korupcję i nepotyzm.

Globalna afera

Gwoździem do trumny rządu Najiba Razaka stała się wielka międzynarodowa afera korupcyjna, która wybuchła, gdy okazało się, że z rządowej spółki 1Malaysia Development Berhad (1MDB) „wyparowało” 4,5 mld dolarów. Utworzony przez nią fundusz rozwojowy miał stymulować gospodarkę i zapewnić Kuala Lumpur jeszcze szybszy rozwój.

Według dziennika „Wall Street Journal” 700 mln dolarów wylądowało na prywatnych kontach malezyjskiego premiera (późniejsze doniesienia mówiły o ponad miliardzie). Sprawa zahaczyła o Hollywood i film „Wilk z Wall Street” z Leonardem DiCaprio: okazało się, że firma, która go wyprodukowała, należała do pasierba Najiba i wykorzystywano ją do prania brudnych pieniędzy. DiCaprio musiał się od niej publicznie odciąć, a śledztwa w sprawie nielegalnych interesów premiera Malezji otwarto w USA, Szwajcarii, Hongkongu, Singapurze, Luksemburgu, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i na Seszelach.

Najib zaprzeczał wszystkim zarzutom i mówił, że pieniądze – owszem – dostał, ale nie z funduszu 1MDB, lecz jako bezinteresowny prezent od saudyjskiej rodziny królewskiej. Saudowie potwierdzili jego wersję po tym, jak większą część rzekomo

wcześniej przekazanej kwoty przełał na ich konto. Nowo mianowany przez Najibę prokurator generalny uznał sprawę za zamkniętą, ale w niewinność jego przełożonego już mało kto wierzył.

Emeryt Mahathir Mohamed opuścił główną partię koalicyjną UMNO właśnie po ujawnieniu skandalu 1MDB – jak powiedział: ze wstydu. Z emerytury wrócił kilka miesięcy temu, by poprowadzić do zwycięstwa opozycję.

Ojciec autokrata

Za swojego poprzedniego premierostwa Mahathir – ojciec malezyjskiego sukcesu – był jednak autokratą, krytykowanym za łamanie praw człowieka, knebłowanie mediów i bezlitosne tępienie przeciwników.

Jedną z jego ofiar był dawny sojusznik, Anwar Ibrahim. Gdy, założywszy własną partię, zaczął on krytykować politykę mentora, ten doprowadził do jego aresztowania pod zarzutem korupcji i uprawiania seksu z innym mężczyzną. Zarzuty powtórzyły się za rządów Najibę, w czym powszechnie widziano walkę z niebezpiecznym konkurentem. Tym razem jednak priorytetem było usunięcie Najibę z fotela premiera. Mahathir załatwił więc Anwarowi królewskie ułaskawienie i zapowiedział, że za dwa lata przekaze mu władzę.

Dr Mohamed Nawab, politolog z singapurskiego Nanyang Technological University, uważa, że tym razem 92-letni Mahathir nie pokaże swojej autokratycznej strony. – Stoi na czele szerokiej koalicji i każdy krok będzie musiał konsultować z sojusznikami – mówi Nawab. Najważniejszymi wśród nich są miejscowi Chińczycy z Democratic Action Party, co może doprowadzić do pewnych zmian w relacjach między malezyjskimi grupami etnicznymi.

Krucha równowaga

Malezyjskie społeczeństwo jest bowiem wieloetniczne: przeważają muzułmańscy Malajowie (ok. 65 proc. ludności), ale są też mieszkający tu od 300 lat Chińczycy i Indusi, rdzenna ludność i imigranci z sąsiednich krajów (ok. 10 proc. ludności to chrześcijanie, a ok. 6 proc. – hinduiści).

Dawniej to malezyjscy Chińczycy kontrolowali gospodarkę i do dziś to oni najlepiej radzą sobie w biznesie. Po uzyskaniu niepodległości Malajowie obawiali się, że – będąc większością – zostaną zepchnięci do roli obywateli drugiej kategorii, poparli więc masowo ideologię malajskiej domi-

nacji. W 1969 r. wybuchły krwawe anty-chińskie zamieszki, w których zginęło co najmniej kilkaset osób.

Aby zapobiec kolejnym takim wybuchom, rząd wprowadził system *bumiputra* (w sanskrycie: syn ziemi). Dał Malajom pierwszeństwo w zatrudnieniu na rządowych posadach i w państwowych spółkach oraz łatwiejszy dostęp na wyższe uczelnie. Choć system otwarcie dyskryminuje mniejszości, to od dziesięcioleci utrzymuje kruchą harmonię między społecznościami.

– Od dobrej dekady Chińczycy starają się o większe polityczne wpływy, ale Malajowie z prowincji bardzo się tego obawiają – tłumaczy dr Nawab. – Nowy rząd z jednej strony musi zapewnić Chińczykom reprezentację, ale z drugiej nie może przesadnie chronić ich interesów, bo to zaszkodziłoby mu w kolejnych wyborach. Większość elektoratu to w końcu Malajowie i to w tej grupie przyrost naturalny jest najwyższy, dlatego polityka *bumiputra* może być co najwyżej kosmetycznie modyfikowana.

Rzeczywiście, Mahathir zapewnił muzułmańską większość, że jej przywileje i specjalne traktowanie islamu zostaną zachowane.

Dalej od Chin

Zmiany akcentów można się spodziewać w polityce zagranicznej. – Malezja tradycyjnie utrzymywała dobre stosunki zarówno z Chinami, jak też z USA, oraz równy dystans wobec obojga. Mahathir wróci do tej tradycji i będzie się chciał upewnić, że interesy kraju nie zostaną naruszone przez umowy z Chinami czy Singapurem – mówi politolog Nawab.

Malezja to ważny element w geopolitycznej układance Azji. Leży nad strategicznie kluczową cieśniną Malakka, łączącą Morze Południowochińskie z Oceanem Indyjskim i Pacyfikiem. Rocznie przepływa tędy 100 tys. statków. Przez cieśninę do Chin płynie ropa z Zatoki Perskiej, a na zachód chińskie produkty. Cieśnina jest ważna także dla Indonezji, Tajwanu, Korei Południowej i Japonii. W sumie od tego przejścia morskiego zależna jest czwarta część światowego handlu morskiego.

Z myślą o projekcie Morskiego Szlaku Jedwabnego Chińczycy rozbudowują i budują w Malezji porty i kolej (powstająca linia ma w 2024 r. połączyć cieśninę Malakka ze wschodnimi stanami Terranganu i Kelantan i dalej z Tajlandią), wzno-

szą apartamentowce i fabryki. Ale teraz, po ostatnich wyborach, w dobrym guście leży publiczne wyrażanie sceptycyzmu w sprawie chińskich inwestycji i zaniepokojenia przekazywaniem pod nie malezyjskiej ziemi.

Wzmocnieni obywatele

Tu wątpliwości nie ma: głównymi zwycięzcami majowych wyborów są demokracja i obywatele. Dotąd wydawało się, że przegrywają na wszystkich frontach. Przekonanie o wszechmocy rządu było powszechne, a organizowane w 2013 r. bezskuteczne protesty przeciw manipulacjom wyborczym jeszcze wzmocniły poczucie bezsilności.

Tymczasem polityka rządu coraz bardziej odbiegała nie tylko od potrzeb gospodarczych, ale też od stylu życia większości ludzi, zwłaszcza młodego pokolenia. W 2017 r. państwowe media otrzymały zakaz – dla młodych niezrozumiały – rozpowszechniania portorykańskiego tanecznego przeboju „Despacito”, którego tekst był jakoby sprzeczny z islamskimi wartościami. Efekt? W ramach protestu utwor masowo grano w barach w całym kraju.

Organizacje pozarządowe, które teraz wzywały do uczciwych wyborów, wspierane były przez świeżą krew: młodych profesjonalistów, którzy zgrzytali zębami na nierówny dostęp do rządowych posad, nawet dla Malajów.

Hanifi, 29-letni projektant wnętrz i konserwator zabytków, przez kilka lat nie mógł znaleźć pracy. Sił próbował w ministerstwach, w galeriach i muzeach. Jak tłumaczy, zajęcie znajdowali tam tylko ludzie związani z politycznym układem. Dziś ma nadzieję, że państwo wreszcie zacznie działać uczciwie.

Mohamed Nawab prognozuje: – Pierwsza zmiana rządzącej koalicji w postkolonialnej historii Malezji uświadomiła ludziom ich siłę. Czują się wolni i będą teraz bardziej skłonni do wytykania błędów władzom. A organizacje pozarządowe zaczęły odgrywać jeszcze większą rolę.

Tegoroczny Ramadan, muzułmański miesiąc postu, jest dla Malezyjczyków czasem oczekiwania. Ludzie oczekują od nowego premiera, który wkrótce będzie obchodzić 93. urodziny, głębokich zmian, zwłaszcza gospodarczych.

A także tego, aby tym razem pamiętał, iż w demokracji z prawdziwego zdarzenia szef rządu, nawet potężny, może mniej niż autokrata. © TOMASZ AUGUSTYNIAK

Wenezuelska sztuka przetrwania

DOMINIKA MATEJKO Z CARACAS I LA GUAIRA

Głód i poczucie zagrożenia to codzienność mieszkańców Wenezueli. Jak się żyje w kraju, który socjalistyczny reżim doprowadził do ruiny?

KARAIBSKIE SŁOŃCE WŁAŚNIE ZASZŁO ZA horyzont.

Siedzimy w salonie z widokiem na morze. Sąsiadka moich gospodarzy, Mónica, przyszła w odwiedziny, licząc na filiżankę kawy. Dziwi się, gdy słyszy, że jestem z Polski: – Nikt nie przylatuje do Wenezueli z własnej woli – komentuje. – Przynajmniej nikt normalny.

Zatroskana o moje władze umysłowe, dopija ostatni łyk.

Jest spokojnie. Przez ostatnie godziny Wenezuela zachowywała pozory normalności. Znajomi z właściwym sobie poczuciem humoru mówią, że dopilnują, aby Wenezuela w Polsce nadal kojarzyła się głównie z wyborami miss piękności.

Nagle gaśnie światło. Śmiech milknie, słychać trzask porcelanowej filiżanki o podłogę. – No to teraz poznasz prawdziwą Wenezuelę – mówi María José, a brzmi to jak złowrogie proroctwo.

Nie rozumiem, dlaczego tak stresują się brakiem prądu. Tłumaczą, że światła może nie być nawet przez kilkadziesiąt godzin. Brak prądu oznacza brak wody. No i większość kuchenek jest elektryczna. A w zamrażalniku zaczną się rozmrażać zapasy jedzenia. Zapasy przygotowane na ostateczny kryzys.

Ktoś zbliża się z latarką, łapie mnie za rękę: – Chodź. Pokażę ci coś. Takiej ciemności jeszcze nigdy nie widziałas.

Wychodzimy na balkon. Miejscowość pogrążona jest w mroku. – Prawdopodobnie w całej Wenezueli jedynym miastem ze światłem jest teraz Caracas.

I tak mamy szczęście. Tu, w La Guaira, blisko stolicy, takie sytuacje zdarzają się rzadko. Za to np. w San Cristóbal, mieście położonym blisko granicy z Kolumbią, braki prądu są tak częste, że mieszkańcy

gotują już tylko na węgiel, a do wiader zbierają deszczówkę.

Po 24 godzinach bez prądu oficjalny komunikat obwieści, że awarię spowodowały jaszczurki, które przegryzły kable. Niektórzy w to wierzą.

Bonus za zachowanie

Mieszkańcy głodują. Rząd próbuje przewidywalnie zaradzić sytuacji, ale każda z takich prób kończy się jeszcze większą katastrofą.

1 maja, w związku z Dniem Pracy, ogłoszono podwyżkę płacy minimalnej. Naród powinien się cieszyć. Jednak reakcja ludzi jest przeciwna: w ostatnim dniu kwietnia ludzie masowo robią zakupy. Kupują wszystko i cokolwiek. Podwyżka płac jest bowiem równoznaczna ze wzrostem cen. Siła nabywcza pozostaje więc taka sama. Ceny będą rosły do czasu, aż rząd je zamrozi.

Taki scenariusz powtarza się co parę miesięcy. – Jeszcze cztery godziny temu na kilo mięsa osoba na moim stanowisku pracowała miesiąc – mówi Johan Mujica, profesor na jednym z największych uniwersytetów. – Za tydzień wyjeżdżam z kraju. Mam córkę. Z czego ją mam nakarmić? – dodaje drżącym głosem i widzę, jak ten potężny, mierzący prawie dwa metry mężczyzna jest bliski płaczu.

Minimalna pensja, nawet po podwyżce, nie starcza na kupienie kilograma sera. Przy odrobinie szczęścia można za to zdobyć paczkę płatków owsianych.

Jednak i na to rząd znalazł sposób. Obywatele mają szansę zdobycia bonusów: drobnych sum pieniędzy, które są naliczane na tzw. Carnet de la Patria (Karcie Ojczyzny). Zdobywanie bonusów przypomina kartę stałego klienta w supermarkecie i grę miejską w jednym. Wymaga ono

konsekwentnego udziału w życiu społeczno-politycznym, tj. przemieszczania się z jednej manifestacji rządowej na drugą. Za marsz w pochodzie pierwszomajowym – bonus. Za udział w wiecu starego-nowego prezydenta Maduro – bonus. Z okazji karnawału – bonus. Za zajęcie w ciążę – bonus w postaci 600 tys. (czyli ok. 1,50 złotego). Obywatelska postawa popłaca.

Radzenie sobie

W odpowiedzi na masowy głód rząd umożliwił obywatelom zakup tanich paczek z żywnością, tzw. CLAP. Zwykle taka paczka zawiera podstawowe produkty, jak mąka, cukier, olej, ryż czy fasola. Czasem znajdzie się też papier toaletowy lub mydło.

Produkty te pochodzą z pomocy humanitarnej, głównie z Meksyku i Brazylii. Owa pomoc jest szansą zarobku nie tylko dla rządu Wenezueli, ale też dla bardziej „przedsiębiorczych” obywateli. Niektórzy kupują kilka paczek CLAP, a potem sprzedają je na czarnym rynku z kilkukrotnym zyskiem.

Ale czy można ich potępiać? Sztuka „radzenia sobie” i „kombinatorstwo” są tu jedyną szansą na przetrwanie. Czarny rynek i tak kwitnie – nie tylko dzięki pomocy humanitarnej CLAP.

W Wenezueli sprzedać można wszystko. Łącznie z gotówką. Jeszcze rok temu, w związku z nadzwyczajnie wysoką inflacją, Wenezuelczycy wazyli pieniądze. Dziś gotówka jest na wagę złota. Rząd z uporem dodrukowywał banknoty, czym tylko dokarmił hiperinflację. W efekcie waluta (bolívar fuerte) straciła tak na wartości, że dziś handel gotówką nie ma sensu. Praktycznie wszystkie transakcje odbywają się za pomocą kart płatniczych.

Tymczasem, jak słyszymy, cała gotówka znalazła się na granicy z Kolumbią, gdzie służy przemysłowi narkotykowemu. Również przemysł ropy wymaga gotówki – nawet zdewaluowanej. W granicznym mieście Cúcuta sklepy, w których sprzedaje się gotówkę, cieszą się ogromnym powodzeniem.

Podczas gdy czarny rynek obraca tonami boliwarów, mieszkańcy Caracas walczą nawet o najmniejsze banknoty. Sporo ich to kosztuje. Za sto tysięcy boliwarów w gotówce płacą dwieście tysięcy przelewem. Z bankomatu można wyciągnąć dziennie tylko dwadzieścia tysięcy.

Jeżeli dodać do tego możliwość wypłaty trzydziestu tysięcy w kasie bankowej, łącz-



ALVARO FUENTE / NURPHOTO / SIPA / EAST NEWS

Kolejka przed bankomatem w Caracas. Jednego dnia Wenezuelczyk może wypłacić w bankomacie 20 tys. boliwarów – obecnie jest to równowartość kilku amerykańskich centów.

nie dziennie można zdobyć około pięćdziesięciu tysięcy. To równowartość 0,042 dolara amerykańskiego. Aby uzyskać taką sumę, Wenezuelczycy stoją w kolejce do banku nawet po kilka godzin. Ale nie mają wyjścia. Np. za bilety autobusowe można płacić tylko gotówką.

Deszcz banknotów

Jedziemy z Caracas do La Guaira. Wyrpedza nas autobus miejski. Kierowca przyspiesza, otwiera okno i wyrzuca banknoty. Na oko wartości setek tysięcy boliwarów. Na naszej przedniej szybie lądują banknoty o wartości stu boliwarów. Włączamy wycieraczki.

Ze względu na problem z gotówką Wenezuelczycy płacą tym najniższym banknotem, który oficjalnie już nie istnieje. Rząd próbował bowiem zaradzić inflacji m.in. przez wycofanie banknotu wartości stu boliwarów. Posłuszni obywatele stali w kilometrowych kolejkach, żeby oddać je do banku.

Nic z tego. Problematyczne sto boliwarów nadal krąży po kraju. Jeden przejazd autobusem kosztuje od pięciu do siedmiu tysięcy boliwarów. Nie mając innego wyjścia, ludzie wręczają kierowcom siedemdziesiąt banknotów – każdy o wartości stu boliwarów. Absurd sytuacji, desperacja i bezsilność sprawiają, że kierowcy wolą pozbyć się dodatkowego obciążenia i wyrzucić banknoty.

Niektórzy przyjęli inną taktykę i wprowadzili handel wymienny. Mercedes, która w ubiegłym tygodniu wracała z Maracaibo do stolicy, opowiada, że nie

miała gotówki na bilet. Kierowca poprosił, by kupiła mu śniadanie, płacąc kartą. Chleb i kawa kosztowały tyle, co trzy przejazdy.

Prezydent Maduro i na problemy z transportem znalazł sposób. Zapewnił obywatelom darmowe przejazdy dodatkowymi autobusami. Choć słowo „autobus” jest tu eufemizmem. To raczej rodzaj pojazdu, który w innej rzeczywistości służyłby najwyżej do transportu zwierząt. Wenezuelczycy najpierw stoją po parę godzin w kolejce, by wsiąść do „autobusu”. Następnie walczą, żeby z niego nie wypaść.

Kobiety z dziećmi mogą liczyć ewentualnie na wmmiejsce z tyłu. W tej części pojazdu szczeliny między deskami są większe, co umożliwia w miarę swobodne oddychanie.

Przejazd metrem też jest darmowy. Kolejny przejaw polityki państwa opiekuńczego? Nie. Wydrukowanie jednego biletu kosztowałoby więcej niż wartość przejazdu.

Głód czyni złodzieja

Kryzys sprawił, że Wenezuela jest dziś jednym z najniebezpieczniejszych państw świata. Kradnie się tu wszystko i wszędzie.

Przejazd metrem jest jedną z lepszych okazji do kradzieży. Złodzieje jadą za darmo, a wychodzą z zyskiem. Znajomi ostrzegali, że w metrze mogą pożegnać się z telefonem. Zaryzykowałam. Bo jak wielu twierdzi – obecnie metro jest jakby skoncentrowanym odzwierciedleniem sytuacji w kraju.

Ale telefon zostawiam w samochodzie. Torebkę też. Kilka dolarów, które zawsze noszę (aby w razie czego mieć co oddać bandytom), włożyłam do sportowego paska i wsunęłam pod spodnie.

Spuszczam głowę, żeby nikt nie zauważył moich jasnych oczu. Obok mnie stoją Wenezuelczycy i widać po nich, chyba jeszcze bardziej niż po mnie, że nie są z Caracas. Torby swobodnie wiszą im na ramionach. Towarzyszą mi Mercedes mówi im wprost, że wyglądają na łatwy łup. Dodaje, że jakby była złodziejką, już by nic nie mieli. Zdezorientowani mężczyźni wysiadają na najbliższej stacji.

Praktycznie nie ma miejsca, w którym można czuć się całkowicie bezpiecznie. Jazda autem, nikt nie zatrzymuje się na czerwonym świetle. Lepiej łamać przepisy niż narażać się na to, że zostanie się obrobionym w oczekiwaniu na zielone.

Napaści z bronią, a nawet zabójstwa dokonywane są często przez motocyklistów. W efekcie chyba każdy cierpi już na „syndrom motocykla”. Motocykliści wykorzystują uchylone okna samochodów i chwilę nieuwagi pasażerów, by dokonać napaści.

W czasie jazdy samochodem dostaję więc instrukcje: „Wjeżdżamy na autostradę. Na tym odcinku możesz uchylić okno”. Albo: „Szyby do góry! Za nami motocykl”.

Gdy słyszymy charakterystyczny silnik, automatycznie się kulimy, jak gdyby to miało nas uchronić przed niebezpieczeństwem.

W imię władzy

Głód i ciągłe poczucie zagrożenia to dzisiaj codzienność Wenezuelczyków. Nic nie wskazuje, żeby ta sytuacja miała się zmienić.

Socjalistyczny prezydent Nicolás Maduro, spadkobierca Hugo Cháveza, właśnie wygrał kolejne wybory. Choć słowa „wygrał” i „wybory” to znów eufemizmy: ani nie były to wybory, ani Maduro ich nie wygrał. Był to wyreżyserowany plebiscyt, w którym wynik ustalono z góry.

Naprawa gospodarki nie wydaje się być w centrum zainteresowania głowy państwa. Łatwiej zastraszyć naród pogrążony w głodzie. Łatwiej też go zadowolić małym bonem lub workiem ryżu.

Ważne, aby reżim siętrzymał. W imię Cháveza, w imię socjalizmu, w imię rewolucji. A także w imię przemytu.

Bo tu chodzi tylko o władzę.

©

Poniżenie od urodzenia

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA
Z BEJRUTU

Ich przodkowie musieli opuścić domy 70 lat temu, tymczasem oni nadal mają status uchodźców. Młodzi Palestyńczycy nie widzą dla siebie przyszłości w Libanie. Ale dokąd mieliby pójść?



Demonstracja palestyńskiej młodzieży przy ruinach średniowiecznego zamku Beaufort w południowym Libanie, niedaleko granicy z Izraelem. 15 maja 2018 r.

WĄSKIE ULICZKI ŚCIŚNIĘTE NA KILOMETRZE kwadratowym spowija chłodny półcień, który pozwala odetchnąć od majowego skwaru. Poza główną ulicą pełną straganów i ludzi ułożenie alejek zaskakuje przypadkowością. Setki niechlujnie połączonych kabli, zwisających nad głowami przechodniów, sprawiają wrażenie brutalnej tymczasowości.

Choć o tymczasowość tu ciężko. Szatila, obóz dla palestyńskich uchodźców w południowym Bejrucie, od 70 lat jest domem dla chwilowych uciekinierów, którzy nigdy nie wrócili do swych domów.

Zanim dotrę na umówione miejsce, zgubię się jeszcze dwukrotnie. Choć starałam się zapamiętać ułożenie flag rywalizujących palestyńskich frakcji, murali i zdjęć Jasira Arafata – wieloletniego przywódcy Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP), zmarłego w 2004 r. – i choć spoglądałam na Google Maps, przychodzę spóźniona.

Bajan czeka na boisku. Ubrana na sportowo, długie czarne włosy upięta w kucyk. Choć jest wierzącą muzułmanką, chusty nie nosi. Jak mówi, nie chce rezygnować z wolności. Idąc w stronę domu, podbiega do grających w piłkę nożną chłopców, sprytnie ją przejmując i strzelając gola. Wie, że jest w tym dobra, i lubi się popisować.

Bajan ma 15 lat, śliczną buzię dziewczynki u progu kobiecości i liczne talenty. Należy do kółka teatralnego i tańczy dabke, palestyński taniec narodowy.

Pisze też wiersze, głównie o Palestynie. Jej matka twierdzi, że ludzie przy nich płaczą. Poza tym świetnie mówi po angielsku i ma najlepsze stopnie w klasie. No i jako jedyna dziewczynka w Szatili należy do drużyny piłkarskiej.

Gdy pytam ją o marzenia, mówi, że chciałaby poznać Cristiana Ronaldo. I grać w młodzieżowej lidze Realu Madryt. Dlaczego nie? W końcu marzenia nie mają granic... Albo to: chciałaby zatańczyć dabke na dużym placu we Francji lub Hiszpanii. Tak, żeby tłumy biły brawo. Bajan uwielbia być w centrum uwagi.

Ale największe jej marzenie to wyjechać z Libanu. Dołączyć do ojca, który w 2015 r. wraz z syryjskimi uchodźcami przedostał się do Niemiec. Bo w Libanie palestyńska młodzież nie ma przyszłości.

Więcej niż jedna katastrofa

Exodus rdzennej ludności z terytoriów, na których w 1948 r. powstało państwo Izrael, Palestyńczycy określają mianem Nakby – Katastrofy. W wyniku walk w czasie wojny izraelsko-arabskiej 700 tys. Palestyńczyków zostało wypędzonych lub uciekło z domów, znajdując schronienie m.in. w Libanie.

Od tamtej pory w Libanie powstało 12 obozów dla uchodźców z Palestyny. Szatila jest jednym z nich. Założona w 1949 r., miała udzielić tymczasowego schronienia 3 tys. ludzi. Ale tymczasowo-

wość się przedłużała. Prowizoryczne namioty zaczęły gnić pod wpływem wilgoci, a ich miejsce zajęły metalowe konstrukcje, które potem zalano cementem. Dzisiejsze zabudowania obozu – liczącego 22 tys. mieszkańców – powstały na bazie tych pierwszych namiotów. A wraz z liczbą ludności rosły kolejne piętra.

Dyrektor Centrum Dzieci i Młodzieży w Szatili – przedstawiający się jako Abu Mudżahed i rówieśnik Nakby – mówi, że życiem obozu rządzi przypadkowość. Prąd, wodę, sieć kanalizacyjną – wszystko doprowadzano doraźnie, w sposób nieprzemysłany, licząc na czasowość rozwiązań.

Na zwłokę grały też kolejne libańskie rządy, które przez lata nie zajęły się prawnym uregulowaniem palestyńskiej obecności w kraju. Ich sprawy pozostawiono w gestii powołanej w 1949 r. Agendy Narodów Zjednoczonych dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (UNRWA). To ona do dziś zapewnia Palestyńczykom dostęp do edukacji i opieki zdrowotnej. O resztę dbają organizacje pomocowe.

36 zawodów mniej

Jezid Sajigh z Carnegie Endowment for International Peace uważa, że brak rozwiązania problemu palestyńskich uchodźców w Libanie miał przyczyny polityczne. – Historycznie to głównie liderzy chrześcijańskich maronitów obawiali się nadania pa-

lestyńskim uchodźcom praw obywatelskich i społeczno-ekonomicznych. Bali się, że to doprowadzi do ich integracji i w konsekwencji do uzyskania przez nich obywatelstwa, co spowodowałoby zwiększenie liczby muzułmanów w kraju – tłumaczy Sajigh. Taka zmiana proporcji miałaby skutki wyborcze.

Udział Palestyńczyków w libańskiej wojnie domowej i ataki przeprowadzane przez Organizację Wyzwolenia Palestyny na Izrael z baz na terytorium Libanu nie pomogły w integracji.

Dziś o ich sytuacji nie mówi nikt. Nawet współczujący im, antyizraelski Hezbollah nie kwapi się, by walczyć o ich prawa. A palestyńskie obozy pozostają poza kontrolą państwa.

I tak: Palestyńczycy nie mają dostępu do publicznej opieki zdrowotnej, prawa do posiadania nieruchomości, emerytury czy świadczeń socjalnych – nawet jeśli płacą podatki. Mają też zakaz wykonywania 36 wysoko kwalifikowanych zawodów. Oznacza to, że większość z nich, nawet jeśli zdobyła wyższe wykształcenie, musi zadowolić się pracą np. na budowie czy w restauracji.

Część dziewcząt wyjdzie za mąż za Libańczyków, którzy przekażą im obywatelstwo, a tym samym podstawowe prawa (mężczyźni są pozbawieni tej możliwości, bo Libanki obywatelstwa nie przenoszą). Ci, którzy zdołają coś oszczędzić, otworzą stragany lub salony fryzjerskie w obozach. Oczywiście nielegalnie.

Wyjechać, dokądkolwiek

Sewin Slejman ma 24 lata. Po ukończeniu studiów magisterskich w dziedzinie biznesu szukała pracy przez dwa lata. Dziś pracuje w palestyńskiej organizacji oferującej kursy zawodowe dla młodzieży. Choć lubi swoją pracę, nie odpowiada jej kwalifikacjom.

– Chciałabym mieć takie prawa jak inni. Urodziłam się w Libanie, a do Palestyny nie mogę nawet pojechać – tłumaczy z goryczą. – Nie chcę być palestyńskim uchodźcą, który czeka na zapomogę. Płacę podatki, wypełniam swoje obowiązki, a nie dostaję w zamian nic.

Sewin mówi, że wielu libańskich pracodawców traktuje Palestyńczyków z góry, oferuje niższe wynagrodzenie, a ci nie mają jak dochodzić swoich racji, bo nie posiadają praw.

Co więcej, napływ przeszło miliona syryjskich uchodźców do Libanu w ostat-

nich latach jeszcze pogorszył sytuację na rynku pracy. – Marzę, aby stąd wyjechać. Dokądkolwiek. Tu nie ma nadziei – tłumaczy dziewczyna. O zagraniczną wizę dla Palestyńczyków nie jest jednak łatwo.

O wyjeździe marzy też 18-letni Ibrahim Kaged, który z braku funduszy musiał przerwać studia na inżynierii. – Każdy Palestyńczyk ma problemy finansowe. Żyjemy w ciągłym stresie – tłumaczy. – Ciągle zastanawiam się, czy uda mi się coś osiągnąć, rozwinąć się tak, jak bym chciał. Niczego nigdy nie mogę być do końca pewien.

O planach na przyszłość czy zakładaniu rodziny nie ma nawet co marzyć.

Podwójne wykluczenie

Ciasne uliczki Szatili pełne są grupiek młodych mężczyzn, leniwie podpierających mury. Jedni popalają fajkę wodną, wymieniając niezobowiązujące uwagi. Inni obśiedli obozową kawiarnię i grają w karty. Męskie salony fryzjerskie, które można napotkać na każdym kroku, nie narzekają na brak zajęcia.

Obozy nie oferują dużo rozrywek, ale dla wielu młodych Palestyńczyków są jedynym miejscem, w którym czują się u siebie. Poza tym jednym kilometrem kwadratowym świat wydaje się wrogi i nieprzystępny. Zamiast narażać się na poniżenie ze strony libańskiej armii, policji czy nieuczciwych pracodawców, młodzież często wybiera własną obozową nudę.

Choć i tu nie brak problemów. Wedle badań prowadzonych przez Norwegian People's Aid (NPA) w 2016 i 2017 r. młodzież postrzega swoje otoczenie jako pełne przemocy i wrogie, nie czuje się rozumiana i wspierana ani przez rodziny, ani politycznych liderów, ani organizacje pomocowe. Te ostatnie przez lata wyciągnęły fortunę z grantów na programy dla młodzieży, które nie przyniosły żadnych efektów.

Bezrobocie, bieda, brak perspektyw i uczucie podwójnego wykluczenia sprawiają, że młodzież szuka ucieczki. Wedle NPA – głównie w emigracji, używkach i przemocy.

A tej nie brakuje. Obozy, których Liban nie kontroluje, stały się areną rozgrywek różnych militarnych frakcji, chętnie zagospodarowujących znudzoną młodzież. W obozach każdy ma w domu broń. Są tu islamisci i bojówki lewicowe, grupy pa-

lestyńskie i libańskie oraz wszelkiego rodzaju zbiegowie, ukrywający się przed wymiarem sprawiedliwości.

Mali chłopcy strzelają do siebie z zabawkowych karabinów. Większy podbudowują zachwiane poczucie własnej wartości (jak też rodzinny budżet), paradując dumnie z prawdziwymi. Czasem ktoś zginie od kuli wystrzelonej z nudów.

Tykająca bomba

Kilka dni temu, 15 maja – w 70. rocznicę Nakby – tysiące głównie młodych Palestyńczyków ruszyło na południe Libanu, ku granicy z Izraelem. Demonstracja zorganizowana na wzgórzu przy ruinach średniowiecznego zamku Beaufort miała symboliczne znaczenie. Ze wzgórza widać Palestynę, a w czasie libańskiej wojny domowej OWP okupowała zamek.

Demonstracja przebiegła spokojnie. Ale to pozory. Z głośników dochodziły hasła wzywające do dalszej walki. „Spalimy wasze serca tak, jak wy zniszczyliście nasze” – grzmiał szejk Ali Jusef. Dzień wcześniej w Strefie Gazy izraelskie siły zabiły 65 ludzi, a USA otworzyły ambasadę w Jerozolimie, którą Palestyńczycy uznają za swoją stolicę.

– Nasza młodzież jest pasywna i wykluczona. Po takich ludziach można spodziewać się wszystkiego – mówi Manal Kortam, palestyńska aktywistka i organizatorka kampanii „Istniejemy”, walczącej o prawa obywatelskie Palestyńczyków. – Są jak odrętwiali. Ale nie można liczyć, że tak będzie zawsze. Są tykającą bombą.

Za to odrętwienie Kortam wini nie tylko libański rząd, ale też palestyńskich liderów. – Uważam, że to oni zniszczyli ruch młodzieżowy przez wychowanie w hierarchii i wierze o rychłym powrocie do Palestyny. Podcięli młodym skrzydła i nie dali przestrzeni do rozwoju.

Ale wydarzenia ostatnich tygodni mogą zachwiać pasywnością młodych. W tym roku prezydent Trump zdecydował, że USA zmniejszają swój wkład do budżetu UNRWA o 83 proc. Może to doprowadzić do zamknięcia szkół i klinik w obozach takich jak Szatila już latem.

– Nie jest łatwo żyć w poniżeniu od urodzenia. To uczucie narasta każdego dnia – mówi Abu Mudzahed z Centrum Dzieci i Młodzieży w Szatili.

– Byłem zły, gdy widziałem naszą młodzież beczynnynie siedzącą na ulicach i akceptującą tę swoją beczynność – dodaje. – Teraz widzę, że coś się w nich budzi. ©



AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA



UMIERAĆ ZA TYFLIS

Sto lat temu Gruzini ogłosili niepodległość.
Dla Lenina było to jak wyzwanie: rządzona przez demokratyczną lewicę
Gruzja była atrakcyjną alternatywą dla bolszewizmu.

ZBIGNIEW ROKITA

WJEDNYM ZE SWOICH OPOWIADAŃ Ksawery Pruszyński opisuje spotkanie – w 1945 r., w Paryżu – polskiego dziennikarza z gruzińskim przywódcą emigracyjnym. Gruzin mówi Polakowi: „Nigdy już więcej na tych tu liczyć nie można. Dla mnie, wychowanego w ich kulcie, będzie to ciężka decyzja, dla młodszych tam – może nie. Ale drugi raz nigdy już nie będzie możliwe, aby ci, co zostali zawiedzeni tak straszliwie, zawierzili tak pełnie. Pan wzruszy ramionami i powie:

co wielkiemu Zachodowi po biednej małej Gruzji? (...) Nas mogą jeszcze kiedyś potrzebować, ale nas wtedy nie będą mieli”.

W 1945 r. rozważania gruzińskiego emigranta i jego żal do Zachodu miały już tylko wymiar teoretyczny: od ćwierćwiecza Gruzja była pod panowaniem sowieckim. Tymczasem zmarły niedawno historyk Richard Pipes twierdził, że po rozpadzie carskiej Rosji ten kraj miał szansę zachować niepodległość. Dlaczego Gruzinom to się nie udało?

Turcja idzie na Kaukaz

Pierwsze miesiące po rewolucji lutowej w 1917 r. – oznaczającej upadek trzystuletnich rządów Romanowów upływają spokojnie w Tyflisie (tak do 1936 r. nazywało się obecne Tbilisi). Choć później, u kresu ZSRR, Gruzini będą w awangardzie ruchów rozsadzających imperium, to wtedy główni gruzińscy politycy nie rwą się do państwowości. Przyszłość widzą wciąż w ramach Rosji: tej, która na początku XIX w. podbiła dwa gruzińskie królestwa.



Zgromadzenie założycielskie niepodległej Gruzji. Tyflis (tak nazywało się wówczas obecne Tbilisi), rok 1918.

Dużo o ówczesnej mentalności mówi pierwszy członek nazwy nowego tworu: Zakaukaska. Czemu Ormianie, Azerowie i Gruzini sami siebie tak umniejszili? Wszak region ten leży za Kaukazem tylko z perspektywy Rosji. To tak, jakby Niemcy nazwali Polskę „Zaodrzem”, a potem Polska sama siebie tak nazwała. Z punktu widzenia Gruzinów oni są Przedkaukaziem, a na Zakaukaziu jest Moskwa... (niezręczna nazwa używana jest zresztą także i dziś).

Premierem i ministrem spraw zagranicznych ZDRF zostaje Gruzin, wicepremierami Ormianin i Azer. Tyflis przystępuje do rozmów z Turcją. Ale interesy trzech narodów okazują się rozbieżne. Główna partia Azerów przysyła na rokowania własne delegacje. Richard Pipes pisze: „Utrzymywały one ścisłą łączność z delegacją północnokaukaskich działaczy narodowych i wydawały się znacznie bardziej zainteresowane zapewnieniem sobie pomocy Porty [tj. Turcji] w utworzeniu państwa azerbejdżańsko-północnokaukaskiego niż odparciem tureckiego ataku. Pertraktacje między Turkami a delegacją azerbejdżańską i północnokaukaską kazały przypuszczać, że trwają uzgodnienia w sprawie stworzenia państwa pantureckiego”.

Gdyby Turcy pokonali wtedy słabych Gruzinów i Ormian, mogliby połączyć się z Azerami (bliskimi im etnicznie i religijnie), a następnie z ludami turkijskimi w Azji Centralnej (Kazachami, Kirgizami, Uzbekami) czy nawet z Baszkirami i Tatarami w Rosji – i stworzyć panturkijskie imperium.

Trzy niepodległości

Inna jest więc optyka Azerów, a inna Ormian i Gruzinów, którzy w Turkach widzą śmiertelne zagrożenie. W efekcie – jak pisze historyk Wojciech Materski – „politycy gruzińscy, ormiańscy i azerscy odnosili się do siebie nieufnie. Zbyt wiele dzieliło te narody w przeszłości, by wymuszone połączenie w jednym państwie wpłynęło na zatarcie tych resentymenatów. Każdy pilnował każdego, czuwając nad sprawami bliskimi przede wszystkim jego nacji”.

ZDRF jako państwo nie funkcjonuje. Nie zostaje też uznane międzynarodowo →

W Gruzji jest wtedy dość spokojnie, bo armia rosyjska – walcząca z Turkami na biegnącym nieopodal froncie południowym I wojny światowej – nie rozpada się. Nie notuje się tu takiego maruderstwa i grabieży, jest w innych częściach Rosji.

Sytuacja zmienia się, gdy jesienią w Piotrogradzie upada rząd republikański i władzę przejmują bolszewicy. Ogłaszają, że podzielą ziemię między proletariuszy, a chłopcy „proletariusze” – nie chcąc przegapić podziału – opuszczają masowo szeregi armii i ciągną na ojcowizny. Zapanowuje chaos, który dla Gruzinów oznacza, że nie ma kto bronić ich przed Turkami. Bolszewicy podpisują z państwami centralnymi – w tym z Turcją – zawieszenie broni. Dla Turków droga na wschód staje otworem, Kaukaz jest bezbronny.

I rzeczywiście: Turcy szybko odzyskują tereny, które wcześniej utracili na rzecz Rosji, i zbliżają się do przedwojennej rosyjskiej rubieży – a więc do Gruzji, forpoczty Kaukazu od strony zachodniej. Negocjacje toczą się nad głowami Gru-

zinów. W tym regionie to państwa centralne – Turcja i Niemcy – narzucają warunki. Bolszewicy są gotowi zgodzić się na wiele, bo przede wszystkim chcą umocnić swą władzę w centrum Rosji. Oddają Turkom część kaukaskich ziem, w tym trzecie największe miasto regionu – gruzińskie Batumi.

Strach pada też na Ormian i Azerów. Zwłaszcza ci pierwsi boją się Turków, wszak od ludobójstwa ormiańskiego w Imperium Osmańskim minęło raptem kilka lat. Trzy kaukaskie narody zwierają więc szyki.

Rozbieżne interesy

Do formalnej emancypacji Kaukazu Południowego od Rosji dochodzi wiosną 1918 r. Powstaje Zakaukaska Demokratyczna Republika Federacyjna (ZDRF) ze stolicą w Tyflisie. Zmuszeni sytuacją międzynarodową, Gruzini – wraz z Azerami i Ormianami – rozstają się z Rosją. Chcą się usamodzielnic i zyskać poparcie w świecie, by nie zostawić swych ziem na pastwę targów Konstantynopola i Piotrogradu.

NARODOWE ARCHIWUM GRUZJI

→ (Francja i Anglia pozostają na nie obojętne). A każdy z trzech narodów zarządza swoimi sprawami u siebie. Udaje się wykonać tylko kilka symbolicznych gestów – jak wypuszczenie waluty (dziś to gratka dla kolekcjonerów).

Już po 35 dniach idea „panpołudniowokaukaskiego” państwa bankrutuje, rozpad federacji jest nieunikniony. Gruzini winą za to obciążają spiskujących z Turkami Azerów, Ormianie – Gruzinów spiskujących z Turcją, Azerowie – Gruzinów spiskujących z Niemcami.

26 maja 1918 r. Gruzini proklamują Demokratyczną Republikę Gruzji. Premierem, aż po jej kres, będzie Noe Żordania – lewicowiec, z partii mienszewików. Ten dzień do dziś obchodzony jest jako święto niepodległości (z państw posowieckich tylko Gruzja i Estonia obchodzą te święta na pamiątkę wydarzeń z 1918 r.). Ormianie i Azerowie swoje niepodległe państwa proklamują dwa dni po Gruzji.

Rewolucja mienszewicka

Nastaje więc niepodległość. W Gruzji rządzą socjaldemokratyczni mienszewicy – wygrywają wybory ogromną przewagą głosów. Część z nich odgrywała wcześniej czołową rolę w piotrogrodzkich radach delegatów (dzierżących realną władzę po upadku caratu), a po przewrocie bolszewickim musieli uciekać i dołączyli do swych stronników w Tyflisie.

Mienszewicy to ideowi krewni swego ziomka – Józefa Stalina. Taką nazwę oni i ich stronnicy z innych zakątków imperium otrzymali kilkanaście lat wcześniej. W 1903 r. trwał zjazd Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji, trwała zażarta dyskusja między dwoma obozami. Pierwsi widzieli partię jako szeroki ruch robotniczy, zdecentralizowany i bez silnego przywództwa. Drudzy, dowodzeni przez Lenina, byli orędownikami ugrupowania konspiracyjnego i scentralizowanego.

Bolszewikom wolna Gruzja była nie w smak.

Uważali ją za swoją „oderwaną prowincję”.

Przywódcy II Międzynarodówki głosili zaś, że jest ona wzorem dla światowego proletariatu.

W większości byli ci pierwsi. Doszło do schizmy. Lenin założył wówczas radykalne skrzydło rosyjskich socjaldemokratów, które – choć wtedy mniejszościowe – nazwał propagandowo „większościowcami” (po rosyjsku: bolszewicy). Oponentów zaś określił mianem „mniejszościowców”, a więc mienszewików.

Gruzja to jedyne miejsce, gdzie do władzy trwale doszli nie bolszewicy, lecz mienszewicy. W kolejnych miesiącach roku 1918 trwa więc tu rewolucja mienszewicka – jak moglibyśmy dziś powiedzieć: alternatywny wariant historii.

Gruzja ma stać się republiką demokratyczną i neutralną. Antyklerykalni mienszewicy idą na kompromisy z nastrojami społeczeństwa: godzą się na istnienie Cerkwi prawosławnej, choć rozdzielają ją od państwa. Ustrojowo wzorują się na Szwajcarii, np. chcą wprowadzić kantony (gdyby gruzińska państwowość przetrwała i udało się wprowadzić taki podział terytorialny, może Abchazja i Osetia wciąż byłyby jej częściami).

Alternatywa dla bolszewizmu

W kraju narastają nastroje patriotyczne – choć, jak zauważał Pipes, wcześniej Gruzja należała do tych regionów Rosji, które „zdradzały najsłabsze skłonności” w kierunku emancypacji narodowej. Przeprowadzona zostaje udana reforma rolna. Wprowadza się takie nowoczesne rozwiązania jak obywatelska inicjatywa ustawodawcza, referendum, prawa wyborcze kobiet (przed Francją, Włochami czy USA), a także nowoczesne prawo socjalne.

Do Gruzji wracają liczni emigranci. Powstają muzea, a także – w ciągu pierwszych kilkunastu miesięcy istnienia państwa – przeszło 2 tys. bibliotek i czytelni. W Tyflisie rodzi się uniwersytet i jest

chyba coś symbolicznego w tym, że na początku ma on tylko jeden kierunek: filozofię. Bo taki jest to kraj, do pewnego stopnia teoretyczny: z nowoczesnym prawodawstwem, ale ze zrujnowaną gospodarką i przede wszystkim z niepewnym jutrem. Czego elity są świadome: w 1919 r. aż połowa budżetu trafia do ministerstwa obrony.

Gruzja ma pomysł na siebie: chce utrzymywać się z handlu manganem, drewnem i węglem, liczy na zachodnie inwestycje. Stan gospodarki jest marny, lecz pozwala mieć nadzieję na odbudowę. O ile sytuacja międzynarodowa będzie sprzyjać.

Ale bolszewikom Gruzja jest nie w smak. Uznają ją za swoją „oderwaną prowincję”. A poza tym gruziński mienszewizm jest atrakcyjną alternatywą ideową dla bolszewizmu. Materski pisze: „Przywódcy II Międzynarodówki głosili, że to właśnie Republika Gruzjińska, w której rządzi niepodzielnie partia socjaldemokratyczna, jest wzorem dla światowego proletariatu, natomiast bolszewizm to ideologiczne wynaturzenie”.

Z rąk do rąk

Gdy rozpadała się kaukaska federacja, Azerowie mieli rację: Gruzini prowadzili tajne rozmowy z Niemcami. Berlin boi się zapędów sojuszniczej Turcji i chce mieć roponośny Kaukaz w swojej strefie wpływów. Składa więc Tyflisowi ofertę: Gruzini pozwolą na transport wojsk niemieckich i zainstalowanie u siebie niemieckich baz wojskowych, a w zamian Berlin zapewni Gruzji bezpieczeństwo.

Tyflis obawia się Turcji i nie może liczyć na Francję i Anglię, więc przystaje na tę propozycję. Tak zaczyna się kilkumiesięczna okupacja (dość zaborcza) Gruzji przez Cesarstwo Niemieckie. Nikt nie przypuszcza, że wkrótce przestaną istnieć niemal wszyscy aktorzy, którzy rywalizują w regionie: pragnący restaurować carat „biali”, Imperium Osmańskie, Cesarstwo Niemieckie, Gruzja, Armenia i Azerbejdżan...

Berlin kapituluje wobec ententy w listopadzie 1918 r. Do końca roku Niemcy wycofują się z Kaukazu. Miejsce państw centralnych na Kaukazie Południowym zajmuje ententa, Gruzja przechodzi z rąk do rąk. Teraz mają „zaopiekować” się nią Brytyjczycy.

Tyflis zdaje sobie sprawę, że w tej rozgrywce jest przedmiotem, a nie podmiotem. Proponuje Londynowi, by objął Gru-



ZBIGNIEW ROKITA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 30 maja o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

zję protektorem, nie ingerując w jej wewnętrzne sprawy. Brytyjczycy nie przystają na to – zamiast tego, podobnie jak Niemcy, eksploatują gruzińską ziemię, początkowo traktując ją jak łup (widzą w Gruzji niedawne niemieckie lenno).

A jest to czas, gdy sympatie zwycięzców z I wojny światowej odgrywają rolę kluczową. Rusza konferencja pokojowa w Wersalu, świat na nowo się dzieli, powstają nowe państwa. Ale na Kaukazie dla ententy najważniejsze jest stworzenie antybolszewickiej siły, która przywróci ład. Los rosyjskich „kresów” pozostawia się do rozstrzygnięcia przyszłym władzom Rosji (wyjątek stanowią Polska i Finlandia).

Zachodni wyrok śmierci

Gruzini nie mogą więc liczyć na uznanie ich niepodległości przez Zachód. Zależy im już tylko, by nie podbili ich Turcy ani bolszewicy. Proszą, by któreś z zachodnich mocarstw objęło ich mandatem (wzięło pod opiekę). W grę wchodzi Włochy, Wielka Brytania lub USA. Ale choć ostatecznie mocarstwa obejmują swoimi mandatami takie tereny jak Kamerun, Mezopotamia czy Palestyna, nikt nie bierze odpowiedzialności za Gruzję – uznając ją nadal za wewnętrzną sprawę Rosji.

Tylko że Rosja już nie istnieje. A to oznacza, że po tym, jak w latach 1918-19 istnienie Gruzji zapewniali (mimo wszystko) Brytyjczycy i Niemcy, teraz jest ona pozostawiona sama sobie. A raczej – pozostawiona Moskwie i Turkom. Zachodnie *désintéressement* Gruzję jest więc dla niej wyrokiem śmierci – a jego wykonanie tylko odłożone w czasie.

Przez jakiś czas nadzieje Tyflisowi daje jeszcze rywalizacja sowiecko-turecka. Ale potem układ sił zmienia Mustafa Kemal – przyszły Atatürk i twórca nowej Turcji (w 1923 r. obali on sułtanat i ogłosi republikę). Jego umocnienie się w Anatolii (graniczącej z Kaukazem) i zawiązanie sojuszu z Moskwą na początku 1920 r. oznaczają, że Gruzini nie mogą już liczyć nawet na rolę kraju buforowego między dwoma rywalami (w takiej roli Piłsudski widział w tym czasie Ukrainę).

Moskwa może przystąpić do działania.

Chwilowy ratunek Piłsudskiego

Wiosną 1919 r. bolszewicy zaczynają podbój Kaukazu. Zdobywają jego północną część i dochodzą do Azerbejdżanu – pierw-

szej na świecie islamskiej republiki. Zależy im na szybkim zajęciu Baku, ze względu na złoża ropy. Po jego opanowaniu, Armię Czerwoną od Tyflisu dzieli raptem ok. 100 km – tyle co z Radomia do Warszawy.

Armia bolszewicka idzie na Tyflis. Wydaje się, że dni Gruzji są policzone. Az na przykład: kilkaset kilometrów dalej, na Ukrainie, Polacy odnoszą sukcesy, niebawem zajmą Kijów. Lenin wstrzymuje ofensywę na Gruzję. Materski pisze, że rozkaz Lenina „przyszedł w samą porę, jako że oddziałom gruzińskim w walkach odwrotowych zaczęło brakować amunicji, a wojskowe misje ententy uchylały się od odpowiedzi, czy chociażby w tym zakresie Gruzja może liczyć na wsparcie”. Choć „można go było udzielić bardzo szybko, ze składów broni alianckiej zgromadzonych w Batumi”.

W ten sposób Piłsudski pośrednio ratuje Gruzję. Ale tylko chwilowo. Rozejm z Polską, podpisany jesienią 1920 r., daje bolszewikom większe pole manewru. Już pod koniec 1920 r. podbijają Armenię. Gruzja pozostaje ostatnim wolnym krajem Kaukazu Południowego. Także „biali” na południu Rosji zostają doszczętnie rozbici.

Dopiero to skłania Zachód do uznania Gruzji, z początkiem 1921 r. Za późno: Gruzini są otoczeni przez armie Lenina i sprzymierzonego z nim Atatürka. Tyflis walczy jeszcze na arenie międzynarodowej, stara się o akces do Ligi Narodów. Ale nie zostaje przyjęty. Historyk Andrzej Furier pisze, że w niezręcznej sytuacji znalazła się wtedy delegacja polska, kierowana przez Ignacego Paderewskiego: „Zapewniając o swojej wielkiej sympatii dla Gruzji, Paderewski nie mógł jednak postąpić wbrew państwu, którym, jak powiedział: »Polska zawdzięczała niepodległość«. Dlatego też delegacja polska wstrzymała się od głosu”.

Inwazja

Tymczasem w bolszewickim kierownictwie trwa spór. Stalin naciska, by szybko podbić Gruzję. Lenin się waha – uważa, że w tym momencie korzyści byłyby mniejsze niż straty. Bolszewicy wygrali już wojnę domową, Lenin chce ustabilizować swą władzę i ruszyć z odbudową gospodarczą. Łada dzień zacznie się tzw. Nowa Polityka Ekonomiczna – kilkuletni taktyczny ułkon w stronę wolnego rynku. Do tego potrzebne jest ocieple-

nie z Zachodem, a podbój Gruzji może to uniemożliwić.

Poza tym pod znakiem zapytania stoi powodzenie operacji. Gruzini odbudowują armię, mają wysokie morale. Sowiecki raport wojskowy z grudnia 1920 r. szacuje, że podbój Gruzji zająłby sześć tygodni – ale pod warunkiem, że Turcy zachowają neutralność. W razie starcia z Turkami operacja może skończyć się katastrofą. Tymczasem na przełomie lat 1920-21 sojusz turecko-sowiecki wydaje się słabnąć. Pipes pisze: „Siergiej Kamieniew, naczelny dowódca sowieckich sił zbrojnych, był przekonany, że atak na Gruzję uwikła Rosję w długotrwałą wojnę, której prowadzenie przekracza możliwości Frontu Kaukaskiego. W trzech kolejnych raportach sporządzonych dla Lenina sprzeciwił się planom inwazji na Gruzję”.

Ale w końcu „jastrzębie” przekonują Lenina. Ofensywa Armii Czerwonej rusza 25 lutego 1921 r. Gruzini się bronią, lecz muszą walczyć na dwóch frontach – bo atakują ich też Turcy. Do końca liczą, że Francuzi i Brytyjczycy przyjdą im z pomocą, że Zachód zechce walczyć za Tyflis. Ale tak się nie stanie. W marcu bolszewicy opanowują Gruzję, a jej władze odpływają z czarnomorskiego brzegu na emigrację. Także – Noe Żordania.

Kaukaz Południowy znów staje się „Zakaukaziem”.

Rok 1921, rok 2008

Pierwowzorem Gruzina z prozy Pruszyńskiego był zapewne Żordania: premier wolnej Gruzji stał na czele emigracyjnych władz aż do swej śmierci w 1953 r.

Ale polityk z opowiadania Pruszyńskiego pomylił się: Gruzja raz jeszcze zaufała Zachodowi. W przeddzień wojny rosyjsko-gruzińskiej z 2008 r. ówczesny prezydent Saakaszwili powiedział: „Łatwo można zobaczyć, jak dzisiejsze wydarzenia przypominają te z 1921 r.”. Obserwatorzy rzeczywiście zestawiali te dwie daty: 1921 i 2008.

I choć wiele jest między nimi różnic, to w obu przypadkach wspólne jest jedno: wiara Gruzinów w Zachód – oraz ich rozczarowanie.

© ZBIGNIEW ROKITA

ZBIGNIEW ROKITA jest dziennikarzem zajmującym się Europą Wschodnią, redaktorem dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”. Autor książki „Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium”, Czarne 2018.

GDY WIĘCEJ OZNACZA MNIEJ

Dlaczego w badaniu poparcia dla partii politycznych o preferencje pyta się tysiąc sto osób, a nie na przykład dziesięć tysięcy?
Nie chodzi tylko o koszty.

MIROSŁAW SZREDER

CZY WIĘCEJ DANYCH ZEBRANYCH W BADANIU statystycznym, jak sondaż wyborczy, może oznaczać gorszą jakość wnioskowania? Pytanie to ma prawo dziwić, gdyż dla większości z nas więcej oznacza zwykle lepiej. Więcej informacji zgromadzonych o danej zbiorowości powinno się przekładać na lepszą jakość opisu jej charakterystyk. Wraz ze zwiększaniem się liczby obserwacji w próbie powinna następować poprawa wiarygodności i precyzji uzyskanych ocen. Niestety, tak się dzieje jedynie w sytuacjach modelowych, od których coraz częściej i coraz dalej odbiega rzeczywistość podlegająca najróżniejszym badaniom statystycznym. Przede wszystkim rzeczywistość życia społecznego i politycznego.

W gorączce kampanii wyborczej konkurować zdają się ze sobą nie tylko kandydaci i partie, ale także sondaże. Często słyszymy, że typowy błąd takich badań wynosi 3 proc., co w praktyce oznacza, że rzeczywiste wyniki każdej partii mogą się różnić od tych uzyskanych w naszym sondażu o trzy punkty procentowe. Taka różnica to dla niektórych partii kwestia zwycięstwa w wyborach, wejścia do parlamentu albo osiągnięcia samodzielnej większości. Któż z nas nie wolałby przeczytać sondażu, w którym ukazałby się błąd 1 proc.? Zmniejszenie błędu z 3 do 1 proc. wiąże się z koniecznością zbada-

nia dodatkowych ponad 8,5 tys. respondentów (co oznacza automatycznie większe koszty badania).

Obok kwestii finansowej co najmniej równie istotnym powodem trwania przy standardowej próbie 1,1 tys. respondentów oraz 3-procentowym błędzie świadomość wpływu innych błędów na ostateczne wyniki wśród realizatorów tych badań. Chodzi o błędy nielosowe, które w przeciwieństwie do błędu losowego (błędu losowania) nie ulegają zmniejszeniu wraz ze wzrostem liczebności próby. A w całkowitym błędzie badania, przy rosnącej liczebności próby, ich udział rośnie!

Geneza błędów systematycznych

Problem ten ma znacznie szerszy zakres, wykraczający dalece poza typowe sondaże polityczne lub ankiety konsumenckie. Dotyczy bowiem badań statystycznych, w szczególności wszelkich badań reprezentacyjnych, w różnych obszarach nauk społecznych. Oznacza on, że zwiększanie wielkości próby losowej – kosztowne, ale stosunkowo łatwe, przy wykorzystaniu współczesnych narzędzi teleinformatycznych – nie daje podstaw do twierdzenia, że trafniej i precyzyjniej wnioskujemy o badanych zbiorowościach. Czyli rosnąca liczba obserwacji w próbie losowej może niekiedy szkodzić jakości wnioskowania.

Żeby mechanizm ten zrozumieć, trzeba się cofnąć do początków XX wieku i prac dwóch twórców klasycznego wnioskowania statystycznego: Egona Pearsona (1895–1980) oraz polskiego statystyka Jerzego Neymana (1894–1981). Tworząc aktualne do dzisiaj fundamenty przedziałowej estymacji nieznanymi wielkościami populacji (np. średniej wartości dochodów w gospodarstwach domowych czy odsetka wyborców popierających daną partię polityczną) oraz procedury testowania hipotez, skupili się tylko na jednym z błędów, jaki w badaniach reprezentacyjnych może wystąpić – na błędzie losowania.

Z tym błędem powiązali zarówno wymaganą wielkość próby, precyzję oszacowań (szerokość przedziału, w którym z dużym prawdopodobieństwem znajduje się interesujący nas parametr populacji), jak i jakość (moc) testów statystycznych, czyli ich zdolność do rozstrzygnięcia o prawdziwości lub nieprawdziwości hipotez.

Założenie o losowym wyborze jednostek do próby pozwoliło na zastosowanie w tej koncepcji klasycznego rachunku prawdopodobieństwa oraz na włączenie do rozważań kilku znanych już wówczas rozkładów prawdopodobieństwa, przede wszystkim rozkładu Gaussa (nazywanego też rozkładem normalnym). I wszystko w tym podejściu dobrze się sprawdza



w praktyce, dopóki nie pojawią się zakłócenia: albo w strukturze próby badawczej, albo w informacjach uzyskanych od wylosowanych jednostek.

Pierwsza z tych sytuacji obejmuje bardzo powszechne problemy z odmowami respondentów wylosowanych do próby i konieczność odstępstw od założonej struktury próby, a także nie mniej częste błędy w wykazach osób z badanych populacji. Druga zaś sytuacja to zakłócenia w modelu wnioskowania spowodowane przede wszystkim udzieleniem przez respondentów nieścisłych lub nieprawdziwych informacji (świadomie lub nieświadomie). Przy czym warto dodać, że owe nieścisłe dane mogą być m.in. wynikiem źle skonstruowanego kwestionariusza, niewłaściwie dobranej metody pomiaru sondażowego albo niestaranności w pracy ankietera. Niekoniecznie muszą one obciążać respondenta.

Błędy powstałe w wyniku omawianych zakłóceń nie znalazły swojego miejsca w koncepcji wnioskowania stworzonej przez Neymana i Pearsona. W konsekwencji trudno oszacować ich wpływ na

Na zdjęciu: **79-LETNIA LUCY O'LEARY**, która po raz pierwszy zgłasza w wyborach prezydenckich w listopadzie 1936 r. – na Republikanina Alfa Landona. Przedwyborczy sondaż magazynu „Literary Digest” sugerował, że 57 proc. wyborców zgłasza tak samo. W ankiecie wypowiedziało się 2 mln Amerykanów, spośród 10 mln, których listownie poproszono o głos. Wybory wygrał jednak Demokrat Franklin D. Roosevelt, z 60 proc. głosów.

jakość wnioskowania. Z tego powodu wysiłek realizatorów badań koncentruje się nie tyle na pomiarze wielkości tych błędów, co na minimalizowaniu ich skali oraz wpływu na wyniki wnioskowania.

I tu wracamy do kwestii liczebności próby. Czy większa liczba obserwacji w próbie nie byłaby remedium na te błędy? Odpowiedź na to pytanie prześledźmy na przykładzie najbardziej uciążliwego w badaniach reprezentacyjnych błędu braków odpowiedzi.

Co oznacza brak odpowiedzi

Najprostsza, ale i najmniej prawdopodobna jest sytuacja, kiedy odmowy wśród respondentów można potraktować jako losowe. Byłyby takie, gdyby można uznać, iż nie są powiązane z cechami korespondującymi z celem badania. Na przykład, gdyby w sondażu na temat oceny prac rządu przez wyborców poszczególnych ugrupowań politycznych frakcje odmów nie były zależne od preferencji partyjnych. Losowa eliminacja obserwacji w próbie nie powodowałaby wówczas błędów systematycznych. Zmniejszyłyby się co prawda wielkość zaprojektowanej próby, ale wciąż posiadałaby ona swoje atrybuty reprezentatywności.

W praktyce jednak z taką sytuacją mamy do czynienia rzadko. Znacznie częściej odmowy są powiązane z pewną cechą charakteryzującą respondentów odmawiających współpracy. Na przykład w badaniu wydatków gospodarstw domowych współpracy mogą odmawiać respondenci o wysokich dochodach. Są oni w zaprojektowanej próbie losowej zastępowani dodatkowo wylosowanymi osobami, wśród

→ których nadal ci o wysokich dochodach nie godzą się na uczestniczenie w badaniu. Ostatecznie badacz pozostaje z próbą, w zamierzeniu reprezentatywną, w której brakuje obserwacji z pewnej szczególnej części populacji (tej o wysokich dochodach). Jest oczywiste, że sytuacja ta rodzić będzie błąd systematyczny – niedoszacowanie wydatków, spowodowane brakiem obserwacji u tych, którzy najprawdopodobniej wydają najwięcej.

Przykładowo: uzyskane z badania oszacowanie średnich wydatków wyniesie 1000 zł, a w rzeczywistości wynosi ono w populacji 1200 zł (i tyle otrzymalibyśmy w badaniu, gdyby nie odmówili w nim udziału najbogatsi). Zwiększenie liczebności próby, mimo że dostarczać będzie nowych danych, nie będzie miało wpływu na powstałe obciążenie (czyli zafałszowanie) wyników wnioskowania. Nie będzie w stanie go zmniejszyć, a tym bardziej wyeliminować.

Mało tego, dodawanie kolejnych obserwacji w próbie będzie w tych warunkach pogarszało całą sytuację. Otrzymywać będziemy coraz „mocniejsze dowody” na to, że średnie wydatki wynoszą właśnie ok. 1000 zł. Każde zwiększenie liczby obserwacji (zniekształconych przez odmowy) upoważniać będzie do przypisania wynikom takiego badania mniejszego błędu. Czyli mniejszej rozpiętości przedziału, w której znajduje się nieznana wielkość średnich wydatków. Coraz ściślej oszacowania średnich wydatków będą

Błędy nielosowe
nie ulegają zmniejszeniu
wraz ze wzrostem liczebności
próby. A w całkowitym
błędzie badania, przy rosnącej
liczebności próby,
ich udział rośnie.

się koncentrować wokół nieprawdziwej wartości 1000 zł.

Coraz mniej prawdopodobne więc będzie, że w przedziale takim zmieści się rzeczywista wartość 1200 zł. Realizatorzy badania deklarować więc będą zmniejszający się błąd statystyczny, a w rzeczywistości oznaczać to będzie coraz silniejsze utwierdzenie odbiorców w błędnym przekonaniu.

Tu wróćmy do sondaży. Zakładając przykładowo, że znaczna większość elektoratu pewnej partii „Z” odmawia udziału w badaniach opinii, wyniki sondaży będą w tych warunkach systematycznie (a nie losowo) zniekształcone. Niedoszacowanie w sondażach partii „Z” może wynieść 2 pkt. proc. Jeżeli sondaż wykonywany jest na typowej próbie ok. 1,1 tys. respondentów, to towarzyszący mu błąd 3 proc. jest na tyle duży, że najczęściej (przeciętnie) prawidłowo będzie informował o rzeczywistym poparciu dla partii „Z” (ponieważ

pamiętamy, że rzeczywisty wynik każdej partii może się różnić o trzy punkty procentowe od takiego sondażu). Gdyby jednak wielkość próby zwiększyć do prawie 10 tys. respondentów, to pracownia wykonująca taki sondaż podałaby słusznie, iż błąd losowania (błąd statystyczny) nie przewyższa 1 proc. Ogólne wrażenie z takiego sondażu byłoby pozytywne, bo zmalał błąd. W rzeczywistości zaś pogorszeniu uległaby jakość wnioskowania – bo prawie do zera zmalałoby prawdopodobieństwo tego, że w przedziale – o rozpiętości plus minus 1 proc. – znajdzie się rzeczywista frakcja poparcia dla partii „Z”. Dopóty, dopóki wyniki badania będą obciążone błędem systematycznym, zwiększenie liczby obserwacji w próbie prowadzić będzie do umacniania się badaczy w błędnym przekonaniu i utwierdzaniu w nim odbiorców.

Problemy Big Data

W ogromnej większości wykonywanych badań ankietowych i sondażowych deklarowany błąd odnosi się jedynie do tej części całkowitego błędu, za który odpowiada mechanizm losujący. Znacznie poważniejszym wyzwaniem są współcześnie błędy nielosowe. Szczególnie zaś wtedy, kiedy powodują systematyczne obciążenia wyników w próbie. Wówczas zwiększanie liczby obserwacji nie tylko nie poprawia jakości wnioskowania, lecz może ją wręcz pogorszyć.

Warto o tym pamiętać także w kontekście Big Data. Samo posiadanie bardzo dużych zbiorów obserwacji nie gwarantuje poprawnego wnioskowania. W zbiorach tych systematyczne obciążenia mogą wynikać z pominięcia w ciągach obserwacji osób nieposiadających telefonów komórkowych, nieobecnych na portalach społecznościowych albo niedokonujących transakcji handlowych w internecie. W zbiorach Big Data dominują błędy nielosowe, a nie błąd losowy, który potrafimy mierzyć i kontrolować. A co może najważniejsze: zwiększenie czy nawet zwielokrotnienie liczby obserwacji nie jest w stanie zmniejszać wielkości błędów nielosowych i ich wpływu na ostateczne wyniki wnioskowania.

© MIROSŁAW SZREDER

Autor jest profesorem, ekonomistą, specjalizuje się w rozwoju i nowych zastosowaniach nauk ilościowych. Kierownik Katedry Statystyki na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Gdańskiego, członek Komitetu Statystyki i Ekonometrii PAN.

Kiedy próba jest reprezentatywna?

NIE MA ŚCISŁEJ matematycznej definicji próby reprezentatywnej. Jest to podzbiór jednostek badanej zbiorowości – wybranych zwykle drogą losowania – którego struktura jest zgodna ze strukturą całej populacji. Innymi słowy, reprezentatywna próba to populacja „w pigułce”. „Próba reprezentatywna” i „próba losowa” to nie to samo. Po pierwsze dlatego, że reprezentatywna może być

też próba, do której jednostki wybrano inaczej niż przez losowanie. Np. odwzorowując w niej znaną wcześniej strukturę populacji. Po drugie, samo losowanie nie gwarantuje uzyskania reprezentatywnej próby. Losując np. sto przedsiębiorstw spośród wszystkich firm na danym terenie, często uzyska się próbę złożoną wyłącznie z mikropresiębiorstw, bo stanowią one ponad 98 proc. całej zbioro-

wości, a firmy małe, średnie i duże to pozostałe 2 proc. Taka próba będzie niereprezentatywna ze względu na średnią wartość majątku, produkcji, inwestycji itp. W praktyce reprezentatywne próby uzyskuje się najczęściej łącząc wstępną wiedzę o strukturze populacji z losowaniem. Np. w losowaniu warstwowym, stosowanym w ogólnokrajowych badaniach, takich jak „Diagnoza społeczna”, losuje się jednostki osobno z każdej wcześniej określonej grupy (warstwy) populacji.

© MSZ

ANDRZEJ

Stasiuk:

Psie duchy



GDY SIĘ ŻYJE DOŚĆ DŁUGO, TO MOŻNA WSPOMINAĆ wiele psów. Niektóre przychodzą nawet w snach. Tak było z Murzynem. Nie tym dzisiejszym, pisanym dla ostrożności Mużin, ale tym pierwszym. W tamtych czasach to imię nie było jeszcze zakazane, a w dodatku przybłąkał się już tak ochrzczony przez okolice i trudno było dorosłemu psu mieszać w głowie. Okolica to był pegeer oddalony o 5 kilometrów i kwatera drwali o jakiś kilometr. Nie wiadomo, skąd Murzyn przyszedł, ale wszyscy wiedzieli, jak ma na imię. Wszystkie psy w Polsce w tamtych czasach tak się nazywały, gdy były czarne. Jakies trzydzieści lat temu.

No więc przyszedł któregoś dnia, położył się przy chałupie i leżał. Leżał jeden dzień, drugi, trzeci. Czasami gdzieś odchodził w swoich sprawach, ale wracał, kładł się i leżał. Nie wdzięczął się, nie merdał ogonem, nawet nie wstawał na widok człowieka. Widać było, że podjął decyzję i nie ma zamiaru od niej odstąpić. Po kilku dniach postawił na swoim. Dostał miskę i został.

Jako się rzekło, był całkowicie czarny z odrobiną płowości na pysku i na łapach. Sylwetkę miał kundlowatą i nieforemną – zawierała w sobie wszystkie psie formy świata. Ale ruchy miał precyzyjne, oszczędne i celowe. Chyba nigdy nie widziałem go w pełnym biegu. Jeśli już, to w równym, nieustępliwym i ekonomicznym truchcie. Jakimś takim wilczym. No ale też nie wiedziałem wszystkiego o jego życiu. Był absolutnie niezależny. Znikał na całe dni i noce. Z ludzkiego punktu widzenia wiódł podwójne życie. Był wspaniałym, wiernym psem, ale nie dopuszczał mnie do swoich tajemnic. Zawsze wracał. Czasami z naderwanymi uszami, czasem poraniony.

Kiedyś, późnym wieczorem, wrócił na trzech łapach. Czwarta, prawa tylna, złamana, majtała się bezwładnie. Padał deszcz, dochodziła północ, do najbliższego weterynarza było 15 kilometrów, a ja miałem zielonego szerszenia, czyli dwudziestoletniego radzieckiego gaza 69 z demobilu, bez tablic rejestracyjnych i bez żadnych papierów. Otworzyłem klapę z tyłu, podścieliłem stary koc i ostrożnie podniosłem pacjenta. Nawet nie zaskomlał. Polizał mnie po ręce. Zapaliłem korbą szerszenia i pojechaliśmy w dżdżystą noc. Daję głowę, że pierwszy raz w życiu jechał samochodem, ale leżał nieruchomo, cichy i ufny. Przejechaliśmy pięć potoków, woda była wysoka i czułem, że szerszenia trochę znosi. Reflektory dawały światła tyle co lampy naftowe. Po 5 kilometrach zaczął się asfalt i jakoś dojechaliśmy do doktora Mielczarka, który oczywiście spał. Obejrzelśmy kalekę przy latarce i doktor stwierdził, że nie ma co go ruszać i operację zrobi się na pacy. Przyniósł skądś kawałek drutu, uformował z niego zgrabną szynę, przymierzył, poprawił i całość owinął bandażem elastycznym. „Jeszcze zatańczy na psim weselu”, powiedział i wrócił do łóżka. Murzyn podczas ca-

łej operacji nie pisnął ani się nie poruszył. Wróciliśmy do domu. Wzięłem go na ręce i zaniósłem na posłanie. Spojrzał na mnie i parę razy poruszył ogonem.

Kiedy byliśmy we dwóch, jedliśmy to samo. Gotowałem makaron i podsmażałem ze słoniną. Wieczorami, jeśli akurat nie przemierzał lasów, gór i dolin, nasłuchiwał ze swojego barłogu stukotu maszyny do pisania. Czasem wstawał, podchodził i kładł mi głowę na kolanie. Dużo wtedy rozmawialiśmy. To znaczy opowiadałem mu o tym, co akurat piszę. Był raczej milczącym psem. Niektórzy jego bracia czy też rodacy na wsiach szczekają jak głupi przez całą noc. On otwierał pysk tylko wtedy, gdy rzeczywiście ktoś nadchodził. Czasami nocą od Nieznajowej niosło się wycie wilków. Normalny wiejski burek chowa się wtedy do budy albo nerwowo szuka towarzystwa człowieka. On natomiast siadał wtedy na zadzie przed domem i próbował dołączyć do dalekiego chóru. Z gardła wydobywało mu się ni to wycie, ni to skowyt, dźwięk tylko na tę okazję. Wiedziałem, że to jest wciąż on, Murzyn, ale lekki dreszcz przechodził mi wtedy po plecach.

Doktor Mielczarek miał rację. Już następnego dnia próbował kuśtykać, unosząc w górze biały kikut. Na razie się zbytnio nie oddalał, wciąż w zasięgu wzroku, ale zataczał coraz większe kręgi wokół domu. Kiedy zaczął przepadać na ćwierć, na pół dnia, przecięłem w końcu bandaż i uwolniłem łapę. Zrosła się niemal bez śladu. Dało się wyczuć drobne zgrubienie kości, ale utykał tylko trochę, a potem znów mógł truchtać tym swoim oszczędnym krokiem, którym pokonywał Bóg wie jakie odległości, i wszystko było jak dawniej.

Ale i on zaczął się starzeć. Nikt zresztą nie wiedział, ile miał lat, gdy się zjawił. W każdym razie był już psem, jak to się mówi, w sile wieku raczej. Teraz pysk mu siwiał, zrobił się nieco ociężały i nie przepadał tak często jak dawniej. Wygrzewał się w słońcu. Żółte tęczówki nieco wyblakły. Rzadziej też podnosił głowę, nasłuchując obcych dźwięków. Dokuczała mu złamana niegdyś łapa, bo zaczął lekko utykać. W końcu przestał się oddalać. Szedł nad potok, na granicę lasu, podnosił głowę i węszył w stronę zbocza porośniętego grabiną, leszczyną i jodłą. Czasami wchodził w nurt i chleptał kilka łyków. Zimą wołał się dzieć w domu. A czasem, całkiem jak Gzanka, związał się w kłębek przed wejściem, nakrywał nos ogonem i spał w najlepsze. Nie mówiąc już o tym, że w trzaskający mróz wypuszczał się w świat na dwie, trzy doby.

Któregoś letniego dnia zniknął. Wstałem i go nie było. Obeszłem całe podwórko, wszystkie zakamarki. Poszedłem nad rzekę i ruszyłem najpierw w górę, a potem w dół biegu, aż do pierwszego brodu, gdzie w styczniu i lutym zjawiał się zimorodek. Wróciłem drogą, minąłem rozstaje ze starą kapliczką. Nigdzie go nie było.

I tak już zostało. Wyobrażałem sobie, że znalazł jakieś spokojne miejsce i ułożył się zwinięty w kłębek albo z głową na wyciągniętych łapach. Wiał lekki, ciepły wiatr niosący te wszystkie zapachy, które prowadziły go tysiącem nikomu nieznanym ścieżek. I spokojnie zasypiał wsłuchany we własny oddech i w stygnące uderzenia psiego serca. Tak sobie wyobrażałem i mam nadzieję, że tak było.

Potem mi się śnił. Przychodził we śnie posiwiasty, spokojny, ze swoich zaświatów. Patrzył mi w oczy, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest dobrze i że bym się nie martwił. A potem zniknął w ciemności.

©

KULTURA



KRÓWKA NA TRAWCE

WOJCIECH BONOWICZ, POETA:

Osoby z zespołem Downa są po prostu lepszymi ludźmi niż my,
nieprzypadkowo mają o jeden chromosom więcej.
Choć ich świat jest trudny – nie mogą spełnić wielu swoich marzeń.
Nie mogą nawet za nimi gonić.



GRAZYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pierwsze spotkanie z pisarzem?

WOJCIECH BONOWICZ: To była pisarka, Mira Jaworczakowa. Przyjechała do naszej szkoły i podpisała mi książkę „Jacek, Wacek i Pankracek” – wielkie wrażenie. Potem były spotkania na wczasach pracowniczych, na które jeździłem z rodzicami. Zawsze był kaowiec, który zapraszał lokalne osobistości. W Zakopanem byłem np. na spotkaniu ze Stanisławem Marusarzem, który opowiadał swoje wojenne historie. Z kolei do mojej podstawówki przyjechał lotnik, który walczył

WOJCIECH BONOWICZ (ur. 1967) jest poetą, redaktorem, dziennikarzem, felietonistą „Tygodnika Powszechnego”. Autor kilku książek-wywiadów (ostatnio rozmowy z Wojciechem Waglewskim „Wagiel. Jesz-

cze wszystko będzie możliwe”), biografii „Tischner” oraz książek dla dzieci „Bajki Misia Fisia” i „Misiu Fisiu ma dobry dzień, dobry dzień”. Wystąpił na płycie zespołu Fisz Emade „Drony” i na koncertach.

W 2007 r. za książkę „Pełne morze” otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii poezja. Jego najnowszy tom „Druga ręka” został właśnie nominowany do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej oraz Nagrody Nike.

w bitwie o Anglię, i pani, która była w armii Berlinga. Wojna była wtedy tematem wszechobecnym. Pamiętam taką scenę: jeszcze nie przeprowadziliśmy się do Krakowa, mieszkamy w Oświęcimiu, mogę mieć sześć lat, w telewizji leci dziennik. I słyszę nazwę: Oświęcim. No to biegnę do telewizora, ciesząc się, że zobaczę kolary jadących w Wyścigu Pokoju, a widzę stopy trupów – wstrząsające obrazy, które znamy wszyscy.

Sześć lat to stanowczo za wcześnie, by patrzeć na takie sceny.

Za wcześnie. Ale w naszym domu niczego się nie ukrywało. I zawsze były książki. Moi rodzice bardzo szanowali literaturę, zwłaszcza tata, z wykształcenia inżynier. Popatrz, tu jest półka z książkami poetów, na których się wychowałem: Tuwim, Staff, Gałczyński i ulubiony poeta taty – Broniewski. Na Broniewskim i Żeromskim dla taty kończyła się literatura, te późniejsze eksperymenty raczej go denerwowały. Najbardziej lubił wiersze, których tematem jest polski krajobraz.

Ojciec podsuwał Ci książki do czytania?

Sam szukałem. Biblioteka domowa nie była duża. Gdy mój starszy brat poszedł do szkoły, razem z nim odrabiałem lekcje i w ten sposób nauczyłem się czytać – miałem cztery lata. Zacząłem grzebać po półkach, czytałem, co mi wpadło w ręce. I szybko zaczęły mnie fascynować wiersze.

Jakie wiersze?

„Przygody koziołka Matolka”, chociaż nie miałem własnego egzemplarza. Podobalo mi się, jak to jest zrymowane i że przez tyle stron można te historie wierszem opowiadać. A z „dorosłych” książek to pierwszy był Mickiewicz. Dwa grube tomy dzieł Mickiewicza to była jedna z najważniejszych lektur dzieciństwa. Ojciec czytał mi na głos „Ballady i romanse”. Rytm ballad zapadł w pamięć.

To wtedy napisałeś pierwszy wiersz?

Najpierw napisałem prozę. Z posklejanych karteczek zrobiłem książeczkę, właśnie gdy miałem cztery lata. To była opowieść o Winnetou. „Winnetou szedł lasem gęstym, aż napotkał lwa” – tak brzmiało pierwsze zdanie.

Dość szybko, już przy lekturze „Koziołka Matołka”, a potem wierszy Broniewskiego, zaczęło mnie fascynować to, co w poezji można zrobić z językiem. Prosta rzecz: setki tysięcy ludzi patrzy na Wisłę, ale tylko Broniewski umie opisać to tak, że czujesz napięcie między brzegiem a płynącą wodą, a także między tym, co widziane, i tym, co dzieje się w człowieku. Chciałem pisać jak Broniewski. Jako siedmioletek czy ośmiolatek napisałem tomik wierszy wojennych – zainspirowany przez „Bagnet na broń”.

A potem, domyślam się, musiałeś jako dorosły poeta szlifować swoją frazę, by nie pisać językiem swoich mistrzów.

W Polsce sytuacja poetki czy poety jest bardzo trudna, gdyż wybitnych osobowości poetyckich mamy dużo. Jakikolwiek sposób poezjowania przyszedłby nam do głowy, to ktoś już w tym paśmie pracował.

Najmocniejszy jest język Różewicza, on „sczyścił” dużą część poezji – wydaje się, że po nim wielu rzeczy już po prostu nie wypada robić. Ale tych mocnych osobowości jest cała masa: Szymborska, Herbert, Miłosz, Białoszewski, Karpowicz, Miłobędzka... Jak znaleźć wśród nich swoje miejsce? Przychodzi mi do głowy Ron Padgett, amerykański poeta, który w jednym z wierszy powiada, że śmiesz go, kiedy słyszysz, iż młody poeta odnalazł swój głos. To co – zgubił go wcześniej? Nie miał i dopiero musi znaleźć? Ja, mam nadzieję, nigdy go nie znajdę – pisze Padgett. I to myślenie jest mi bliskie. Jak ktoś szuka „własnej frazy” tylko po to, by wreszcie za- brzmieć oryginalnie, to nigdy tego nie ➔

→ osiągnię. Dlaczego? Bo będzie zawsze ustalony na „nie” wobec innych.

Przecież zawsze tak było, że młodszy poeci byli nastawieni na „nie” do tych starszych.

Ale tylko jak pojawiają się wybitne jednostki, ten konflikt robi się twórczy. Przecież ma on drugorzędne znaczenie. Nie każda poetka czy poeta musi posługiwać się wyrazistym, łatwo rozpoznawalnym idiomem. W moim pokoleniu są dwie takie osobowości językowe: Marcin Świetlicki i Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki.

A Ty?

Próbuję wchodzić w dialog z różnymi sposobami poetyckiego mówienia. Choć nie ukrywam, że bliżej mi do tych twórców, którzy lubią język bardziej kolokwialny – w tym sensie jestem dalej od Miłosa, a bliżej Różewicza.

Bo?

Bo tak się moje ucho nastroiło. To nawet widać po poetach, których tomiki wyciągałem z biblioteki ojca. Gałczyński i Broniewski byli bliżsi naturalnej płynności mowy. I jej szorstkości – śmiało sięgali do niższych rejestrów. Nie lubię, kiedy wiersz jest zbyt wysoko ustawiony. Kiedyś rozmawialiśmy z Krystyną Miłobędzką o czyjejs twórczości i ona mówi: „To bardzo dobre wiersze, ale – zbyt doskonałe”. Doskonałość niekoniecznie jest zaletą. Lepiej, kiedy wiersz jest pęknięty. Zostawia wtedy więcej miejsca czytelnikowi, który może go wypełnić swoimi doświadczeniami, swoją wyobraźnią.

Nigdy nie szukałem swojego poetyckiego głosu, tylko reagowałem na to, co mnie porusza.

Mówisz, że w Polsce trudno być poetą, ale jeszcze trudniej w samym Krakowie. Przechodząc przez Rynek, na pewno spotkasz jakiegoś uznanego poetę.

To są bajki dla przyjezdnych. Kraków widzę inaczej: jako miejsce wielośrodowe, które cały czas się odmienia i odnawia, ma nowe dopływy. Latami grano tu punk rocka, są raperzy z Nowej Huty, są didżeje proponujący bardzo różną muzykę. Sprowadził się do Krakowa poeta Robert „Ryba” Rybicki i zaczął organizować „Open Mic”, czyli spotkania, gdzie każdy może stanąć przed mikrofonem i przeczy-

tać, na co ma ochotę. Wcześniej sprowadził się Edward Pasewicz i zaczął prezentować wiersze – bynajmniej nie tylko swoje – w kontekście muzyki i teatru.

Poeci rozmawiają o swoich tomikach?

Ograniczają te rozmowy do krótkich komunikatów: „dobrze”, „nie dobrze”. O sprawach warsztatowych prawie nie rozmawiamy, tym się różnimy od mechaników samochodowych. Jeśli poeci rozmawiają o literaturze, to chętniej o prozie.

Z czego żyją poeci?

Z innych zajęć. Z mojego pokolenia tylko jednoosobowa grupa w postaci Marcina Świetlickiego może powiedzieć, że utrzymuje się z poezji i działalności artystycznej. Reszta wykonuje rozmaite prace usługowe, pracuje na etatach, łapie jakieś fuchy. Ja utrzymuję się z zajęć dziennikarsko-redaktorskich.

Są jeszcze poetyckie nagrody. Nagroda im. Wisławy Szymborskiej, do której jesteś nominowany, to 100 tysięcy złotych. Do Nike też jesteś w tym roku nominowany – też 100 tysięcy złotych.

Nagrody to jest właściwie jedyny w Polsce sprawnie działający system stypendialny dla poetów. Przecież poeci w ogóle nie zarabiają. A ja, po nominacji do Nagrody Szymborskiej, znalazłem się w ciekawej sytuacji egzystencjalnej: po raz pierwszy jestem najstarszy wśród nominowanych, czyli przeszedłem do grupy senioratu. Na dodatek wśród piątki nominowanych jestem jedynym mężczyzną. Z tego powodu znajomi składają mi wyrazy współczucia, bo to niemożliwe – mówią – by w tym roku facet dostał nagrodę, na pewno trafi ona do kobiety.

Jak się czujesz w grupie senioratu?

Od roku biorę tabletki na nadciśnienie... Człowiek chciałby przedłużyć okres fazy wstępującej. A tu nagle okazuje się, że ona jest już przeszłością i na schodach za tobą stoi cała masa utalentowanych ludzi. Gdy się spojrzy na nominowane do Szymborskiej koleżanki – z wszystkimi znam się osobiście i, niestety, wszystkie bardzo lubię – to widać, jakie to ciekawe i wielostylowe towarzystwo.

W „Drugiej ręce”, Twoim nominowanym do obu nagród tomie, jest wiersz



JACEK TARAN

zaczynający się od wersu: „Poeci to krowy które przy pełni księżyca / mogą paść się na wielopoziomowych skrzyżowaniach / gdy ruch jest mały”.

Rozmawiamy we właściwym miejscu, by to skomentować: w mieszkaniu na Bronowicach, w którym się wychowywałem. Nieopodal jest skrzyżowanie, wprowadzie nie wielopoziomowe, ale duże, ze ślimakami, jeszcze w latach 80. pasły się tam krowy. I to jest bezpośrednie źródło tego poetyckiego obrazu: w drodze wyjątku czasem można wpuścić krowkę na trawkę, wokół której pędzą samochody.

Ta krowka na trawce z krążącymi wokół samochodami ma obrazować sytuację poety?

W świecie poeci mają dość wyraźnie wydzielone miejsca. Nie są to miejsca obserwowane przez tłumy, ale toleruje się jeszcze ich obecność. Uczciwie powiedziawszy, jak dostaję zaproszenia na spotkania autorskie, to zwykle nie w związku z moją twórczością poetycką, lecz o wiele częściej w związku z Tischnerem, którego biografię napisałem siedemnaście lat temu. O nim ludzie wciąż chcą słuchać.

Jaką opowieść chcą usłyszeć?

Tęsknię za jasną postacią. Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak Tischner wchodził do pokoju, to jakby się drzwi otwierały w człowieku. Drzwi się otwierały – i żyć się chciało. Każdy z nas nosi w sobie pragnienie, że przyjdzie taki ktoś, kto mu powie: „Słuchaj, cała ta twoja szamotanina ma sens”. Każdy chce to usłyszeć – czy to będzie poeta, czy gość, który ma być



*Manifestacja solidarności
z Rodzicami Osób Niepełnosprawnych,
Kraków, 21 maja 2018 r.*

z warzywami, polityk, który już nie wie, za czym głosuje, czy zdesperowana matka niepełnosprawnego dziecka...

W każdą niedzielę ksiądz mówi im o tym na kazaniu.

Ale nie każdy ksiądz ma w sobie autentyzm Tischnera. Jemu się po prostu widziało. A do tego był mistrzem słowa. Regularnie chodziłem na jego wykłady, które miał na polonistycie. I naprawdę był najlepszy, a wykładali wtedy przecież i Błoński, i Balbus, i Stróżewski, i wielu innych wybitnych.

O co pytają ludzie na tych spotkaniach?

Możesz się śmiać, ale najczęściej o to, jak żyć.

W ogóle nie jest mi do śmiechu, sama bym o to zapytała.

Kiedyś o. Marek Donaj, augustianin, który jako kapelan odwiedzał Tischnera w szpitalu, zagadnął go: „Księżu profesore, mam prowadzić rekolekcje, chciałbym dać temat »Jak żyć?«. Niech mi ksiądz profesor coś podpowie”. I Tischner wpisał mu do książki: „Nieważne jak, ważne z kim”.

Ludzie się śmieją, kiedy to cytuję. Ale to jest właściwie najgłębsza religijna odpowiedź, jakiej można udzielić.

Dla mnie ta odpowiedź jest głęboko ludzka.

Oczywiście. Bo jak się dobrze zastanowić, to w życiu jest właśnie tak: naprawdę ważne jest „z kim”, a „jak” przychodzi po-

tem. W życiu publicznym jest wielu ludzi, którym z łatwością przychodzi mówienie o Bogu. Ale ja jakoś im nie dowierzam. Dużo ludzi ma światopogląd religijny, ale praktycznie są niewierzący. Dlaczego? Bo nigdy nie doświadczyli Boga w żywej relacji. Jak Go nie znajdziesz w spotkaniu z drugim, to Go nie znajdziesz w spotkaniu z katechizmem Kościoła katolickiego.

A Ty z jakimi ludźmi żyjesz?

Mam różne swoje kręgi. Najważniejsza jest rodzina – ta pierwsza, rodzice oraz brat, i ta, którą potem współtworzyłem, Diana, dzieci. Dalej jest krąg ludzi niepełnosprawnych, wspólnoty Wiara i Światło, w której jestem od ponad 30 lat, przyjaciółki i przyjaciele, z którymi to robię. Właściwie to moja trzecia rodzina. A potem jest literatura, filozofia, dziennikarstwo. Te kręgi ciągle się zmieniają, przybierają nowe... Są takie chwile, kiedy najważniejszym dla mnie człowiekiem jest mój przyjaciel z zespołem Downa, a są takie, kiedy jest nim poetka czy poeta.

Powiem jeszcze coś o Tischnerze. Wiesz, dlaczego on budził taki podziw? Bo jako ksiądz tkwił w strukturze mocno uschematyzowanej, a równocześnie z niej wystrawał.

Wystawał suwerennością myślenia?

Najciekawsze było w nim to napięcie między zakorzenieniem a niesłychaną wolnością ducha. Pamiętam, co na jego pogrzebie powiedział kard. Franciszek Macharski: „Tischner był skądś, a wielu z nas jest znikąd”. To było mocne. Przecież kardynał nie był znikąd! W Krakowie był bardzo znany, dobrze się weń wtopił. A jednak powiedział to z wyraźną zazdrością. Tischner to było drzewo, które miało korzeń w jednym miejscu, ale gałęzie rozrastały się swobodnie w różnych kierunkach. Za tym, myślę, tęsknimy.

Według mnie Twoje obywatelstwo świata bierze się z przyjaźni z niepełnosprawnymi.

W zeszłym roku zmarła moja mama, pogrzeb odbywał się na cmentarzu Batowickim. Sytuacja bardzo trudna – bo z jednej strony masz osobistą sprawę z mamą, pragniesz ją z miłością pożegnać, a z dru-

giej strony jest rodzina, krewni, przyjaciele, którzy przyszedli i trzeba się nimi zażywać. Emocje buzuja. No i przyjechała na pogrzeb grupa osób niepełnosprawnych, m.in. moi przyjaciele z Radwanowic. Podchodzę do nich, by się przywitać, i Krzysiu, z którym znamy się od lat, mówi: „Bardzo panu współczuję, panie Zbigniewie”. No co byś zrobiła? Musiałem się uśmiechnąć. Krzysiu wie, jak mam na imię, ale prawdopodobnie był tak samo przejęty jak ja i tym „panem Zbigniewem” mnie rozbroił. A potem obserwowałem tych moich przyjaciół przy ołtarzu... Chciałbym, by we wszystkich kościołach byli tacy ministranci, jak moje chłopaki z zespołem Downa.

Tacy autentyczni?

Tak. Oni to mają we krwi, wrodzone – że nieważne „jak”, tylko „z kim”. Jak do mszy służy Rafał, który ma problemy z chodzeniem, to oni najpierw pomagają Rafałowi, a dopiero potem księdzu... To jest żywa Ewangelia, ci ludzie. Oni nie kalkulują, mają wymontowany ten „kalkulator”, który każdy z nas ma w głowie i oblicza na nim, jak się zachować, czy przytulić tego, kto płacze, czy może jeszcze poczekać...

Świat tych moich przyjaciół jest bardzo piękny i jednocześnie naznaczony cierpieniem. Większość z nich ma rodziny, przyjaciół, a i tak czują, że nie wszyscy cieszą się na ich widok. Najinteligentniejsi z nich mają świadomość odrzucenia. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z moich przyjaciół powiedział: „Ja wiem, że ludzie chcieliby, żeby mnie nie było”.

Brakuje mi słów.

Dlatego nie wypowiadałem się na temat aborcji, bo wiem, że dla moich niepełnosprawnych przyjaciół jest to sprawa, która bezpośrednio ich dotyczy. Moją jedyną odpowiedzią na pytanie o zmiany w prawie aborcyjnym jest to, co robię od 30 lat.

Oficjalnie zabierasz głos w innej sprawie: protestu rodziców dzieci niepełnosprawnych. Można było Cię usłyszeć 21 maja na krakowskim Rynku.

Ten protest przyniósł wiele dobrego. Wreszcie do dużo większej grupy ludzi dotarło, jak naprawdę wygląda sytuacja osób niepełnosprawnych, szczególnie niesamodzielnych, i ich rodzin. Większość z nas nie ma pojęcia, jaka to jest walka na co dzień – z samym sobą, własną

→ psychiką, z otoczeniem, z urzędami, z innymi instytucjami. Ile trzeba znieść upokorzeń. Tkwię w tym od 30 lat jako wolontariusz, ale i tak wiele rzeczy nie przychodzi mi do głowy, zanim o nich nie usłyszę. Poznałem na proteście pana Krystiana, który przyjechał na wózku. Po wszystkim umówiliśmy się na wywiad. Proponuję: „Może zrobimy to przez internet, żeby było szybciej i precyzyjniej?”. Bo pan Krystian nie dość wyraźnie mówi. A on na to: „Wolałbym osobiście. Bo ja nosem piszę”.

No tak...

Podczas manifestacji poparcia mówiłem o tym, co pozytywne: że mimo wszystkich podziałów, jakie są w społeczeństwie, ta sprawa może nas zjednoczyć i, mam wrażenie, generalnie jednoczy. Oczywiście, ujawniają się różnice i polityczne, i środowiskowe, bo samo środowisko osób z niepełnosprawnościami nie jest jednorodne. Ale jednak większość chce, żeby wreszcie rozwiązać problemy tych ludzi całościowo, a nie ciągle ich zwodzić. Zaimponowało mi, że na manifestację w Krakowie przyszło dużo osób z zespołem Downa, choć niby nie o ich sprawy się tu walczy.

Po prostu czują się odpowiedzialni.

To, co mi się nie podoba, to próby dyskredytowania protestujących, zwłaszcza matek. Ludzie władzy powiedzieli wiele rzeczy okropnych. Kilka lat temu sami chodzili do strajkujących z kanapkami, dziś wyśmiewają posłów innych partii, że robią to samo. W sumie najbardziej poruszające słowa wyszły z ust Lecha Wałęsy, czego się nie spodziewałem. On rzadko bywa samokrytyczny, a tym razem powiedział: „Zaczynając ode mnie, myśmy zawiedli tych ludzi”. Najlepiej, żeby czynnych polityków w ogóle tam nie było. I żeby rząd powołał jakieś ponadpolityczne ciało, złożone ze specjalistów w poszczególnych dziedzinach, które by przygotowało projekt spójnego, efektywnego systemu wsparcia dla najsłabszych. Niestety, na to się nie zanoszi.

Ale w ludziach, którzy się temu przyglądają, otworzyły się szczeliny – przez które widać osoby z niepełnosprawnością lepiej niż dotąd.

Widać także rodziców ludzi z niepełnosprawnością.

Tak i dlatego nie dziwię się determinacji tych, którzy są w Sejmie. Podczas manifestacji w Krakowie jedna z matek prze-

Najinteligentniejsi
z moich przyjaciół
z zespołem Downa
mają świadomość odrzucenia.

Jeden z nich mi powiedział:

**„Ja wiem, że ludzie
chcieliby,
żeby mnie nie było”.**

czytała tekst dokładnie opisujący, jak wygląda sytuacja rodziców, którzy mają głęboko upośledzonego, niesamodzielnego syna. Cierpliwie, krok po kroku, tłumaczyła, dlaczego przyjęte w ostatnich latach rozwiązania prawne nie zmieniają sytuacji na lepsze. Co z tego, że niepełnosprawni będą mieli pierwszeństwo w kolejce do rehabilitantów, skoro tych rehabilitantów brakuje? Co z tego, że ułatwi się dostęp do sprzętu i środków medycznych, skoro rodziny nie będą miały pieniędzy na ich zakup? Większość rodziców, których znam, w ostatnich wyborach głosowała na PiS, bo liczyli na zmianę. Teraz są rozgoryczeni. Rządy się zmieniają, a problemy pozostają.

Co Ci jeszcze dają Twoi przyjaciele z niepełnosprawnością?

Zawsze mnie denerwowało, kiedy inni ludzie nachalnie usiłowali mnie poprawiać. Każdy wiedział lepiej, co i jak powinienem robić. Sam taki jestem: moje dzieci pewnie by powiedziały, że jestem ojcem, który nieustannie zwraca im uwagę. Moi przyjaciele ze wspólnoty nigdy mnie nie korygowali, nie oczekiwali, że się zmienię, nawet nie prosili, żebym miał dla nich więcej czasu... Oni przyjmują mnie bezwarunkowo. Osoby z zespołem Downa są po prostu lepszymi ludźmi niż my, nieprzypadkowo mają o jeden chromosom więcej. Choć ich świat, powtórzę, jest trudny – one nie mogą spełnić wielu swoich marzeń. Nie mogą nawet za nimi gonić.

Masz wśród muminków takiego najbliższego przyjaciela?

Mam dwóch: Łukasza „Wisienkę” Waśniowskiego i Jacka Furgalskiego. Poznaaliśmy się, jak przyszedłem do wspólnoty w 1987 r. „Wisienka” i Jacek mieli wtedy

po kilka lat, wymagali pełnej opieki. Dziś są dosyć samodzielnymi ludźmi. Jacek właściwie potrafi zrobić wszystko, łącznie z tym, że umawiał do lekarza mamę, kiedy ciężko chorowała. A teraz opiekuje się babcią, mierzy jej ciśnienie, podaje obiad. Jest człowiekiem odpowiedzialnym – gdy czegoś się podejmuje, to jest w tym konsekwentny. Świetnie widać to na obozach: pierwszy wstaje i ze swojego mszalka odmawia modlitwy, bo Jacek chciałby być księdzem. A wieczorem ogląda mecze i „piwkuje” – czyli też jak normalny ksiądz...

„Wisienka” ma te wszystkie cechy co Jacek i jeszcze jest artystą, świetnie rysuje. Nie używa koloru czarnego, bo czarny go przysięga. Posługuje się pastelami i ma znakomite wycucie koloru. Byłem na jego wystawie – jego obrazy robią ogromne wrażenie. I zawsze pamięta o imieninach i urodzinach, z czym ja nieustannie mam kłopot. Dzwoni i składa życzenia, które są zupełnie niestandardowe, bo oprócz zdrowia i szczęścia, życzy ci dużo pracy.

W którym ze środowisk czujesz się najbardziej swobodnie?

W żadnym nie czuję się źle, umiem się dostosować, o ile nikt mnie nie naciska. Od dzieciństwa mam niechęć do odruchoń zbiorowych. Mama była taka, ojciec też. Pamiętam taką scenę: jeszcze mieszkamy w Oświęcimiu, mam 5 lat, stoimy z ojcem przed kinem Luna, do którego przyjechała Irena Dziedzic z „Wielką grą”. Tłum szturmuje kino, żeby zobaczyć, jak Irena Dziedzic pyta: „W jakim mieście 20 lutego 1948 r. Witold Lutosławski wypił kawę?”, bo przecież wszystkich Polaków interesuje to ogromnie. No więc tłum napiera i w pewnym momencie ojciec mówi: „Wiesz co? My nie musimy iść”. I wróciliśmy do domu. Z jednej strony miałem żal, a z drugiej strony odczuwałem – wtedy dla mnie nieokreśloną – dumę: wszyscy muszą, a my nie.

Naukę wyniesioną z domu podsumowałbym tak: trzeba dobrze żyć z każdym, ale to nie znaczy, że trzeba żyć tak jak każdy. Może mój duch przekory przejawia się właśnie w tym, że od tylu lat jestem we wspólnocie? Bo to jest prawdziwa kontrkultura. Kultura rozwija się jednak w stronę konsumpcji, przyjemności, podboju. A my tam mamy coś zupełnie innego: świat, który nie ma żadnego uzasadnienia, poza naszą przyjaźnią.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Kim pan był, panie Roth?

MAGDA HEYDEL

Mówić cudzym głosem, patrzeć cudzym wzrokiem, włożyć w cudze buty – tym trudnił się przez całe pisarskie życie, choć zarazem pisał tylko o sobie.

PHILIP ROTH, KTÓRY W 2009 R. OGŁOSIŁ, że kończy karierę pisarską, do tego czasu wydał trzydzieści jeden powieści i zdobył wszystkie najważniejsze literackie laury Ameryki: Pulitzera, National Book Award, PEN/Faulkner Award, National Medal of Arts. Ma na koncie także Man Booker International za 2011 r. (czyli tę nagrodę, którą w dniu jego śmierci, 22 maja, odebrała Olga Tokarczuk). Bookerowi dla Rotha towarzyszyła demonstracyjna rezygnacja jednej z jurerek; co do Nobla – należy do grona jego najsłynniejszych nie-laureatów.

Co tam jednak nagrody! Chodzi przecież o pisanie: powieści powstałe w ciągu ponad półwiecza, kiedy jego życie było – jak sam mówił – samotnym ślęceniem nad zdaniem. Dodajmy: zdaniami należącymi do najdoskonalszych w literaturze światowej. W 1981 r. na pytanie „Po co pisać?”, „Why write?”, które stało się tytułem wydanych parę miesięcy temu esejów krytycznych pisarza, odpowiedział: „by wyzwolić się ze swojej własnej, dusząco nudnej i wąskiej perspektywy patrzenia na życie i by dać się unieść wyobraźniowemu współczuciu z jakimś kompletnie rozwiniętym narracyjnym punktem nie mojego widzenia”.

Mówić cudzym głosem, patrzeć cudzym wzrokiem, włożyć w cudze buty – tym Roth trudnił się przez całe pisarskie życie, choć przecież można powiedzieć, że pisał tylko o sobie. Jego bohaterowie, jego mnogie *alter ego*, to amerykańscy Żydzi, pisarze, czytelnicy, gadacze, mężczyźni łakomi życia, pożądliwie goniący za jego rozkoszami, niezmiennie wpadający w otchłań niezaspokojenia i utraty.

Jednym z nich jest amerykański pisarz żydowskiego pochodzenia, Nathan Zuckerman, bohater powieści „Cień pisarza” (1979), „Zuckerman wyzwolony” (1981), „Lekcja anatomii” (1983), „Praska orgia” (1985), „Przeciwycie” (1986). Mamy tu ob-

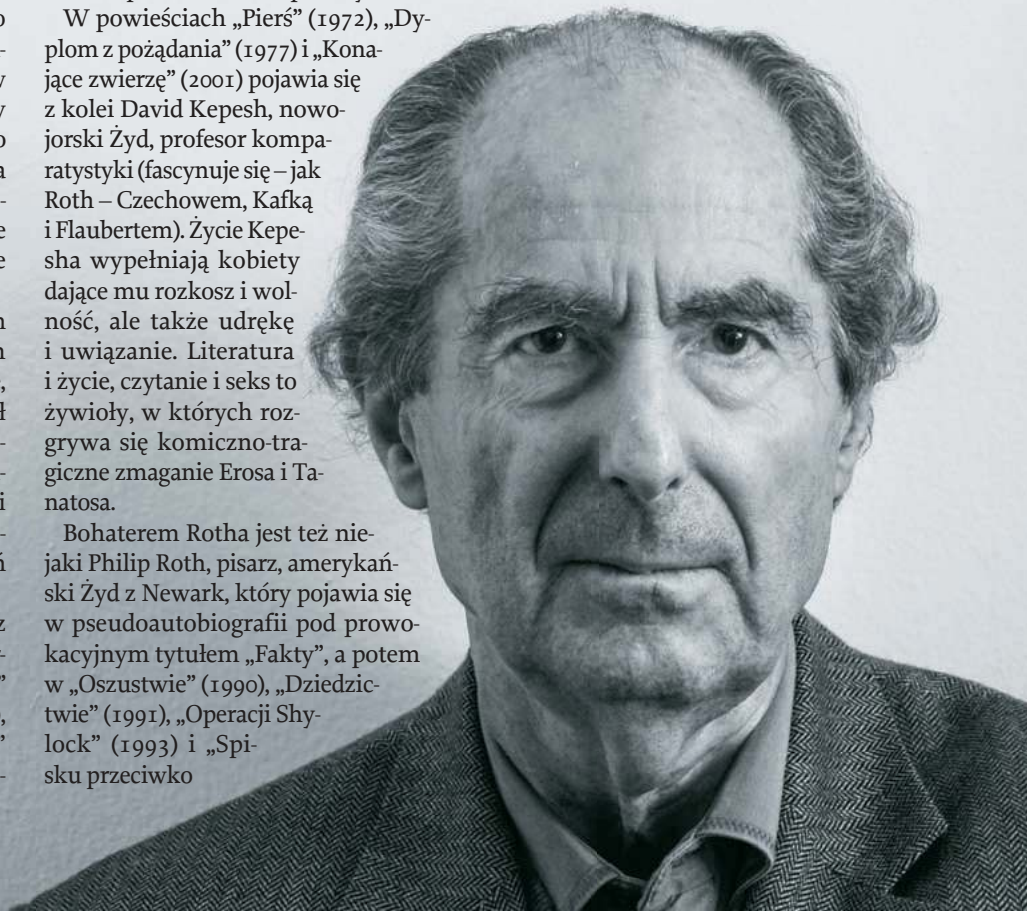
razy dzieciństwo, zmagania z postacią ojca, przygody seksualne i kłopoty pisarza kalającego swe żydowskie gniazdo. Ponad dekadę później Roth publikuje arcydzielną trylogię amerykańską: „Amerykańską sielankę” (1997), „Wysłałem za komunistę” (1998) i „Ludzką szakę” (2000), gdzie Zuckerman nie jest już postacią centralną. Według pewnego recenzenta pisarz nagle odkrył, że poza jego *alter ego* są inni ludzie... Trylogia to zawrotna panorama amerykańskiego wieku XX: rewolucji obyczajowej, szaleństwa maccartyzmu i epoki poprawności politycznej. Zuckerman powraca na plan pierwszy w powieści „Duch wychodzi” (2007): stary schorowany pisarz wraca po latach do Nowego Jorku, a upokarzające dolegliwości, w tym impotencja, są tłem dla obserwacji niewyczerpanego pożądania oraz prób dotarcia do prawdy o sobie.

W powieściach „Pierś” (1972), „Dypłom z pożądania” (1977) i „Konaające zwierzę” (2001) pojawia się z kolei David Kepesh, nowojorski Żyd, profesor komparatystyki (fascynuje się – jak Roth – Czechowem, Kafką i Flaubertem). Życie Kepesha wypełniają kobiety dające mu rozkosz i wolność, ale także udrękę i uwiązanie. Literatura i życie, czytanie i seks to żywioły, w których rozgrywa się komiczno-tragiczne zmaganie Erosa i Tanatosa.

Bohaterem Rotha jest też niejaki Philip Roth, pisarz, amerykański Żyd z Newark, który pojawia się w pseudoautobiografii pod prowokacyjnym tytułem „Fakty”, a potem w „Oszustwie” (1990), „Dziedzictwie” (1991), „Operacji Shylock” (1993) i „Spi-sku przeciwko

Ameryce” (2004). To są książki, od których naprawdę może się zakręcić w głowie. Roth po mistrzowsku spleta w nich rzeczywistość i zmyślenie, realia amerykańskie i alternatywne wersje rzeczywistości (jakże dziś aktualnie brzmiące!). Ich sednem jest doświadczenie niejednoznaczności tego, co zwykliśmy uznawać za „rzeczywistość rzeczywistą”. Pozornie akademickie pytanie „kim jestem?” nabiera w nich sensu bardzo konkretnego i jest dotkliwie nierozstrzygalne.

Rotha stale przepytywano, kim jest, i wczytywano jego życie w losy bohaterów. Kultowy „Kompleks Portnoya” ścigał na niego anateme, a to był przecież dopiero początek cudownego szaleństwa śmiertelnie poważnej auto-bio-fikcji-gry. W publicystyce Rotha powraca narzekanie na prymitywną krytykę, która utożsamia go z bohaterami. Można się zachnąć, że wielki następca Flauberta, od którego nauczył się, że tylko to, co wymyślone, jest prawdziwe, a biedna pani Bovary szlocha w tej chwili w dwudziestu francuskich miasteczkach, nie potrzebował się takimi sprawami przejmować. Oczywiście, że nie, ale przecież Roth nie bronił siebie, tylko literaturę – ten zagrożony gatunek ludzkiej działalności, który w świecie fałszu potrafi powiedzieć prawdę o tym, kim jesteśmy. To nie są błahe sprawy. ©



Dosadna subtelność

JAN BŁASZCZAK

Uważa, że muzyka polega na relacji dotyku i dźwięku. Gra na wiolonczeli, a kiedy sięga po instrumenty elektroniczne, to tylko takie, które mają gałki, klawisze, suwaki – bez dotyku ani rusz.



SŁOWY KONCERT KAROLINY REC DOBIEGAŁ końca. Wiolonczelistka budowała swoje utwory, korzystając z elektronicznych narzędzi, które pozwalały jej zapętlać i multiplikować melodie instrumentu. I wtedy stało się coś zaskakującego. Do melodii wiolonczeli dołączył głos. Sopran, który unosił się delikatnie nad dźwiękami instrumentu. Na początku myślałem, że to jakiś efekt, tudzież nagranie wyemitowane z samplera, by dopiero po chwili zauważyć, że instrumentalistka nachyliła się lekko do nagłaśniającego wiolonczelę mikrofonu i śpiewa.

Delikatną wokalizą artystka rozładowywała napięcie narosłe po kilku intensywnych, obdarzonych rockową dynamiką kompozycjach. Pozwalała również przypuszczać zgromadzonemu, że na debiutanckim albumie zatytułowanym „Resina” nie odsłania wszystkich kart. „Traces”, jej druga solowa płyta, to przecucie potwierdza.

Przekleństwo „prześlicznej”

Występująca pod pseudonimem Resina Karolina Rec należy do – nie tak znowu małej – grupy trzydziestokilkuletnich instrumentalistów i kompozytorów, którzy mają ambiwalentny stosunek do swojego wykształcenia.

Ukończyła gdańską Akademię Muzyczną w klasie wiolonczeli, jednocześnie studiując psychologię: – Bardzo mi zależało, aby nie studiować tylko na Akademii. To jest specyficzna szkoła, która w polskim wydaniu polega głównie na ciągłym siedzeniu w klasie i ćwiczeniu. Trudno wówczas znaleźć motywację do jakiegóż innej formy rozwoju. Nie chciałam dać się zamknąć w klasie. Może dlatego wybrałam kierunek, który otwiera mentalnie.

W programie studiów nie było miejsca na zajęcia z improwizacji, realizacji dźwięku czy muzyki współczesnej. Za sprawą Akademii nie zmieniła jednak swojego zasadniczego poglądu na muzykę, według którego polega ona na magicznej relacji dotyku i dźwięku. Na nierozzerwalnym związku z ciałem, fizycznością. To przekonanie towarzyszy artystce od dziewiątego roku życia, kiedy po raz pierwszy usiadła przy pianinie i dokonała tego odkrycia. Jeśli dziś sięga po elektroniczne efekty, to używa tylko instrumentów, które mają gałki, klawisze, suwaki – bez dotyku ani rusz.

Na studiach napotkała na alternatywę do wizerunku „Prześlicznej wiolonczelistki” z piosenki Skaldów („To jest naprawdę ładna piosenka, ale też przekleństwo dla grających kobiet”) – były to aranżacje fińskiej grupy wiolonczelowej Apocaliptica, których jednak nie

Karolina Rec

potrafiła traktować poważnie. Pomysłu na swoją twórczość musiała poszukać sama. Do czasu, kiedy go znalazła, podejmowała różne prace związane z muzyką, lecz nie z grą na wiolonczeli. Potrzebę budowania relacji pomiędzy ciałem i dźwiękiem realizowała przez dwa lata w Polskim Chórze Kameralnym. Pracowała w biurze Sinfonii Varsovii oraz w firmie dobierającej muzykę do filmów i reklam. Wykonawstwem zajmowała się po godzinach.

Inspiracją do komponowania okazały się dla Rec kontakty z trójmiejskim środowiskiem bliższym rockowej alternatywie niż muzyce klasycznej.

Efemerydy i konkrety

W 2007 r. Rec została polecona Maciejowi Cieślakowi, Michałowi Bieli i Bogusławowi Szarmachowi, którzy założyli właśnie – efemeryczny, jak się później okaże – zespół Kings of Caramel. Mieli plan, aby zaaranżować elegancki pop-rock między innymi na wiolonczelę, więc potrzebowali wsparcia. Nagrany w tym kwartecie album zebrał entuzjastyczne recenzje, ale ważniejszym rezultatem tej sesji było dla Rec spotkanie z Cieślakiem, ikoną alternatywy, liderem Ścianki – jednego z najważniejszych polskich zespołów ostatniego dwudziestolecia. Wiolonczelista złapała z nim wspólny język. Cieślak również ukończył gdańską Akademię.

Trzy lata później gitarzysta i wokalista znów zaprosił Rec do współpracy, której owocem była akustyczna, zaaranżowana na smyczki płyta zespołu Cieślak i Książniczki. Pracując nad aranżami na ten właśnie album wiolonczelista pomyślała po raz pierwszy, że mogłaby zrobić coś na własną rękę. Czasu, aby się oswoić, Rec nie dostała jednak wiele: – Niedługo później odwiedził mnie Michał Biela i poinformował, że ma w planach solowy koncert i ja wystąpię przed nim. Po prostu mi to zakomunikował. Nie było wyjścia, zagrałam swój pierwszy koncert.

– W tamtym czasie nie było jeszcze w Polsce wielu popularnych artystów, którzy grali nieklasyczną muzykę na klasycznym instrumentarium – twierdzi Rec. – Zaczęłam więc wysyłać maile do zagranicznych wytwórni, które wydawały podobne albumy. I spośród tych wydawnictw odpisał do mnie Fat Cat. Okazało się, że pomimo pozycji, jaką sobie wypracowali w świecie, nie utracili ciekawości i wciąż słuchają wszystkich nadesłanych demówek.

Działająca od ponad dwudziestu lat niezależna wytwórnia z Brighton to poważna firma. Nagrywają dla niej m.in. Björk, Sigur Rós czy Animal Collective. W 2001 r. wytwórnia postanowiła otworzyć pododdział specjalizujący się w nowej kameralistyce i tzw. muzyce post-klasycznej. Ta odnoga Fat Cat funkcjonująca pod nazwą 130701 wydała albumy m.in. Maksa Richtera, Hauschki czy zmarłego w tym roku Jóhanna Jóhannssona. Wiele z tych nagrań to bardzo dziś popularny post-minimalizm, po który chętnie sięgają – oswojeni przez Philipa Glassa – producenci filmowi. Richter tylko w ubiegłym roku komponował muzykę do niemieckiego „Powrotu do Montauk”, brytyjskiego „Pocucia kresu” na podstawie powieści Juliana Barnes’a i amerykańskiego westernu „Hostiles” z Christianem Bale’em w roli głównej. Ukrywający się pod pseudonimem Hauschka Volker Bertelmann był nominowany do Oscara w 2016 r. za ścieżkę dźwiękową do filmu „Lion. Droga do domu”. Tragicznie zmarły Jóhannsson miał dwie takie nominacje („Sicario” i „Teoria wszystkiego”). Podpisując kontrakt z Anglikami, Rec znalazła się w elitarnym gronie.

Bez niedomówień

Radości związanej z zainteresowaniem brytyjskiej wytwórni towarzyszył jednak stres. Po podpisaniu kontraktu Rec postanowiła rzucić ówczesną pracę: – To jest bardzo trudne, ale nie mogłabym znaleźć lepszego momentu na podjęcie takiej decyzji. Po wydaniu płyty wytwórnia pytała o moją dostępność, a pracowałam w firmie, która bardzo mnie absorbowała. Od tego momentu próbuję utrzymywać się głównie z muzyki.

Początkowo ciśnienie podnosiły wiolonczeliste także solowe występy, których po premierze przybyło: – Jestem klasycznym produktem szkoły muzycznej, gdzie wyjście na scenę zawsze wiąże się z ogromnym stresem. Ta świadomość presji ciąglej oceny wdrukowuje się głęboko. Trzeba się mocno skupić na przeformułowaniu myślenia o graniu muzyki, żeby złapać zupełnie nieakademicką radość z dzielenia się nią z ludźmi.

W porównaniu z debiutancką płytą, tegoroczne „Traces” (ma się ukazać w Fat Cat w lipcu) jest gęściej wypełnione dźwiękami. Centralnym punktem nagrań pozostają melodie skomponowane na wiolonczelę i głos, ale artystka śmieiej posłu-

guje się tu elektroniką. Na „Traces” nie znajdziemy rytmicznych bitów, ale pojawiają się potężne pogłosy („In In”), zmieniające barwę dźwięków efekty („Lethe”) oraz ciężkie drone’y („Leftover”), których nie powstydziliby się Jóhannsson.

– Zaczęłam się dusić w tej subtelności, która charakteryzowała moją muzykę – przyznaje Rec. – Miałam potrzebę nagrania utworów, które będą bardziej wyraziste, intensywne, ciężkie. Na „Traces” również nie brakuje niuansów, ale nie stanowią one istoty tej płyty. Mniej tu niedopowiedzeń.

Intensywność tej muzyki połączona z post-minimalistyczną melodyjnością i delikatnym sopranem potrafi chwycić za gardło.

Okaleczona duchowość

Album „Traces” promuje teledysk do utworu „Procession”, w którym obserwujemy ruiny budowli i zniszczone, niekompletne rzeźby. Fascynacja tymi ostatnimi zbiegła się z pracami nad płytą. Ich wpływ był tym silniejszy, że – jak przyznaje artystka – w momencie komponowania jest szczególnie wyczulona i wszystko, co ogląda, słucha czy czyta, oddziałuje na nią ze zwiększoną siłą.

Rec zaczęła się zastanawiać, dlaczego te okaleczone rzeźby wywołują w niej takie emocje. Zaczęła o nich myśleć jako o symbolu ludzkiej pamięci – wybiórczej, skorej do wypierania trudnych historii. Wiele z tych figur miało religijny kontekst. Ogromne wrażenie zrobił na Rec między innymi pozbawiony rąk św. Jerzy z Muzeum Narodowego w Gdańsku, który góruje nad kadłubkiem smoka.

– Zdałam sobie sprawę, że to może mieć związek z szukaniem transcendencji w muzyce. I ogólniej, próbami realizacji potrzeb duchowych we współczesnych realiach. Mam czasem wrażenie, że te potrzeby bywają zaspokajane w trochę nieoczywisty i pozornie odległy sposób (sporty ekstremalne, mówcy motywacyjni itp.). Niezależnie od tego, czy uznamy je za echo ewolucji, czy psychologiczną konieczność, szukamy sposobów ich realizacji i myślę, że mnie taką możliwość daje właśnie muzyka.

O tym, czy kompozycje Karoliny Rec mogą mieć podobny wpływ na odbiorców, będzie się można przekonać 3 czerwca w warszawskim klubie Powidoki, gdzie artystka premierowo wykona utwory z zaplanowanej na lipiec płyty. ©



„Westworld”, serial HBO, sezon drugi

Nudno nie będzie!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Żyjemy w czasach bezprecedensowych rewolucji. Przyszłości nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. A rzeczywistości ubywa, albo może tylko przestaliśmy rozumieć, czym ona jest.

PIERWSZĄ SERIĘ „WESTWORLD” OGLĄDAŁEM na HBO z rozczarowaniem. Irytowały mnie ograniczenia, jakie twórcy nałożyli na swą wyobraźnię i wizję przyszłości, ale serial ratowała przemyślana struktura narracyjna. Innymi słowy: choć świat „Westworld” był nudny – osadzono w nim ciekawą historię. Był to wprawdzie poważny grzech przeciw regułom gatunku, ponieważ *science fiction* łatwiej wybaczają słabe historie niż nieprzekonujące pomysły na świat, ale serial dało się jeszcze oglądać.

W drugiej serii twórcy postanowili najwyraźniej uspokoić kompozycję, bo opowiadana historia zrobiła się równie nudna jak świat przedstawiony i trudno wręcz wytrzymać przed ekranem.

To jest symptomatyczna porażka. Zastanówmy się, czego ona dowodzi.

Science fiction, którego nie interesuje przyszłość

„Westworld” w zręczny sposób nawiązuje do licznych mitów poruszających najgłębsze struny naszego kulturowego DNA. Mamy tu gnostycką wizję fałszywego świata w rękach okrutnego demiurga, umiejętnie eksploatowany motyw labiryntu czy klasyczny topos „lalki, która chciałaby być człowiekiem” nawiązujący w równym stopniu do Pinokia, jak i do mniej lub bardziej udanych poprzedników w ramach gatunku: „Łowcy androidów” Ridleya Scotta czy „AI: sztucznej inteligencji” Stevena Spielberga. Po-

nadto nieoczywista strategia narracyjna i sprytnie manipulacje czasem opowieści sprawiają, że „Westworld” (a przynajmniej jego pierwszą serię) oglądać trzeba jak zagadkę – ostrożnie dopasowując do siebie poszczególne porwane wątki.

A jednak śledząc zmagania przebranych rewolwerowców na zmyślonym Dzikim Zachodzie, miałem przez cały czas wrażenie, że twórcy serialu wpadli w tę samą pułapkę, którą sami zastawili na widzów i bohaterów. Wszystkie te metafory, ukryte znaczenia i labirynty są tu głównie po to, żebyśmy nie zauważyli oczywistej, strasznej prawdy o „Westworld”. Proponowana w serialu wizja przyszłości jest kompletnie niewiarygodna. Więcej nawet: jest wielką maskaradą, chroniącą nas przed spojrzeniem w twarz teraźniejszości. Bo nasza teraźniejszość jest znacznie bardziej nowoczesna niż ta serialowa przyszłość!

Czy naprawdę niemal 20 lat po „Matriksie”, w dobie coraz dostępniejszych technologii wirtualnej czy rozszerzonej rzeczywistości, ktokolwiek mógłby uwierzyć w sensowność budowy parku rozrywki, w którym statystami będą pieczołowicie konstruowane z plastiku i metalu mechaniczne lalki? Czy któremukolwiek widzowi wydaje się prawdopodobne, że

te lalki będzie się po każdym dniu przygód starannie naprawiać, latając dziury po kulach? A wreszcie, że roboty się zbuntują i zastrzelą nas z rewolweru?

„Nie interesuje mnie przyszłość – tłumaczy w jednym z najnowszych odcinków bogaty inwestor – nie interesują mnie fantazje. Interesuje mnie tylko rzeczywistość” – te słowa oddają moim zdaniem istotę „Westworld” i sedno jego porażki w ramach gatunku *science fiction*. Wyprawy do świata pionierów powinny się przecież odbywać w rzeczywistości wirtualnej. O ile bardziej wiarygodny byłby scenariusz buntu statystów czy nawet narodzin inteligencji w świecie wirtualnym, gdzie do czynienia mamy nie z lalkami, tylko z uczącymi się programami.

Chyba że celem twórców serialu wcale nie było snucie wizji o możliwych przyszłościach, lecz uśmierzanie fundamentalnej obawy towarzyszącej naszej teraźniejszości. W serialu, którego cały urok polega na manipulacji czasem i oszukiwaniu co do tego, co jest przyszłością, co przeszłością, a co teraźniejszością, byłoby to sensowne...

Lęk przed utratą Realnego

Każdego dnia z naszego otoczenia niepostrzeżenie znikają kolejne przedmioty. To rzeczywistość powoli przeprowadza się do świata wirtualnego. Książki i czasopisma z półek i kawowych stolików migrują na ekrany czytników, telefonów oraz komputerów. Płyty CD ustępują miejsca już nawet nie plikom mp3, lecz subskrypcjom w serwisach streamingowych. Znika gotówka, wirtualizują się stosunki międzyludzkie, w miarę jak rodzina, miłość i przyjaźń znajdują coraz ważniejsze miejsce w mediach społecznościowych.

Nawet polityki nie robi się już dziś na protestach i marszach poparcia, ale w mediach społecznościowych. A raczej: marsz czy protest istnieją tylko o tyle, o ile znajdują swoje odbicie i potwierdzenie w przestrzeni wirtualnej. Realny świat wokół nas pustoszeje. Prawdziwe szanse i prawdziwe zagrożenia przenoszą się na Facebooka, Snapchata albo Spotify.

„Westworld” na pozór ten ruch dostrzega. W rzeczywistości – odgradza się od teraźniejszości murem. Choć wygląda na to, że ostatecznie najcenniejszą walutą w serialowym świecie okazać się dane użytkowników („To miejsce to jedna wielka fantazja. Nic tu nie jest prawdziwe, oprócz gości”), to kluczowa wciąż pozostaje ma-

terialność „Westworld”, zawarta także w jego konsekwentnej, epatującej makabrą estetyce. Szokowanie syntetyczną krwią i plastikowymi bebechami można odczytywać jako rozpaczliwe wołanie o powrót Realnego. Potwierdza to slogan, którym jeden z bohaterów zachwala w nowej serii tytułowy park rozrywki: „Każdy teraz goni za stworzeniem wirtualnego świata. My chcemy zaproponować coś bardziej... namacalnego”.

„Westworld” przenosi nas więc na Dzikie Zachód także w sensie metaforycznym. Zamiast opowiadać o możliwych przyszłościach, żeruje na naszej tęsknocie za przeszłością, w której walkę rozstrzygały pistolety, a dobro i zło miały swój wyraźny materialny wymiar. Twórcy straszą nas buntem lalek, żebyśmy nie musieli spoglądać w oczy znacznie groźniejszym i bardziej niepewnym (ale też znacznie ciekawszym!) scenariuszom, które rzeczywistość już zaczęła dla nas pisać.

Niezbymodyfikowany węgiel

Lęk przed przyszłością jest dla *science fiction* zabójczy. Jest tym, czym dla powieści marynistycznej byłby lęk przed pływaniem, a dla kryminału – lęk przed zbrodnią. To jasne, że najlepsze *science fiction* opowiadały o teraźniejszości, ale robiły to zawsze inteligentnie eksploatując możliwe scenariusze przyszłości czy nawet alternatywne rzeczywistości. Tam, gdzie nie ma odwagi ukazania istotnej różnicy, nie ma też miejsca na wypracowanie dystansu, z którego wartościowe *science fiction* opisywało rzeczywistość.

Niestety, wygląda na to, że jest to choroeba, na którą zapadli nie tylko twórcy „Westworld”, lecz ten gatunek jako całość. Równie sugestywnych przykładów braku odwagi w fantazjowaniu dostarcza np. niedawna serialowa superprodukcja Netflix. „Modyfikowany węgiel” („Altered Carbon”) przeszedł w Polsce niemal bez echa. I nie bez przyczyny, bo wszystkie wady „Westworld” powtarza w wersji z wielokrotniej.

„Modyfikowany węgiel” opowiada o odległej przyszłości, w której możliwe staje się tworzenie kopii zapasowych umysłu. Teoretycznie oznacza to nieśmiertelność – skopiowany umysł można potem wszczepić w nowe ciało, zachowując ciągłość. Niestety, choć nasze praprawniki przedstawione w serialu nauczyły się kopiować umysł i przenosić go na ze-

wewnętrzny nośnik, w międzyczasie zapomniały jednak o starożytnej potężnej technologii, która nazywa się połączenie internetowe i umożliwia trzymanie kopii zapasowej w chmurze. A raczej nie zapomniały, tylko radykalnie podniosły jej ceny, bo na nieśmiertelność w chmurze mogą sobie pozwolić jedynie nieliczni multimiliarderzy. Pozostali muszą się zadowolić zawodną technologią przypominającą dysk twardy noszony w kręgosłupie. Wystarczy strzał lub upadek z dużej wysokości i żegnaj, wieczne życie. W dodatku nawet jeżeli jakimś cudem twoja kopia zapasowa ocaleje, to i tak musisz czekać, aż zwolni się jakieś ciało – a wtedy mogą cię wszczepić w starego obleśnego faceta, chociaż „umarłaś” jako dwunastoletnia dziewczynka potrącona na przejściu dla pieszych. Syntetyczne ciała istnieją, ale są absurdalnie drogie i służą wyłącznie dekadentckim rozrywkom. Ożywienie kogoś w wirtualnej rzeczywistości jest możliwe, ale poza jedną bohaterką nikt nie korzysta z tej możliwości.

Czyli zupełnie tak jak w przypadku „Westworld”! Boimy się nieśmiertelności, wirtualności czy radykalnej zmiany stosunków społecznych, maskując to wszystko warstwą bezsensownej, ignorującej uwarunkowania technologiczne przemocy. Nie chcemy sobie wyobrazić świata bez bebechów i przemocy, bo byłby to świat, w którym wiele innych rzeczy też musiałoby się zmienić.

W obu serialach mamy do czynienia z absurdalnym światem, w którym technologie dostępne czy rozwijane już dziś zostają zignorowane tylko po to, żeby napędzić fabułę, której ważnym elementem są morderstwa i ryzyko śmierci. A przede wszystkim po to, by zbudować rzeczywistość, w której wciąż istnieje niedobór podstawowych towarów i radykalne nierówności społeczne. Prędzej bowiem uwierzmy w nieśmiertelność niż w koniec kapitalizmu.

Przyszłość nie została odwołana!

Zgubiliśmy wyobrażoną różnicę, która leżała u podstaw *science fiction*. Straciliśmy zdolność fantazjowania o tym, że przyszłość będzie inna. Nick Srnicek i Alex Williams opisują to zjawisko w fascynującej książce „Inventing the Future”. Według badaczy brak odwagi do fantazjowania o przyszłości podtrzymuje *status quo*: „Najbardziej wpływowym, a zarazem ➔

→ subtelnym aspektem hegemonii jest dziś ograniczenie, jakie nakłada ona na naszą zbiorową wyobraźnię. Mantra »nie ma alternatywy« wciąż brzmi wiarygodnie (...). To istotna różnica w stosunku do długiego wieku dwudziestego, kiedy to kwitły utopie i zuchwałe plany na przyszłość. Obrazy lotów kosmicznych, na przykład, były kodem, za pomocą którego ludzkość opowiadała o pragnieniu kontrolowania swego przeznaczenia”. Dziś, jak piszą Srnicek i Williams, „świat pozostaje zamknięty w ramach parametrów realizmu kapitalistycznego. Przyszłość została odwołana”.

Jesteśmy sobie w stanie wyobrazić świat z szybszymi komputerami, latającymi samochodami (które też będą stały w korkach), bardziej chciwymi korporacjami, bogatszymi bogaczami i biedniejszymi biednymi. Ale wszystko jest tak jak dziś – zmieniają się najwyżej dekoracje.

To paradoks, bo żyjemy w przededniu bezprecedensowych rewolucji (albo i w ich trakcie). Na horyzoncie rysują się wyzwania związane ze sztuczną inteligencją, robotyzacją, wirtualną rzeczywistością, a może nawet tworzeniem kopii zapasowych zawartości mózgu. Albo świata bez śmierci, która z kolei, choć odwieczna, może wkrótce zmienić swoje znaczenie?

Nawet w tych elementach *science fiction*, które już zmaterializowały się wokół nas, dostrzegamy jedynie ciekawostki. Jak w przypadku bitcoina, który postrzegamy jako kolejną spekulacyjną ciekawostkę w rodzaju zmytowanej „gorączki tulipanowej”, a nie znak odebrania państwu narodowemu i instytucjom międzynarodowym prawa do kontroli nad emisją i obiegiem pieniądza – jednego z najważniejszych monopolii, które od starożytności wyznaczały strukturę władzy.

Science fiction zawsze rozbijało *status quo*, pokazując, które cegiełki gmachu rzeczywistości obluźują się najszybciej. Im stabilniejsza wydawała się rzeczywistość, tym ważniejszą rolę pełniła taka wyobrażeniowa dekonstrukcja. Dziś przyszło nam żyć w naprawdę ciekawych czasach. Pewnie dlatego *science fiction* robimy takie nudne.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



MELINDA SUE GORDON / MONOLITH FILMS

Diane Keaton, Candice Bergen, Jane Fonda i Mary Steenburgen w filmie „Pozycja obowiązkowa”

Niegrzeczna jesień

ANITA PIOTROWSKA

Coraz bardziej popularne komedie romantyczne z bohaterami w wieku mocno dojrzałym to fenomen ostatnich lat.

SPOŁECZEŃSTWA ZACHODNIE SIĘ STARZEJĄ, więc coraz większe jest zapotrzebowanie na filmy dla seniorów i o nich traktujące. Liczby mówią same za siebie: taki „Hotel Marigold” (2011) Johna Madдена, opowiadający o grupie brytyjskich emerytów podróżujących do Indii, kosztował 10 mln dolarów, zarobił aż 136 i doczekał się niemal tak samo kasowego sequela. Producenci już wcześniej wyczuli koniunkturę: filmy Nancy Meyers „Lepiej późno niż później” (2003) i „To skomplikowane” (2009), czy „A właśnie, że tak!”

(2007) Michaela Lehmana przyniosły nie tylko pierwszoplanowe role aktorskim weterankom i weteranom – Meryl Streep, Diane Keaton czy Jackowi Nicholsonowi. Przypominając, że „zawsze jest czas na miłość” (by zacytować tytuł innej tego typu komedii), spełniały funkcję terapeutyczną, częściej „usypiającą”, najczęściej zaś po prostu rozrywkową. Przede wszystkim jednak, przy całej swojej umowności i bajkowości, pozwalały dojrzałym widzom odnaleźć na ekranie własną reprezentację.

Badacze zajmujący się tym zjawiskiem zwracają też uwagę na pewne wyczerpanie formuły komedii romantycznej z udziałem młodszych bohaterów. W czasach, kiedy romansowanie przeniosło się do sieci, ten gatunek w swej klasycznej postaci staje się anachroniczny. Poza tym rom-comy oskarżane są, nie tylko z pozycji feministycznych, o produkowanie fałszywych wyobrażeń na temat związków. Kobiety, które są głównymi adresatkami tego rodzaju filmów, budują swoje oczekiwania wobec partnerów, odwołując się nieświadomie do przedstawionych na ekranie romantycznych fantazji. A ich przekaz bywa zwykle stereotypowy: najważniejsze w życiu kobiety jest znalezienie mężczyzny. Cała filmowa intryga, pełna rozlicznych nieporozumień



i przeszkód, podąża właśnie w tym kierunku. Tymczasem komedie romantyczne opowiadające o miłosnych perypetiach ludzi starszych każą się traktować z jeszcze większym przyzwyczajeniem oka. Dojrzały widz, mający kawał życia za sobą, nie tak łatwo da się zainfekować romantyczną mrzonką. Może za to skonfrontować się z czymś, co do tej pory lekceważył czy wypierał – chociażby z własną seksualnością, która m.in. dzięki komediom romantycznym o wesołym życiu starszuchów przestaje być tematem tabu.

Na ekrany wszedł właśnie film „Pozycja obowiązkowa” Billa Holdermana, który zgodnie z obietnicą polskiego tytułu dotyczy życia erotycznego i który raz jeszcze stawia na seniorów. Jako rom-com posiada wszystkie słabości, ale i wszelkie staroświeckie uroki tego gatunku. Oto cztery dobrze sytuowane panie z Kalifornii: Vivian (Jane Fonda, rocznik 1937), Diane (Diane Keaton, 1946), Sharon (Candice Bergen, 1946) i Carol (Mary Steenburgen, 1953) pod wpływem książki „50 twarzy Greya” przechodzą spóźnioną bądź powrotną rewolucję obyczajową.

Oczywiście, mogły wybrać lepiej. Oryginalny tytuł filmu brzmi bowiem „Book Club”, jako że bohaterki tworząc dyskusyjny klub książkowy, suto zresztą zakra-

piany winem, wyraźnie podnoszą statystyki amerykańskiego czytelnictwa. Ale to właśnie pikantny bestseller z konserwatywnym morałem („pięćdziesiąt milionów ludzi nie mogło się pomylić!”) odmienia ich życie. Bo niezależnie, czy jesteś właścicielką luksusowego hotelu, sędzią federalną, szykowną wdową „upupianą” przez dorosłe córki czy roztańczoną mężatką, której małżonek cierpi na „autyzm testosteronowy” (określenie pożyczone od Olgi Tokarczuk), na miłość, jakkolwiek rozumianą, nigdy nie jest za późno. Nawet jeśli ostatnią randkę miałas za czasów Nixona, zawsze możesz spotkać przystojnego pilota (Andy Garcia, rocznik 1956), wielbiciela sprzed 40 lat (Don Johnson, 1949) czy kulturalnego pana z portalu randkowego. Bo seniorzy też przecież flirtują w sieci.

Scenariusz tej sprośnej, zdobionej „na bogato” wydmuszki zbudowany został przede wszystkim na galopujących puentach i bon motach. „Jaskinia zapomnianych snów” – tak jedna z bohatererek określa okolice intymne starzejącej się kobiety i nie trzeba dodawać, że kino Wernera Herzoga to dla „Pozycji obowiązkowej” antypody. Nie mogło zabraknąć slapstickowych dowcipasów na temat viagry czy bielizny wyszczuplającej. Chwilami można się nawet zastanawiać, czy taka bezpardonowość oznacza walkę z ejdżyzmem (dyskryminacją ze względu na wiek) czy raczej podsycanie go poprzez infantyлизację lub stereotypizację.

Jedno trzeba Holdermanowi przyznać: racząc swojego widza mniej lub bardziej wyszukany humorem i prezentując realia kosmicznie wydumane z perspektywy emeryta, nie tylko polskiego, zahacza jednak o problemy całkiem realne. W błażej opowieści o niegrzecznej, acz barwnej jesieni życia można dopatrzeć się elementów społecznej satyry – na maskowane troską dyscyplinowanie dzisiejszych seniorek i seniorów, na ich rozminięcie w czasie warunkowane biologią i rolami płciowymi, pośrednio zaś także na dzisiejszą kulturę popularną, która cynicznie eksploatuje pragnienia i potrzeby dojrzałych widzów. A zarazem oswaja z nimi tych, którzy wcześniej czy później znajdują się na ich miejscu. ©

POZYCJA OBOWIĄZKOWA (*Book Club*)
– reż. Bill Holderman. Prod. USA 2018.
Dystryb. Monolith Films.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [2 – 8 VI]

1. Bliskość



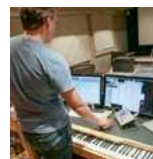
Dramat, reż. Kantemir Bałagow, Rosja 2017, Cineman VOD

Opisywany niedawno na tych łamach debiut reżysera z Republiki

Kabardyjsko-Bałkarskiej to historia niewygodnej bliskości – rodzinnej, erotycznej i etnicznej. Młoda Żydówka z Nalczyka w niespokojnych dla Kaukazu późnych latach 90. staje się zakładniczką lokalnych obyczajów i uprzedzeń; mimo to próbuje walczyć o swoją niezależność.

2. Score: muzyka filmowa

Dokumentalny, reż. Matt Schrader, USA 2016, Canal+ Discovery, 2 VI, 17.50



Na przykładzie hitów hollywoodzkiego kina: serii z Jamesem Bondem, „Gwiezdnych

wojen” czy „Piratów z Karaibów”, poznajemy kulisy pracy największych speców od ścieżki dźwiękowej. Hans Zimmer, John Williams czy Alexandre Desplat pokazują, w jaki sposób powstaje ich muzyka i jak staje się integralną częścią filmu.

3. Cmentarz wspaniałości

Dramat, reż. Apichatpong Weerasethakul, Tajlandia i inne 2015, Ale kino+, 7 VI, 20.10



Tajski reżyser, jeden z ulubieńców festiwalu w Cannes i wrocławskich Nowych Horyzontów, tworzy kino na

granicy jawy i snu, zmysłowości i duchowości, kręcone na bardzo spowolnionych obrotach. Tym razem opowiada o kobiecie, która pracuje jako wolontariuszka w szpitalu dla pogrążonych w śpiączce żołnierzy i nawiązuje z nimi tajemniczy kontakt.

4. Adam Bałdych i Helge Lien Trio

Koncert, reż. Mathieu Mastin, Francja 2017, mezz, 7 VI, 23.30



Podczas listopadowego festiwalu jazzowego w londyńskim Cadogan Hall polski wirtuoz skrzypiec wystąpił wraz z norweskimi

pianistą i towarzyszącymi mu muzykami. Połączenie jazzu z polskim i skandynawskim folklem zaowocowało dwa lata wcześniej ich wspólną płytą zatytułowaną „Bridges”.

JAN

Klata: Top fit



JAK WIDZIMY PO OSTATNICH WYDARZENIACH w Polskim Państwie Nadziemnym, zdrowie jest przeceniane. Nie warto się do niego przywiązywać, fetyszyzować, stawiać na piedestale, czy choćby drabinie. Czy najpotężniejszy człowiek w państwie może być trochę niezdrowy? Czy Władca Marionetek może mieć chorą, dajmy na to, nogę? Jeśli jest to, przypuśćmy, noga, to o wiele lepiej się składa, niż gdyby wystąpił przypadek chorobowy, powiedzmy, ręki Władcy Marionetek.

Więc noga. Kamień z serca. Nie jest najgorzej. Mogło być coś utrudniającego przekaz słowny, wtedy byłby problem z permanentnym zarządzaniem kryzysowym. Natomiast komunikacja niewerbalna jest przeceniana, nogą nie trzeba koniecznie gestykulować przekazując rozkazy, obejdzie się. Na szczęście Naczelnik nie gra w piłkę, więc wyniki repery w Rosji nie są zagrożone.

Czasem zresztą lepiej być takim po ludzku nie za zdrowym, żeby nie budzić zawiści suwerena. Polska nie Kalifornia, nie będzie Schwarzenegger pluł nam w twarz. Nie po to uczyliśmy Francuzów jeść widelcem, żeby jakiś odpowiednik liberyjskiego prezydenta-piłkarza zgrywał Naczelnika. Weah na Nowogrodzką? Nie przejdzie, nie ma opcji. Jörg Haider podobno biegał maratony, i co? Natomiast Mołotow nosił zaszczytny przydomek „Kamienny Zadek”, i daleko zaszedł, na pewno dalej niż Haider. Polski przywódca musi trochę cierpieć dla Polski, trwać w bólu dla ojczyzny (rym do „blizny”), no i dużo, dużo siedzieć. Byle triatlonista na fotelu prezesa PiS czy pomniejszego premiera lub prezydenta budziłby uzasadnioną zawiść, wyglądałby w Polsce niepoważnie, tutaj ludzie władzy muszą się prezentować godnie, z lekka zbolale, a nie paradować w lycrach. Rodzi się podejrzenie, że cała afera z nogą Naczelnika została nakręcona w celu pozytywnego spinu, zaprezentowania ludzkiej twarzy półboskiego herosa politycznych szachmatów. Kolejny finezyjny ruch?

W powieści Philipa K. Dicka pod jakże polskim tytułem „A teraz zaczekaj na zeszły rok”, przywódca Ziemian, niejaki Gino Molinari, odwleka katastrofę negocjacji z potencjalnym najeźdźcą, przemysłnie grając na zwłokę. Psychosomatyczną chorobą o podłożu hipochondrycznym chronił życie wielu ludzi. No, ale u Dicka chodziło o tragiczne wybiegi słabszego sojusznika, pomiędzy młotem a kowadłem potężnych szermierzy, nie o geopolityczną sytuację Polski-Królowej Międzymorza. ©

Lektor: Wskrzeszanie zabitego świata



■ **Maria Stauber**
MUSISZ TAM WRÓCIĆ.
HISTORIA PRZYJAŹNI LUSI GELMONT
I ZUZANNY GINCZANKI,
Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2018, ss. 272

ZMARŁA NIEDAWNO, 6 MARCA, niedługo przed setnymi urodzinami. Doktor Lusja Gelmont-Stauberowa, ceniona lekarka, kochana przez artystów i pisarzy, zmuszona w 1969 r. do wyjazdu z Polski, ale na emigracji podtrzymująca dawne kontakty i nawiązująca nowe, z młodszymi pokoleniami z kraju. Przeżyła o ponad 70 lat swoją przyjaciółkę z czasów dzieciństwa i młodości – bo

Zuzanna Gincburg, czyli poetka Zuzanna Ginczanka, zginęła najprawdopodobniej na początku maja 1944 r. w obozie w Płaszowie. Teraz Maria Stauber, córka doktor Lusi, rekonstruuje losy obu przyjaciółek. To jest książka pisana emocjami, o czym decyduje już sam sposób narracji: monolog córki skierowany do tracącej pamięć matki. „Przedwczoraj nagle upadłaś i zламаłaś sobie

biodro. Pytasz mnie, Lusi, lękliwie: »A moja mama o tym wie?«”. Bo 99-letnia Lusja bierze córkę za swoją siostrę Manię i nie pamięta, że ich matkę zastrzelono. Teraz to Maria Stauber musi odtwarzać przeszłość, porządkować fakty, sięgając po dawne rozmowy z rodzicami – Lusią i Markiem Stauberem, też lekarzem, po relacje i dokumenty (ich lista jest w bibliografii), czasem posiłkując się wyobraźnią. To jest opowieść o przypadku, który sprawił, że dwie żydowskie rodziny z Kijowa trafiły po rewolucji akurat do wołyńskiego Równego. Że dwie dziewczynki znalazły się w jednym przedszkolu, a potem zdały do tego samego gimnazjum rządowego imienia Kościuszki. Tylko wybór polszczyzny nie był przypadkiem, bo dalsze koleje życia? Nie można było przewidzieć, kto umrze wcześniej – jak brat Lusi, który

wrócił do Kijowa i zginął w stalinowskich czystkach; kto później – jak pierwszy mąż Lusi Izaak Horowitz, zgarnięty z ulicy podczas pogromu we Lwowie; kto jeszcze później – jak babka Zuzanny Chaja (Klara) Sandberg, właścicielka składu aptecznego, i matka Lusi Bluma, zabite w akcjach likwidacyjnych rówieńskiego getta. Zuzanna przeżyła je o blisko trzy lata. To jest historia o przyjaźni i wiernej pamięci. Wskrzeszająca przedwojenną codzienność prowincjonalnego wielonarodowego miasta i życie literackiej Warszawy, rozmów w Ziemiańskiej i Zodiaku toczonych w cieniu spodziewanej wojny i rosnącego antysemityzmu. „Tobie, Gino – mówił do Ginczanki Gombrowicz, odprowadzając ją do domu – radzę zaopatrzyć się na tę wojnę w truciznę”. Profetyczny czarny humor... ©P

PAWEŁ

Bravo:

Wióry rozkoszy



DO ŚWIĘTEGO JANA JESZCZE BEZ MAŁA MIESIĄC, ale dla mnie już sezon szparagowy dobiegł końca. Truskawkowe lato za oknem – już mam dosyć skrobienia, siadł mi entuzjazm na ten z lekka ścierkowany zapach i ulotny, ale charakterny łądowy smak,

do którego właściwie nie sposób dobrać wina. Zresztą dopiero to zadanie dowodzi, jak wątpliwa jest ta cała szparagowa energia – każde wino o jako takim cieple i krągłości ją przykryje jak pieczywa ciążko chudzielca, a wino zwiewne i wychylone w stronę kwasowości zderzy się przykro z ich przenikliwą goryczą.

Aby jednak zwiastuna wiosny w kuchni pożegnać godnie, umyśliłem połączyć przyjemność z obowiązkiem: oto kierownictwo redakcji wskazało na mnie jako dyżurnego przy roboczym obiedzie czwartkowym, więc bez wahania odpowiedziałem: risotto szparagowe! Łatwo przygotować półprodukty wcześniej, można potem zrobić, wydać oraz spożyć w sposób, który nie wymaga bogatej zastawy, stołów, świeczników i obrzączek do serwet. Redakcja na Wiślniej jest wszak miejscem przychylnym dobremu myślowi i uczynkowi, jednak w rankingu trudnych przestrzeni, w których przyszło mi przez te lata uprawiać partyzancki catering, zajmuje wysoką pozycję.

Kleparz tym razem mnie zawiódł. Szparagi stamtąd wymęczone, chuderlawe. Ryż na szczęście miałem przedni, wyciągnięty od kolegów z włoskiej knajpy – odmiana *vialone nano* spod Verony, z niewiadomych przyczyn nieobecna w polskim handlu. I kiedy tak kończyłem

już mieszać w kotle, odurzony oparami warzywno-szparagowego wywaru, nasłuchując z sąsiednich pomieszczeń krzątający koleżeństwa przy kolumnach numeru, który właśnie kończycie czytać, zrobiło mi się żal z obawy, że risotto wyjdzie jakieś oklapłe, przasne, jak mleczna zupa z ryżem, która odbija mi się, ilekroć terapeuta dobiera mi się do traum z dzieciństwa. Cała moja nadzieja spoczywała w sporym klocku parmezanu. Tarłem namiętnie, szybko i na akord – miało być tego dużo, wielka miska wiórów na kilo ryżu. I stało się to, co się miało stać: efekt wow, wniebowzięcie i spełnienie.

Stoi za tym tradycyjna mądrość włoskich mam i babć – wszystko posypuj parmezanem, jeśli nie pływało w morzu (a i to posypuj, jak nikt nie patrzy). Ale i całkiem nowoczesna

nauka o kwasach i nukleotydach. Umami, tak się zwie ten jakoby piąty smak, którego parmezan dostarcza obficie dzięki wysokiej zawartości kwasu glutaminowego. Tego samego, którego sól (glutaminian sodu) jest esencją wszystkich proszków do poprawiania smaków oraz kuchni azjatyckiej. Do dziś nie jestem przekonany o jego istnieniu. Czy jest dającym się wydzielić empirycznie przeżyciem wzbudzoną przez kubki językowe, a nie tylko emblematem naszej bezradności poznawczej wobec smaków dalekowschodnich? Tych wszystkich wodorostów, fermentowanej soi i grzybków o dźwięcznych nazwach, które zawsze mi się mylą z imionami mistrzów drzeworytu.

No bo słodki, słony, kwaśny i gorzki – to wiadomo. Niedefiniowalne pierwiastki smaku. Tymczasem o umami każą mówić „mięsny”, „rosołowy”, „wypełniający usta”, „aksamitny”, „dający rozkosz”. Brzmi to jak mrzonka o znalezieniu powtarzalnej formuły: dodaj szczyptę złotego proszku, a cokolwiek podasz, uniesie gości do nieba.

Skoro zaś jest to obecne i wykrywalne także w wielu europejskich, oswojonych składnikach, takich jak pomidory czy właśnie parmezan (albo starożytny rzymski sos *garum*), to jakim cudem trzeba było czekać, aż nieco ponad sto lat temu Japończycy ustalili jego istnienie? A może to tylko przereklamowana, reakcja ciała na pewne łańcuchy organiczne, rodzaj wtórnej odmiany słoności – podobnej do tej, jaką odnajdujemy w niektórych dobrych białych winach? Raczej zatem metasmak, coś podkreślającego inne, aura rozświetlająca mózgowe odbicie posiłku silniejszą barwą. To pasuje do sposobu przeżywania naszej codzienności, do której z wszelkich stron na siłę chcemy wstrzyknąć botoks, bo w stanie zwyczajnym zostawia nas z poczuciem, że mamy wszystkiego za mało i nie takie jak na obrazku.

Aż dopiero miny koleżanek i kolegów w zeszły czwartek zasiały we mnie ziarno zwątpienia: może naprawdę ten parmezan pozwolił im przeżyć coś istotnego? A może po prostu dobrze mi wyszło to risotto i lubią, kiedy ich karmię?

Spośród europejskich składników wysoki wskaźnik umami mają pomidory, zwłaszcza te suszone. Zrobimy zatem



ciekawe, dość lekkie, dobre na upały risotto z ich pośrednim udziałem. 300 g **suszonych pomidorów** (ale nie z oleju, lecz takich suchych) gotujemy w litrze wody przez pół godziny. Odcedzamy, pomidory mogą się przydać potem do sałatki. Siekamy małą **cebule**, podduszamy krótko na parze łyżką **oliwy**, wrzucamy 320 g **ryżu**, krótko prażymy (miesząc, żeby się nie przypaliło), następnie podlewamy chochelką wrzącej wody po pomidorach, dalej gotujemy jak każde risotto, stopniowo dolewając tej wody, w miarę jak ryż „pije”. Kiedy będzie już miękki, możemy dodać **parmezan**, ale można spróbować czegoś chudsze – paru łyżek **ricotty** albo lekkiej kremowej **bryndzy**.

Posypujemy łyżką utłuczonych **nasion kopru włoskiego** i siekanym świeżym **koperkiem**. ©P

BIEGNIJ OLGA, BIEGNIJ!

Tokarczuk uczy patrzenia, które znane, pocziwe rzeczy przemienia w tajemnicze znaki. Mówi przy tym, że nigdy nie stała się prawdziwą pisarką.

MAGDALENA BARBARUK

WMAJU 2017 R. WE WROCŁAWSKIM BIURZE WYSTAW ARTYSTYCZNYCH Awangarda wytwórnia Wykwitex zaprezentowała gipsowe popiersie Olgi Tokarczuk – jedno z pięciu tworzących kolekcję „Bravo Girls”, czyli „wrocławskich bohaterek”. Nie są to jedynie obiekty galeryjne, może je zamówić każdy (i każda). Kiedy pisarka odbierała błękitną statuetkę, można było dostrzec na jej twarzy dziwne zmieszanie. Z pewnością nie radość.

Jako początkująca autorka Olga Tokarczuk radziła się zaprzyjaźnionego profesorskiego autorytetu w sprawie swoich pierwszych literackich prób. To poczucie niepewności czy niedopasowania do roli pojawia się również, co zadziwiające, w książce tak literacko kunsztownej, jak nagrodzeni właśnie Międzynarodową Nagrodą Bookera „Bieguni”. I w niej czytamy bowiem: „nigdy nie stałam się prawdziwą pisarką”. Geniusz jej twórczości objawia się na polu rozważań ludzkich sposobów życia, które wyznaczają wartości: przede wszystkim wolność, dobro i zło.

Święte książki Sudetów

Na ceremonię wręczenia nagrody w Victoria and Albert Museum Olga Tokarczuk postanowiła przyjść w kolczykach kupionych w Londynie 30 lat temu, za pieniądze, które zarobiła jako pokojówka w eleganckim londyńskim hotelu. Zestawiam te dwie sytuacje nie po to, by wesprzeć narrację o zawrotnej karierze pierwszej polskiej pisarki, która otrzymała tę prestiżową nagrodę, lecz by wyartykułować warte podjęcia pytanie-zadanie. Chodzi o przesłedzenie drogi Tokarczuk od pierwszych książek po najnowsze, jak w wykładzie z psychologii podróży, który pojawia się na kartach „Biegunów”: „indywidualnej drogi podróżującego, głębokiego sensu jego podróży”.

Wielu zastanawia się, co właściwie nagrodzono w Londynie, gdy uznano „Biegunów” za najlepszą powieść przetłumaczoną w ubiegłym roku na język angielski. Stoi za tym niejasne przecucie, że chodzi o coś więcej (w zależności od optyki – mniej) niż powieść. Jurorzy mówią o „dowcipie, wyobraźni, polocie

literackim”, bogactwie wspaniałych historii, które opowiedane są z radością, wzbogacającym czytelnika doświadczeniu lektury. To wszystko prawda, ale ranga pisarstwa Tokarczuk polega na tajemniczej właściwości kreacyjnej, która wymaga czasu i przestrzeni, by się ujawnić. Co dobrze widać właśnie z perspektywy Dolnego Śląska.

Jak lakonicznie ujął to Karol Maliszewski: za sprawą Olgi Tokarczuk „stało się, sprawdziło, urzeczywistniło”. Ukrywając bogaty materiał dowodowy zapewniam, że bez jej książek nie byłoby dzisiaj Dolnego Śląska rozumianego i odczuwanego jako region tajemnic, nie dostrzegalibyśmy swoistych jakości dolnośląskiego krajobrazu czy kulturowych osobliwości w rodzaju szopki w Bardzie, nie byłoby też szlaków literackich: „Z domu dziennego do domu nocnego” i otwartej na ostatnim Festiwalu Góry Literatury „Drogi Chlebowej”. „Już nie potrafię inaczej patrzeć na pewne wydarzenia, widzieć fakty i dopełniać krajobrazu, jak przez pryzmat akapitów tej książki” – pisze Maliszewski o „Domu dziennym, domu nocnym”, nazywając go „Świątą Księgą Sudetów”. „Wiedzieliśmy, że akcja filmu musi działać się tutaj” – mówi operatorka Jolanta Dylewska o ekranizacji powieści „Prowadź swój pług przez kości umarłych”.

Olga Tokarczuk uczy patrzenia, które znane, pocziwe rzeczy przemienia w tajemnicze znaki, potrafi też dostrzec (albo ustanowić) relację między nimi. „Trzeba się bardzo skupić, żeby móc ten wzrok utrzymać, w istocie jest darem, łaską” – mówi ustami bohatera „Biegunów”, który próbuje złamać szyfr rzeczy zaginionej żony. Mogłam obserwować rezultaty tej „nauki patrzenia” podczas prowadzonych przeze mnie zajęć z tras literackich, gdy jedna z uczestniczek kursu wybrała się w radykalną podróż inspirowaną „Domem dziennym...”. W centrum swojego przedsięwzięcia postawiła najbliższą →

*Olga Tokarczuk z Jennifer Croft, tłumaczką jej książki „Bieguni”.
Gala nagrody Man Booker International,
Londyn, 22 maja 2018 r.*



→ Tokarczuk Nową Rudę i świadomie postanowiła wszystkie informacje i drogowskazy dotyczące tego miejsca czerpać z powieści. Nie zawiodła nawet pogoda – mimo maja było mrocznie.

Pisarka ironizuje na temat tego rodzaju działań: „Najlepiej nie używać nazwy; kluczyć i kręcić, ostrożnie podawać adresy, aby nie kusić nikogo do pielgrzymki. Cóż by tam znalazł? Martwe miejsce, kurz, zeschły ogryzek”. A jednak zobaczenie w rzeczywistości tylko tego, co poprzez odniesienie do książki staje się znakiem, było doświadczeniem bardzo interesującym, choć wyczerpującym i trochę przerażającym. Z innego rodzaju radykalizmem spotkałam się, otrzymując esej fotograficzny będący rezultatem podróży śladami bodaj wszystkich opublikowanych wówczas książek Tokarczuk. Podczas literackiej lustracji Kotliny Kłodzkiej uzbrojone w aparat fotograficzny oko nie ominęło żadnego „ohydka sudeckiego”, żadnego onirycznego pejzażu z poniemieckimi domami, żadnej ambony myśliwskiej na tle lasu czy „połączanego światłem” widoku symbolizującego czeski raj.

Oczywiście tego rodzaju literackiej sprawczości nie brali pod uwagę jurorzy Nagrody Bookera. Podkreślając ontologiczno-aksjologiczną moc prozy Tokarczuk, nie chcę wcale pomniejszyć jakości literackich jej pisarstwa.

Podróżny gabinet osobliwości

Warto w tym miejscu przypomnieć dyskusję Jorge Luisa Borgesa i Ernesta Sábato na temat Cervantesa, która kończyła ich wieloletni cichy spór. Poirytowany cytowanym przez Borgesa zdaniem Coleridge’a „Szkoda, że »Don Kichote« nie został napisany przez Anglika”, zarzutami wobec literackiego stylu Cervantesa i określaniem przygód rycerza jako nieudanych, Sábato mówi: „Jeśli Cervantes stworzył monumentalne dzieło, o którym do tej pory dyskutujemy, to dlatego, że napisał je dobrze. (...) Pytam Coleridge’a: kto przeszkodził jakiemuś Angli-

kowi napisać »zmarnowanego« przez Cervantesa »Don Kichota«?”. Być może Cervantes nie pisał „stron antologijnych”, ale powołał do życia genialną postać i stworzył powieść przewyższającą wszystkie inne.

Oldze Tokarczuk udało się z zebranych przez siebie historii stworzyć dla Kotliny Kłodzkiej opowieść założycielską. Postaci w jej książkach są zarazem prawdziwe i modelowe. Borges pisząc o Don Kichocie czy bohaterach „Ulissesa” Joyce’a, że są „prawdziwymi przyjaciółmi”, miał na myśli szczególną umiejętność niektórych pisarzy do wywołania u czytelników poczucia, że znają daną postać, bez względu na to, ile linijek jej poświęcono. Czasem wystarczy jedna – bo nie chodzi tu o poziom wiedzy. Coś podobnego odczuwamy czytając „Biegunów”. Tokarczuk daje w niej życie wielu postaciom i nawet te nakreślone w kilku akapitach zdają się pełnokrwiste. Bez względu na ich płeć, wiek, wykształcenie, krąg kulturowy czy epokę ma się wrażenie, że pisarka sama się w te postacie wciela, na co – tak sądzę – pozwala jej deklarowana w wywiadach skłonność do eksperymentowania z tożsamością, wizerunkiem czy poglądami. Jak mówi: „Postulat: jedna osobowość – jeden człowiek wydawał mi się zawsze zbyt minimalistyczny”.

„Bieguni” przypominają intelektualny pamiętnik, w którym autorka zapisuje tylko myśli i postaci związane z ruchem i podróżą. Robi to na przekór nowoczesnym instytucjom, które wytyczają granice państw, by przypisać ciała ludzi do ziemi, te zaś, które pozostaną poza kontrolą, stawiają poza prawem. U Tokarczuk mocno i prawdziwie istnieje tylko to, co się przemieszcza. Przyznajmy rację jurorom: od tych miniesejów i opowieści nie można się oderwać. Tworzą podróżny gabinet osobliwości; jest w nim miejsce dla Annuszki, matki niepełnosprawnego syna, która pewnego dnia postanawia nie wracać do swoich obowiązków i dołączyć do prawosławnej sekty biegunów; Aleksandry podróżującej po świecie w celu przygotowania

Wszystko o Bookerze

CZY JEST MAN BOOKER

INTERNATIONAL PRIZE? Zacząć trzeba od starszej siostry, czyli Man Booker Prize (wcześniej Booker-McConnell Prize). Przyznaje się ją corocznie od 49 lat za najlepszą powieść anglojęzyczną wydaną w Wielkiej Brytanii; do niedawna otrzymać ją mogli tylko pisarze z krajów Wspólnoty Brytyjskiej, Irlandii, RPA i Zimbabwe, od 2014 r. to ograniczenie zniesiono i dwaj ostatni nagrodzeni, Paul Beatty i George Saunders, są Amerykanami. Na liście laureatów znaleźli się m.in. późniejsi nobliści V.S. Naipaul, Nadine Gordimer, William Golding, J.M. Coetzee i Kazuo Ishiguro, a także Iris

Murdoch, Salman Rushdie (za „Dzieci Północy”), Kingsley Amis, Peter Carey, A.S. Byatt, Ben Okri, Michael Ondaatje, Graham Swift, Arundhati Roy, Ian McEwan, Margaret Atwood, Alan Hollinghurst, John Banville, Kiran Desai, Hilary Mantel, Julian Barnes i Richard Flanagan. Man Booker International Prize została utworzona w 2004 r. jako odnoga Bookera i finansuje ją również Man Group. Najpierw przyznawano ją co dwa lata za wydane po angielsku dzieła oryginalne bądź tłumaczone. Pierwszym laureatem został Albańczyk Ismail Kadare, nominowani byli m.in. Saul

Bellow, Gabriel García Márquez, Günter Grass, Doris Lessing, Naguib Mahfouz, Kenzaburō Ōe, Milan Kundera, Stanisław Lem, Philip Roth, Antonio Tabucchi i John Updike. W kolejnych latach nagrodę otrzymali: piszący po angielsku Nigeryjczyk Chinua Achebe, Kanadyjka Alice Munro (przed Noblem) oraz dwoje Amerykanów: Philip Roth (nareszcie!) i Lydia Davies, wśród nominatów byli Carlos Fuentes, Don DeLillo, Amos Oz, Aharon Appelfeld, John le Carré (!), Mario Vargas Llosa, Juan Goytisolo, Arnošt Lustig, Ngũgĩ wa Thiong’o, Dubravka Ugrešić, Ludmiła Ulicka, Władimir Sorokin i Amin Maalouf. Od 2015 r. nagradza się wyłącznie wydane w Wielkiej Brytanii

powieści tłumaczone z innych języków, a nagroda dzielona jest między autora i tłumacza. Przed Olgą Tokarczuk i jej tłumaczką Jennifer Croft nagrodzeni zostali Węgier László Krasznahorkai, Koreanka Han Kang oraz Izraelczyk David Grossman; w ubiegłym roku na tzw. długiej liście nominowanych znalazła się Wioletta Greg, czyli Wioletta Grzegorzewska. W finale z autorką „Biegunów” konkurowali nagrodzeni już wcześniej Han Kang i László Krasznahorkai, a także Francuzka Virginie Despentes, Hiszpan Antonio Muñoz Molina, Irakijczyk Ahmed Saadawi; na długiej liście byli też Austriak Christoph Ransmayr i piszący po hiszpańsku Katalończyk Javier Cercas. ©© TF

„Raportów o niegodziwości”; naukowców, którzy organizują na lotniskach wykłady z psychologii podróży; bojących się latania pasażerów nocnych pociągów; Islandki podróżującej wzdłuż południka zero; zmuszonego do ucieczki na pustynię sułtana upadającego państewka; doktora Blau, który podróżuje w poszukiwaniu tajemnicy konserwacji martwego ciała; troskliwej Karen towarzyszącej znacznie starszemu mężowi, wybitnemu profesorowi, który podczas luksusowego rejsu daje wykłady o greckiej kulturze. Mamy poczucie, że znamy te postaci i rozumiemy je, a nawet chcemy za nimi podążać, choć często są nam duchowo obce.

Nie tylko umiejętność tworzenia postaci i kreowania mitów prowokuje do włączenia Tokarczuk do grona „rodziny Cervantesa”. Jest nią oczywiście wyrażona w „Biegunach” filozofia ruchu, która widzi w przemieszczaniu się warunek powodzenia walki ze złem. „Kiwaj się, ruszaj się, ruszaj. Tylko tak mu umkniesz. Ten, kto rządzi światem, nie ma władzy nad ruchem i wie, że nasze ciało w ruchu jest święte”. To książka o pragnieniu zniknięcia z mapy – może to być chwilowe opuszczenie dziecka, ucieczka od męża, daleka podróż, czas spędzony w samolocie, gdy goniąc noc jest się „pomiędzy”, zmiana języka. To wszystko sposoby na „wytańczenie dystansu”, walki z antychrystem działającym poprzez ustalone formy, wrzucające nas w Barthesowski smutek wynikający z „powtarzalności zatrudnień”.

Nauczyciele ruchu bywają różni: dla Don Kichota była nią sucha równina z przesuwającym się horyzontem, dla kilkulatniej Olgi. „Stojąc na przeciwpowodziowym wale, wpatrzona w nurt zdałam sobie sprawę, że – mimo wszelkich niebezpieczeństw – zawsze lepsze będzie to, co jest w ruchu, niż to, co w spoczynku; że szlachetniejsza będzie zmiana niż stałość”; „Płynność, mobilność, iluzoryczność – to właśnie znaczy być cywilizowanym”. Może nie bez znaczenia było to, że powieść „Bieguni” powstała w pełnym kanałów Amsterdamie, choć Tokarczuk deklaruje, że było to „mnisie refugium”, a z transu wyrывało ją tylko kończące się w lodówce jedzenie.

W głąb ciała

W książce skok w przestrzeń ma swój odpowiednik w postaci podróży w głąb ciała (dużą jej część zajmuje historia odkryć w dziedzinie anatomii, tropienie obsesji nieśmiertelnienia ciała przez preparowanie jego części, relacje z wystaw plastykatów), jest refleksją nad relacją części i całości, oplakiwaniem losu tego, co oderwane. Poczucie, że jest coś większego niż fragment, że przynależymy do pewnej całości, że ból fantomowy po uciętej nodze jest spowodowany metafizycznym brakiem, a lzy mają sens wtedy, gdy widzi je oko świętego z obrazu, można opisać w terminologii, jaką podsuwa książka. Chodzi o kontuicję, czyli „rodzaj wglądu, który spontanicznie odsłania obecność jakiejś większej niż ludzka siły, jakiejś jedności ponad zróżnicowaniem”. Z tego też powodu pełen ruchu świat Olgi Tokarczuk nie może być płynnym światem z wizji Zygmunta Baumana.

Dla zrozumienia książki ważna jest „lekcja Spinozy”, której wierni byli uczeni końca XVII wieku: „patrzeć na ludzi jak

W przemieszczaniu się tkwi warunek powodzenia walki ze złem.

„Kiwaj się, ruszaj się, ruszaj.
Tylko tak mu umkniesz”.

na linie, płaszczyzny i bryły”. Gdyby wyobrazić sobie mapę literacką powstałą na podstawie „Biegunów”, otrzymalibyśmy Sebaldowskie kwinkunsksy, tyle że z tych konstelacji wylaniałaby się prawda, nie zaś ziejąca otchłań. „To konstelacja, a nie sekwencja jest nośnikiem prawdy” – mówi pisarka ustami wykładowcy z lotniska. Jak u Sebalda, tak u Tokarczuk figura labiryntu rywalizuje z boską perspektywą. Konsekwentne trzymanie narracji na geopoetyckiej kotwicy jest siłą książki.

Wymowna jest scena, w której mąż szukający zaginionej podczas wakacji żony wypakowuje z torebki i walizek wszystkie jej rzeczy, po to by je, sztuka po sztuce, ułożyć i sfotografować. Z jednej strony jest to wyraz nowoczesnego, optymistycznego, fenomenalistycznego przekonania „wiedzieć to wiedzieć”, z drugiej – budowanie mapy z układu ludzkich drobniagów.

„Dochodziło do mnie stopniowo, że poprzez przestrzeń i czas wszystko wiąże się ze wszystkim” – pisze Sebald w „Pierścieniach Saturna”. U Tokarczuk jest podobnie, tyle że są to zwykłe obrazy z realnego świata: jego unerwienie widziane z pokładu samolotu, skrzyżowanie ciał zjeżdżających do czeluści moskiewskiego metra, spieszących się na „Sąd Ostateczny”; senne kolaże złożone ze „strzępków dni i nocy”; linie, jakie tworzyliby ludzie, gdyby mieli chipy, a komputery zapisywały trajektorie ich ruchów („Kregi i elipsy, labirynty. Może także nieskończone ósemki, może nieudane, przerwane nagle spirale”), biosystem jako układ wzajemnegożywienia się („wszystko, co żywe, wspomaga się w tym rośnięciu i rozpychaniu, wspiera się na sobie”). Pełna bizarnych traktów wiedza starego profesora o starożytnej Grecji, która wydaje się tak wielka, że niemożliwe jest, by nie wrastała w tkanki jego ciała. Sądzę, że przyczyny tropienia tego, co mutuje, migruje, przez co staje się monstrualne, transgatunkowe, podobne są u Sebalda i Tokarczuk: to lęk przed końcem.

Podczas ubiegłorocznego Festiwalu Conrada na spotkanie z pisarką przyszło tak wielu czytelników, że ich pytania trzeba było podawać na kartkach. W „Biegunach” literackie *alter ego* Tokarczuk wyznaje, że irytuje rozmówców brakiem stałych poglądów. Traktuję to jako wyraz nieustannej gotowości otwierania się na innego, bo przecież „dla ojczyzny ratowania” pisarka potrafi skrócić podróż, żarliwie broni praw słabszych, walczy z myśliwymi, namawia ludzi kultury do zakładania związków zawodowych. To coś więcej niż poglądy.

Olga Tokarczuk nas zmienia i robi to oddając nam nasze historie, także te, które nazywamy metanarracjami. Radzimy się jej, czasem ją atakujemy. Filozofia „Biegunów” przenika do innych dzieł. Doceniony film Jagody Szalc „Wieża. Jasny dzień” opiera się na opozycji obecnej w książce Tokarczuk: jedna z sióstr to stabilna „Wieża”, druga, „Jasny dzień”, to uciekinierka, tricksterka. Finalna scena filmu, w której ludzie wychodzą zewsząd na polanę, mogłaby być ilustracją przesłania „Biegunów”. Nie wiemy, po co idą, czy coś ich łączy, czy ten antysystemowy akt jest niepokojący, czy radosny. Wiemy, że spowodowany jest pojawieniem się biegunicy i że nie można go powstrzymać ustalonymi wcześniej regułami.

© MAGDALENA BARBARUK

STANISŁAW

Mancewicz:

Bez majeranku



BETON I FLAKI TO ZESTAW SUBSTANCJI O BARDZO odmiennej konsystencji. Ta złota myśl o charakterze fizycznym będzie kanwą naszych dzisiejszych znakomitych rozmyślań. Podejmiemy także próbę odpowiedzi na pytanie, czy flak może być twardy, a beton flakowaty, czy też jest to wykluczone w każdym sensie.

By wejść z sukcesem w detal zagadnienia, wysnuć wniosek, a następnie przejść do zjawisk endemicznych, musimy rzucić pierw okiem na planetę i jej specyfikę fizyczno-chemiczną. Rzecz jasna mamy na myśli naszą planetę, a nie jakiegoś Merkurego bądź – za przeproszeniem – Wenus, może bowiem być i tak, że beton w tamtych kwaśnych okolicach jest zaiste miękki, a flak okropnie twardy. Już w tym zdaniu rzesze naszych czytelników znajdują zapewne odpowiedź, że tu na Ziemi beton nie jest flakiem nigdy. Świadczyć o tym mogą zresztą rzesze autorytetów. Z jednej strony mistrzowie betonowania, z drugiej szacowni specjaliści sflaczania choćby w przetwórstwie spożywczym; nawiasem: zapewne ma na ten temat wyrobione zdanie dowolny piśmienny i dorosły obywatel z kompletem punktów w skali Apgar.

Oba słowa – brnąć dalej – czyli „flak” i „beton”, mają także swoje znaczenie pozadosłowne i służą nam na co dzień do parabolizowania. By nie porzucać pożytecznej manieri tłumaczenia czytelnikowi wszystkiego *ab ovo*, idzie nam o sytuację, w której potrzebne jest nam zgrabne porównanie do ekspresowego zaserwowania interlokutorowi. Słowa „beton” – idąc rażno dalej – używamy najchętniej w próbach charakteryzowania polityków. Oto polityk betonowy jest

osobnikiem nieulegającym żadnej perswazji, żadnym argumentom, posługującym się doktryną bez żadnych na jej temat dyskusji bądź hamulców. Jak świetnie wiemy, porównanie do betonu w stu procentach opisuje teraźniejszość życia politycznego w Polsce i w zasadzie wszystkie inne próby gimnastyki ilustracyjnej są zbędne i byłyby stratą czasu, zwłaszcza naszego. Na tym kończą się właściwie możliwości używania betonu w codziennych pogwarkach o Polsce. Przejdźmy teraz do sflaczenia, traktowanego jako terminu pomocniczego w argumentowaniu. W odróżnieniu od betonu „flak” ma zastosowań niezwykle wiele – i na tym skromnym spostrzeżeniu musimy skończyć, nie chcemy bowiem sprawiać wrażenia, że naszym celem jest jakoby epatowanie rzesz czytelniczych odrażającym słownictwem bądź to prostackimi skojarzeniami. I to by było właściwie na tyle, gdyby nie obietnica rozwinięcia opisu sytuacji endemicznych, czyli – mówiąc w skrócie – wyjątkowych.

Otóż z taką wyjątkową okolicznością mamy do czynienia tu i teraz. By wyrazić się jaśniej i wprost: obecna władza w Polsce przejawia endemiczną właśnie skłonność do betonowania i zarazem flakowatości. Beton i flak, oto co przychodzi nam do głowy, gdy obserwujemy ludzi Gospodarza, od dawna, nie tylko teraz, gdy ów jest zajęty tylko „swojo nogo”. Są owi, jego podręczni, niejako koktajlem twardości z flakowatością, i są to twardość oraz sflaczenie wyuczone na blachę. Przykłady? Są betonowi, gdy mówią o naszych pensjach bądź naszych pomysłach na życie, a całkiem sflaczali, gdy mówią o własnym szmacie i własnych wizjach. Nasze pensje pochodzą z koryta, ich zaś – o czym mówią zawsze ze łzami w oczach i ze sflaczalym wyrazem twarzy – są owocem potwornie ciężkiej pracy. Ich godność jest broniona betonowymi argumentami, a gdy ich nie staje, popadają w bek i wyciągają na wierzch swe flaki, których publiczne oglądanie jest tu przymusowe. Podręczni Gospodarza, na czele z Gospodynią i stadem piszczących Delfinów, wyspecjalizowali się w płakaniu na własny temat i betonowaniu tematów dotyczących ludzi spoza ich kręgu. Smaku tych ceregieli nie jest w stanie zabić tutejsza roczna produkcja majeranku, który – jak wiadomo – ma magiczną moc uszlachetniania flaków, potrawy dla koneserów. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. ■

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją
zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu
opisanymi poniżej.

■ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się
z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

rzeczy

w Muzeum Warszawy



MUZEUM
WARSZAWY

historie

rzeczy

rzeczy

warszawskie

tajemnice

rzeczy

Otwieramy drugą część
wystawy głównej Muzeum Warszawy

9 czerwca 2018 roku
Rynek Starego Miasta 28-42

Smok – platerowana podstawka na 12 nożyków, 1896–1915

muzeumwarszawy.pl

Zadanie zostało zrealizowane
dzięki wsparciu finansowemu
miasta stołecznego Warszawy



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

